

TERESA MEDEIROS

*Ariana*

Tytuł oryginału  
THE BRIDE AND THE BEAST

2000 by Teresa Medeiros

*Pamięci Debbie Dunn, która kochała romanse  
i sama żyła jak w romansie, najsłodszy,  
jakiego kiedykolwiek mogłabym być świad-  
kiem. I jej niewzruszonego bohatera Phila:  
komenderuj dobrze swoimi aniołami, kochany,  
dopóki się tam nie zjawimy!*

*Michaelowi i dobremu Panu Bogu za miłość,  
którą mnie darzą bez względu na to, czy  
jestem pięknnością, czy bestią*

# Prolog

*W górach Szkocji, roku pańskiego 1746*

Gwendolyn miała dziewięć lat, gdy o mało co nie zabiła przyszłego wodza klanu MacCullochów.

Wspinała się właśnie po masywnym pniu młodego dębu, ostrożnie sprawdzając każdy konar, czy nie załamie się pod jej ciężarem, gdy zza widnokregu wyłonił się kudłaty kuc, zmierzając szybko w jej stronę.

Rozsiadła się wygodnie w płytkiej dziupli, która już nieraz użyczała jej schronienia i zerkała przez zielonkawy welon listowia. Serce zamarło jej w piersi, gdy rozpoznała w jeźdźcu Bernarda MacCullogha. Nikt inny nie umiałby przybrać tak dumnej postawy godnej samego króla. Nikogo nie zdołała równie bujna strzecha spadających na czoło ciemnych kędziarów. Spod opończy w szkarłatno -czarną kratę wyczierała szafaranowa koszula. Srebrna zapinka, wyrzeźbiona na kształt smoka, godła klanu MacCullochów, przyciągała spojrzenie do ramienia, które z dnia na dzień stawało się coraz szersze. Spod krótkiej szkockiej spódniczki zwanej kiltem wystawały długie, obnażone nogi, pewnie ściskające włochate boki wierzchowca.

Gwendolyn oparła bródkę na dłoni. Westchnęła, chłonąc

oczami wdzięczny widok. Jeździec kierował kucyka w dół kamienistej ścieżki ze zręcznością daleko większą, niż należało oczekiwać po piętnastoletnim chłopcu. Chociaż codziennie przejeżdżał tą przełęczą, nigdy nie miała dosyć podglądania. Marzyła o tym, żeby pewnego dnia jeździec uniósł wzrok do góry i schwytał ją na gorącym uczynku.

- Kto się tam chowa? - zakrzyknąłby, ściągając wodze. - Czyżby to anioł zstąpił z nieba?

A ona odpowiedziałaaby:

- To ja, panie! Nadobna lady Gwendolyn!

Na te słowa przybysz błysnęła zębami w czułym uśmiechu, a ona miękko spłynęła na ziemię (w tym śnie miała bowiem skrzydła cieniuchne, niczym utkane z przędzy babiego lata). Jeździec zagarnąłby ją jedną tylko dłonią na grzbiet wierzchowca, posadził przed sobą i poniósł przez wioskę. Jakże dumnie uśmiechałaby się jej macierz i tatko, jakże rozkoszowałaby się sama Gwendolyn, widząc, jak ze zdumienia sąsiadom opadają szczęki, a oczy starszych sióstr jarzą się zazdrością!

- Och, patrzcie! Gwennie siedzi na czubku drzewa... a powiadają, że świnię nie potrafią latać!

Wyrwana z marzeń, dziewczynka spojrzała w dół, prosto w szyderczo roześmiane twarze dzieci, które wianuszkami otoczyły dąb. Poczuli na ramionach gęsią skórę znajomego lęku. Jeśli nie zareaguje na ich zaczepki, może znudzą się i odejdą?

- Nie mam pojęcia, czemu marnujesz czas, siedząc tam w górze. Wszystkie żółędzie pospadały wszak na ziemię! - Ross, przysadzisty syn wioskowego kowala, trzepnął się po udach z zachwyty nad własnym dowcipem.

- Przestań już, Ross! - zaniósł się śmiechem dwunastoletnia

Glynnis, siostra Gwendolyn. Wsunęła mu rękę pod ramię i podrzuciła grzywą rudawych loków. - Zostaw w spokoju tę nieszczęsną kreaturę, a pozwolę ci skraść sobie całusa... później.

Druga siostra, jedenastoletnia Nessa, potrząsnęła jedwabistymi splotami w odcieniu czerwonego złota, złapała go za drugie ramię i stuliła usta we wdzięczny dzióbek.

- Zabierz te zachłanne wargi, siostrzyczko, bo ten kawaler obiecał wszystkie swoje całusy zachować dla mnie!

Ross ścisnął je obie, aż zaczęły kwilić z rozkoszy.

- Nie lękajcie się, lube dziewczeczki, starczy moich karesów dla was obu i jeszcze ich trochę zostanie. Chociaż myślę sobie, że dla takiej panny, jak wasza siostra, nie byłoby ich dość wiele!

Gwendolyn nie zdołała powściągnąć języka:

- Idź sobie, Ross, zostaw mnie w spokoju!

- A jeśli sobie nie pójdę, co mi zrobisz? Usiądziesz na mnie?

Glynnis i Nessa zakryły dłońmi usta, bez powodzenia usiłując stłumić chichot. Reszta kompanii ryknęła śmiechem. Nagle radosną wrzawę przeciął nieznajomy głos:

- Słyszeliście, co powiedziała ta szlachetna panna? Rozejdźcie się i zostawcie ją w pokoju!

Nie spodziewała się, że Bernard MacCulloch przemówi tonem tak aksamitnym i głębokim. W dodatku nazwał ją szlachetną panną! Zachwyt nad tak dwornym potraktowaniem wyparował bez śladu, gdy uświadomiła sobie, że musiał słyszeć wszystkie drwiny. Wyrzała spośród gałęzi, lecz widziała jedynie czubek głowy nieoczekiwanego obrońcy i błyszczące noski jeździeckich butów. Ross zwrócił się do intruza napastliwym tonem:

- Kimże jesteś, do diabła... - dalsze słowa zamarły w niezrozumiałym stęknieniu, a chłopak spłonął krwawym rumieńcem, po czym zbladł jak bielona ściana. - N-nie z-zdawałem

sobie sprawy... nie przypuszczałem, że to wy, panie -wyjąkał. - Wy-wy-wybacz mi śmiałość! - przyklęknął na jednym kolanie i schylił głowę u stóp syna przywódcy klanu i pana okolicznych włości.

Bernard chwycił go za koszulę i szarpnięciem postawił na nogi. Ross był cięższy od smukłego szlachcica o dobre dziesięć kilogramów, lecz musiał zadrzeć szyję, by spojrzeć mu w oczy.

- Jeszcze nie jestem twoim panem - zauważył Bernard. - Ale pewnego dnia nim zostanę. I ostrzegam, że nie zapominam krzywdy wyrządzonej komukolwiek z moich poddanych!

Gwendolyn zagryzła wargi. Poczowała zdziwienie na myśl, że nie płakała, słysząc drwiny dzieciaków z wioski, natomiast serdeczność młodzieńca wycisnęła z jej oczu łzy. Zmieszany Ross przełknął ślinę.

- Słucham, panie. Ja też nie zapomnę twego ostrzeżenia!

- Postaraj się - rzucił Bernard tonem pogroźki. Ross w milczeniu powiodł resztę kompanii w dół zbocza, lecz Gwendolyn uchwyciła płomienne spojrzenie, które rzucił jej spode łba, i wiedziała, że odpłaci jej za to upokorzenie. Wbiła połamane paznokcie w korę drzewa, zdając sobie nagle sprawę, że dzieciaki zrobiły dokładnie to, czego chciała. Zostawiły ją samą- z nim!

Przytuliła policzek do szorstkiego pnia, żałując w głębi serca, że nie może wtopić się w drzewo jak leśna nimfa. Jego rzeczowy głos rozwiął daremne nadzieje.

- Odeszli. Możesz teraz zejść!

Aż zamknęła powieki na myśl o pogardzie, jaką pociemniałyby jego oczy, gdyby przyjął jego propozycję.

- Dziękuję, ale tu jest mi całkiem wygodnie.

Westchnął:

- Niecodziennie mam okazję wyratować damę z opałów.

Sądziłem, że mogę spodziewać się przynajmniej skromnego podziękowania!

- Dziękuję. Czy teraz odjedziesz i zostawisz mnie samej sobie?

To był błąd. Nie powinna była dyktować mu, co ma zrobić.

- Nie, nie zrobię tego. To moja ziemia i moje drzewo, a jeśli ty nie zamierzasz zejść, ja wdrapię się tam na górę! - postawił nogę w długiej cholewie w najniższym rozwidleniu konarów i sięgnął po gałąź nad głową. Gwendolyn wyobraziła sobie, jak niewiele czasu zabierze wspinaczka temu długonogiemu chłopcu, i zrobiła kolejny błąd, bo zaczęła w popłochu wdrapywać się wyżej. Zapomniała jednak o ostrożności i oparła cały ciężar na gałęzi, zanim sprawdziła jej wytrzymałość. Ostrzegawczy skrzyp przeszedł w trzask i dziewczynka poszybowała na ziemię. Lecąc, zdążyła jeszcze wypowiedzieć ostatnią składną myśl: „Proszę cię, Boże, niech spadną głową na ziemię i złamię sobie kark!” Zdradliwe gałęzie ponownie ją zawiodły, hamując upadek. Spadając całym ciałem na Bernarda, ujrzała przez ułamek chwili jego zdumione oczy, po czym chłopak zachwiał się i rozciągnął jak długi pod dębem. Ich twarze znalazły się o kilka centymetrów od siebie. Miały zamknięte oczy. Długie rzęsy leżały bez drgnienia na ogorzałych od górskiego słońca policzkach. Z tak bliska Gwendolyn widziała nawet ciemny meszek pod nosem chłopaka - zapowiedź wąsów, które niebawem ocienią jego górną wargę. Wyszeptała:

- Panie?

Nie dał znaku życia ani jęknięciem, ani poruszeniem. Gwendolyn westchnęła rozpaczliwie:

- O mój Boże, co ja narobiłam! Zabiłam go!

Gdybyż i ona zginęła! Wieśniacy znaleźliby ich- leżących

razem we wzruszającej pozie: ona osłania go opiekuńczo całym ciałem, oboje zjednoczeni po śmierci, jak nigdy przedtem za życia. Gwendolyn nie potrafiła się oprzeć patosowi wymagowanej sceny. Wtuliła twarz w obojczyk chłopca, by stłumić szloch wzruszenia.

- Dzieweczko, czy coś ci się stało? - usłyszała gardłowy szept. Niechętnie uniosła głowę. Oczy Bernarda były szeroko otwarte, lecz patrzyły na nią nie ślepym spojrzeniem śmierci, którego tak się lękała, lecz ciepłą zielenią, głęboką jak lśnienie szmaragdów wysypujących się ze schowka, gdzie zakopano niegdyś skarb. Chłopak łagodnym gestem wyjął liść, który zaplątał jej się we włosy. Gwendolyn niezgrabnie stoczyła się na bok.

- Szwanku doznała jedynie moja duma - odrzekła. - A ty, czy nie doznałeś uszczerbku na ciele?

- Nie sądzę. - Ostrożnie podniósł się na nogi i otrzepał szaty z listowia i piachu. - Trzeba by chyba, by spadło mi do podołka coś większego niż taki berbec, by mnie uszkodzić!

Berbec? Gwendolyn czuła niemal namacalnie, że warkocze zjeżyły jej się wrogością. Tymczasem Bernard jak gdyby nigdy nic wyjął sobie gałązkę z włosów, przyglądając jej się spod zmierzwionych kędziorów.

- Chyba widziałem cię już kiedyś na zamku, prawda? Mieszkasz w dworku w wiosce i jesteś córką naszego zarządcy, tak?

- Jedną z jego córek - sprostowała szorstko, modląc się, by jej ton nie zdradził, jak wielkie znaczenie przywiązuje do tych rzadkich dni, kiedy ojciec zechciał zabrać ją ze sobą na zamek, gdy jechał tam omawiać interesy z wodzem klanu. Właściwie żyła wyłącznie myślą o kolejnej wizycie, bo tylko wówczas miała szansę ujrzeć Bernarda, jak zbiega z kamiennych schodów,

jak marszczy czoło, zagłębiany w szachowej rozgrywce z ojcem czy skrada się od tyłu do swojej matki, by znienacka cmoknąć ją pieszczotliwie w policzek. Dla Gwendolyn zamek Weyrcraiga miał urok zaczarowanego zamczyska, gdzie po komnatach fruwały wróżki i gdzie każde marzenie może się spełnić.

- Masz jeszcze młodszą od siebie siostrzyczkę, a twoja macierz znowu jest przy nadziei, czyż nie? Spotkałem też dwie starsze siostry. Zuchwałe dziewczeczki, nie sądzisz? Bez przerwy strzygą oczami i kołyszają uwodzicielsko bioderkami, których po prawdzie wcale jeszcze nie mają! - Zachichotał. Przyjrzał się pogniecionej tunice i spłóviałym spodnikom Gwendolyn i uśmiechnął się porozumiewawczo. - Ty jesteś inna, jak widzę.

Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Tak, jestem inna... gruba.

Zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

- Owszem, masz trochę ciątka na kościach, ale dziecko w twoim wieku ma prawo być pulchne, nie tracąc wdzięku.

„Dziecko"! Łatwiej by jej było przełknąć epitet grubaski, niż być uważaną za dziecko. Jak mogła sobie kiedyś wyobrażać, że jest zakochana w tym aroganckim chłopaku? Teraz czuła do niego żywą nienawiść!

Wyprostowała się na całe swoje imponujące półtora metra wzrostu.

- A ty zapewne mniemasz, iż mieszkanie w wyniosłym zamku i dosiadanie rasowego kucyka automatycznie czyni z ciebie dorosłego mężczyznę?

- Bynajmniej! Wiem, że jeszcze trzeba mi nieco dojrzeć. Jak i tobie. - Ujął koniec jej płowego warkocza i owinał sobie wokół nadgarstka, przyciągając ją nieco bliżej, by dosłyszała słowa wypowiedziane cichym szeptem: - Ale mój ojciec uważa mnie za dostatecznie dorosłego, bym pełnił obowiązki eskorty

szlachetnego gościa, którego dzisiejszej nocy mamy powitać na zamku.

Gwendolyn wyszarpnęła warkocz z jego palców i przerzuciła przez ramię. Obawiała się, czy nie przyjdzie mu teraz na myśl uszczypnąć ją w czubek nosa albo poklepać po głowie jak tłuściutkiego szczeniaka.

- A kimże to jest ów szanowny i tajemniczy gość?

Wyprostował się i założył ręce na piersi, przybrawszy pełen wyższości i satysfakcji wyraz twarzy.

- Ach, to sekret, którego nie mógłbym powierzyć takiej smarkuli!

Obrzydliwy chłopak! Wstrętny pyszałek!

- Udam się więc w swoją stronę, by nie stawać na drodze twojej męskiej misji!

Ruszyła w górę stoku, niebawem zadowolona z efektu swej taktyki, bo na jego twarzy pojawiło się pełne zmieszania zaskoczenie. Widząc, że naprawdę zamierza go opuścić, zawołał:

- Mógłbym właściwie dać ci pewną wskazówkę...!

Nie raczyła zaszczyścić go odpowiedzią, po prostu stanęła w miejscu i zachowując kamienne milczenie, obróciła się ku niemu. Bernard wykrzyknął w desperacji:

- To prawdziwy bohater! Książę pośród mężczyzn!

Jeszcze kilka minut temu Gwendolyn miała takie właśnie zdanie o stojącym przed nią chłopcu, podniosłe określenie nie zrobiło tedy na niej większego wrażenia. Ruszyła w dalszą drogę.

- Gdyby tamten chłopak jeszcze cię kiedy niepokoił, daj mi znać, dobrze?

Zacisnęła oczy, kładąc tamę nagłej fali tęsknoty. Jeszcze przed chwilą oddałaby duszę za niedosiężny przywilej, by

mienić go swym obrońcą! Obecnie zaś mogła jedynie zebrać resztki zranionej godności, odwrócić się sztywno i zapytać:

- Czy to był rozkaz, czy prośba?

Oparł dłonie na młodzieńczo wysmukłych biodrach, a ona zdała sobie sprawę, że stawiając mu opór, powtórzyła niedawny błąd.

- Uważaj to za rozkaz, dziewczeczko! Nadejdzie wszak dzień, gdy stanę się panem nie tylko tego zuchwalca, lecz również i twoim!

Gwendolyn zadarła nossek.

- Wielce się mylisz, Bernardzie MacCulloghu! Usłysz i pomnij, iż żaden mężczyzna nie będzie nigdy moim panem!

Okręciła się na pięcie i pomaszerowała ku wiosce. Odwrócona plecami do chłopca, nie mogła widzieć uśmiechu, który pojawił się na jego twarzy, ani usłyszeć, jak szepce do siebie:

- Na twoim miejscu nie byłbym tego aż taki pewien, dziewczeczko!

## Część pierwsza

*Człowiek nie jest ani aniołem, ani bestią; największe zaś nieszczęście, gdy ten, co mógłby żyć jak anioł, zachowuje się jak bestia.*

Blaise Pascal

*Nie ma bestii tak okrutnej, by nie znała uczucia litości.*

William Shakespeare



# 1

*W górach Szkocji, roku pańskiego 1761*

Smok z Weyrcraig czołgał się po kruchych kamiennych półkach przecinających ściany nory. Ze wszystkich sił starał się stłumić chętkę, by odrzucić głowę do tyłu i wybuchnąć nieujarzmionym rykiem z głębi płuc. Zbyt długo był już więźniem światła dziennego! Dopiero w godzinach, gdy mrok nocy spowijał Weyrcraig, wolno mu było zrzucić łańcuchy i swobodnie krążyć po labiryncie zamkowych tuneli i sekretnych przejść. Obecnie ciemność była jego królestwem - jedynym, jakie mu zostało.

Ogarnął wzrokiem bezkres morza, mrużąc powieki przed żądłami soli rozpylonej w powietrzu, lecz nieczuły na ukąszenia chłodu na nagiej skórze. Odkąd tu przybył, surowa egzystencja sprawiła, iż stał się odporny na niemal wszelkie uciążliwości. Pieszczota czułego słówka, jedwabiste muśnięcie kobiecego oddechu odeszły w krainę nierealnych marzeń.

Nad widnokregiem zbierały się sztormowe chmury. Wiatr tężał, smagając fale Morza Północnego, wznosząc pióropusze piany wysoko w sine niebo. Przybój łomotał potężnymi ciosami wodnych taranów w urwiste skały brzegu. Między chmurami

przeskakiwały błyskawice jak nitki świetlistych pajęczyn, pogrążając atramentowe połączenie nieba w isticie piekielnym mroku. Dzikość nadciągającej burzy odzwierciedlała wiernie jego własną naturę. Daleki pomruk grzmotu odbijał się echem w ponurym gulgocie, którym nabrzmiało jego gardło. Potwór zwrócił badawcze spojrzenie w głąb własnej duszy, lecz nie znalazł w niej ani strzępka człowieczeństwa. Niegdyś aż do bólu obawiał się przebudzenia bestii, która zamieszkiwała ciemność pod dzieciennym łóżeczkiem. Kiedy los rzucił go w to piekielne miejsce, przekonał się, iż potwór kryje się w nim w zakamarkach jego istoty.

Stał się tym, kogo z niego uczyniono.

Obnażył zęby w grymasie, w którym z trudem można by było doszukać się śladów uśmiechu. Uciechę sprawiła mu myśl o tym, jak drząc zagrzebują głowy w poduszkach, jak bojaźliwych uchem łowią coraz bliższe odgłosy jego gniewu. Wierzyli, że mają do czynienia z potworem pozbawionym sumienia i miłosierdzia. Postarał się, by uznali jego żądania za nie dopuszczające sprzeciwu prawo, a jego wolę za moc, której nie bardziej można się było oprzeć niż syrenim śpiewom niesionym na skrzydłach wiatru nad opustoszałymi łąkami i porośniętymi wrzosem przełęczami gór, Miarą ich tchórzostwa było pospieszne i bezwarunkowe poddanie, które powinno napawać go satysfakcją, lecz które zamiast tego zaostrzało tylko głód, co drażył w trzewiach niezgłębioną czeluść i groził, iż pochłonie go od wewnątrz. Kiedy otwierała się w nim płomienista otchłań, czuł chętkę, by cisnąć im w przerażone gęby ich nędzne daniny i spopielić ich do kości żarzącym smoczym oddechem. Czemu to jego dusza skręcała się w jezorach potępieńczych ogni, skoro przekleństwo dotyczyło ich? Czemu to on został skazany na samotne, bezcelowe wędrówki

przez ruinę własnych marzeń, czemu wzbroniono mu nawet posiadania partnerki, która dzieliłaby z nim niekończącą się udrękę?

Przeszył spojrzeniem skłębione zwały chmur, czując, że budzi się znajomy głód, bardziej dokuczliwy niż kiedykolwiek przedtem. Nie wiedział, czy uda mu się go zaspokoić, czy w ogóle można nasycić tak wielkie nienasylenie, ale postanowił tej nocy nie odmawiać sobie smakowitego kąska, który przynajmniej stępiłby ostrze odwiecznej męki. Tej nocy zaspokoi pierwotną żądzę, która drzemie w najgłębszych zakamarkach duszy każdego stworzenia - nie wyłączając mężczyzny.

Tej nocy Smok wybierał się na polowanie.

Gwendolyn Wilder nie wierzyła w istnienie smoków.

Kiedy więc drzwi dworku zatrzęsły się pod łomotem ostrzegawczych pięści, któremu towarzyszył zdyszany wrzask: „Smok ruszył na łowy i zamierza nas wszystkich wymordować w łóżkach!”, stęknęła tylko pobłaźliwie i przetoczyła się na brzuch, zasłaniając uszy poduszką. Czemuż ten oszalały z lęku idiota przerwał nieskładnym skomleniem jej senne marzenia? Wolałaby już być zamordowana w łóżku!

Zatkała uszy palcami. Nic nie pomagało: podłoga trzęsała się od ciężkich kroków Izzy, która jak zwierzę schwyte w pułapkę krążyła po przedsiionku dworu. Mamrotała przy tym litanie przekleństw, przywołując na świadków nieszczęsnego losu wszelakie części boskiej anatomii, święte i mniej święte. Nagle rozległ się głuchy łomot, zakończony żalosnym skomleniem kundla, który miał pecha wpaść pod nogi rozjuszonej klucznicy. Bez wątplenia zapłaciła mu za to niezgorszym kopniakiem!

Gwendolyn przeturlała się na grzbiet i usiadła na sienniku

wypchanym wrzosami. Ze zgorszeniem stwierdziła, że jest w łóżku sama. Wolałaby po stokroć obudzić się od bolesnego kuksańca w żebra szpiczastym łokciem młodszej siostry, niż naocznie przekonać się, że Kicia wybrała się na nocną łazęgę. Odchyliła przykrycie, zrzucając przy tym stos pamfletów Królewskiego Towarzystwa, które rozłożył wachlarzem spoczęły na deskach podłogi. Narzuta usiana była żółtawymi śladami kopciucha w miejscach, gdzie przypalił ją płomień ogarka. Gwendolyn miała bowiem w zwyczaju rozkoszować się wielogodziną lekturą pod łatwopalną osłoną pościeli, - aż Izzy burczała, że któregoś dnia nieostrożna dziewczyna podpali dwór i upiecze je wszystkie żywcem.

Gwendolyn łypnęła na łóżko ustawione pod przeciwległą ścianą stryżku. Nie poczuła zdziwienia na widok pustego posłania. Nawet Smok miałby pewien kłopot z zamordowaniem Nessy w jej własnym łóżku, skoro większość nocy spędzała w cudzych albo zgoła i nie w porządnym posłaniu - gdyż wśród wioskowych kawalerów chodziły słuchy, iż pewna dziewczka Wilderów jest do tego stopnia niewymagająca, że zadowala się byle kopką siana czy omszałym brzegiem strumyka. Gwendolyn narzuciła na ramiona szal, modląc się w duchu, by starsza siostra nie doczekała się któregoś dnia bolesnej zapłaty z sękatą ręką jakiejś zazdrosnej żony.

Wyskoczyła z łóżka i oparła się o najeżoną drzazgami poręcz, która w świetniej szych czasach wyznaczała skraj galerii minstrelów. Wychyliła głowę dokładnie w tej samej chwili, gdy Izzy rozwarła na oścież wejściowe drzwi. Nocnym intruzem okazał się Ham, czeladnik druciarza. Oczy płonęły mu panicznym lękiem.

- Niech cię diabeł porwie, chłopcze! - ryknęła Izzy. - Jak

śmiesz łomotać w drzwi w środku nocy, gdy wszyscy uczciwi chrześcijanie śpią snem pobożnych?

Ham nie cofnął się pod gwałtownym natarciem pleczystej służki, chociaż zbladł jeszcze bardziej.

- Ty stara krowo, leć zbudzić swoją panią albo diabeł rzeczywiście porwie nas wszystkich! Jeśli nie damy mu tego, czego się domaga, spali całą wioskę i usmaży nas jak amen w pacierzu!

- Czegóż chce tym razem? - spytała. - Może twoich żyłastych flaków na cynowej tacy?

Ham podrapał się w głowę.

- Widzisz, tego nikt nie wie na pewno, dlatego właśnie posłali mnie po twoją panią!

Gwendolyn przewróciła oczami. Kiedy uczyła się czytać, nie spodziewała się, że jeszcze będzie tego żałować! Niestety, pod nieobecność wielebnego Throckmorton'a była jedyną osobą w wiosce, która umie odcyfrować pismo Smoka. Mimo to chętnie zostawiłaby Hama na pastwę gniewu Izzy i wróciła do łóżka, gdyby w tejże chwili nie wkroczył do sieni ojciec. Wypłynął z mroku gabinetu jak widmo niegdyś przystojnego, energicznego mężczyzny, którego zapamiętała z dzieciństwa. Z wychudłych ramion jak z wieszaka zwisała długa koszula barwy kości słoniowej. Z czaszki sterczały na wszystkie strony cienkie kosmyki włosów jak srebrzysty puch latawca. Gwendolyn bez namysłu odruchowo ruszyła ku schodom. Serce ścisnęło jej się w piersi. Nie była pewna, co sprawia jej większy ból: własna bezsilność czy jego? Ojciec jęknął żałośnie:

- Gwennie?

- Jestem tu, tatku! - pospieszyła z zapewnieniem i schwyciła go za łokieć, zanim potknął się o leżącego psa, co wcześniej

przytrafiło się klucznicy. Kundel spojrział na nią z wdzięcznością. Ojciec podniósł załzawione, półślepe oczy.

- Usłyszałem okropny hałas. Czy to Anglicy? Może to Cumberland powrócił?

- Nie, tatku! - odpowiedziała i czule pogładziła zmierzwiłone, rzadkie kłaczki. Alastair Wilder zapominał niekiedy, jak się nazywa, ale nic nie mogło zatrzeć w jego pamięci wspomnienia okrutnego angielskiego lorda, za którego przyczyną blisko piętnaście lat temu postradał zmysły. Gwendolyn obiecała ojcu z całym przekonaniem: - Cumberland nie wróci ani dzisiejszej nocy, ani już nigdy!

- Czy twoje siostry leżą bezpiecznie w łóżkach? Nie zniósłbym myśli, że ci łajdacy w czerwonych kurtach odebrali im cnotę!

- Tak, papciu, wszystkie dziewczęta śpią spokojnie.

Łatwiej było skłamać, niż tłumaczyć, że odkąd tyłu młodzieńców z klanu opuściło zagubioną w górach wioskę, by gdzie indziej szukać fortuny i szczęścia, Glynnis powitałaby zapewne z otwartymi ramionami cały regiment zadzierzystych angielskich żołnierzy, a Nessa na ich widok od razu rozłożyłaby nogi! Jeszcze bardziej bolała świadomość, że słodka Kicia podążyła w ich ślady.

- Nie musisz się obawiać ani Cumberlanda, ani jego żołdaków w czerwonych mundurach! - jeszcze raz uspokoiła ojca. - To tylko ten głupi Smok figluje sobie naszym kosztem!

Na policzki starca wypłynął rozgorączkowany rumieniec, Pogroził nie wiadomo komu wątlym, kościstym palcem.

- Powiedz im, by dawali mu wszystko, czego zażąda, i byli mu absolutnie posłuszni... Jeśli będą się wahać, przywiodą nas wszystkich do zguby!

- Właśnie próbowałem wytłumaczyć tej upartej kobyle... -

Ham zająknął się niepewnie, widząc, że Izzy zmrużyła groźnie oczy. - To jest, twojej służebnicy, żeby pozwoliła Gwendolyn udać się ze mną i odczytać pismo, które nam przysłał Smok. Niektórzy powiadają, że zostało napisane nie atramentem, lecz krwią!

Ojciec wbił w jej ramię zakrzywione jak szpony palce.

- Musisz iść z nim, dziewczeczko. Pospiesz się! W tobie nasza ostatnia nadzieja!

Gwendolyn westchnęła:

- Cóż, niech tak będzie, tatku. Ale proszę cię, pozwól, by Izzy odprowadziła cię do sypialni i porządnie otuliła futrami, a potem bez grymasów wypij kubek ciepłego koziego mleka, który ci przyniesie! Izzy, owiń gorącą cegłą w kawał flaneli i wsuń między jego prześcieradła, dobrze?

Twarz ojca zbiegła się tysiącnymi zmarszczkami w czułym uśmiechu. Staruszek uściskał jej dłoń.

- Moja córeczka, zawsze taka pocziwa!

Gwendolyn znała na pamięć ten pochlebny epitet. Jej siostry swawoliły w promieniach słońca i kokietowały, aż chłopcy płonili się z podniecenia i zażenowania. Ona była „grzeczną”, „pocziwą” córeczką, która utrzymała rodzinę na powierzchni znośnej egzystencji i wiązała koniec z końcem, gdy ojciec postradał zmysły, a matka zmarła przy porodzie syna, który przyszedł na świat martwy ledwie dwa tygodnie po tamtym nieszczęsnym dniu. Nikt nie wspominał głośno chłodnej, deszczowej nocy, gdy dziesięcioletnia Gwendolyn znalazła ojca w ogródku, gdzie usiłował gołymi rękami odkopać grób swej żony.

- Tak, papciu — musnęła całusem zwiędły policzek. -Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko! - I dodała pod nosem: - Nawet ubiję Smoka!

Nad pogrążoną we śnie wioską Ballybliss zbierała się burza. Powietrze drgało napięciem, chociaż wyniosłe zbocza gór okalających wąską dolinę jak zawsze szykowały się, by dać odpór głównej fali szturmu. Słona woń morza mieszała się z zapachem nadchodzącej ulewy. Gwendolyn spiesznym krokiem podążała w stronę ogromnego paleniska zbudowanego na placu zebrania w samym sercu osady. Pochylona, walczyła z uderzeniami wiatru, które wyrwały płowe pasma włosów spod wełnianego kaptura i łaskotały ją po karku niedobrym przecuciem. Zaciśnęła mocniej na piersiach fałdy szala i uchyliła się od zamieci iskier, który nagły poryw wichury wymiół z żaru.

Bez specjalnego zdziwienia ujrzała wśród tłumu wieśniaków otaczających ogień swoje siostry w komplecie. Wiedziała, że nade wszystko uwielbiają podniecające przeżycia. Gdy monotonia wioskowej egzystencji skapiła wystarczających podniecie, same tkwały osnowę dramatu, rozsiewając plotki, urządzając publiczne sceny zazdrości i miłosnych rozstań.

Glynnis wisiała u ramienia srebrnowłosego druciarza. Wiodocznie zew Smoka przerwał im miłosne igraszki, gdyż miała zarumienione policzki i wargi błyszczące jeszcze od rześzystych pocałunków. W odróżnieniu od Nessy, najstarsza córka rodu Wilderów nie pozwalała sobie na żadne swawolne igraszki... przed ślubem. Pochowała już dwóch mężów, którzy powiedli ją przed ołtarz w podeszłym wieku. Niepocieszona wdowa za każdym razem dziedziczyła ich domy i niepozorne schedy.

Nessa przycupnęła nieopodal na beli siana, tuląc się do boku Czarnego Lachlana, młodszego syna kowala. Sądząc po rozrzuconych dokoła źdźbłach i leniwej familiarności, z jaką młodzieniec skubał zębami jej ucho, Gwendolyn domyśliła się, że przebywali ze sobą już wcześniej tej nocy.

Pierwsza zauważyła ją bystrooka Catriona. Zeskoczyła z kolan piegowatego chłopca i gramoląc się między nogami tłumu, dopadła nadchodzącej w podskokach, od których trzęsły się kruczoczarne warkocze.

- Gwennie, czy słyszałaś już nowinę? - krzyknęła w podnieceniu. - Smok przedstawił nam kolejne żądanie!

- Owszem, Kiciu, słyszałam, choć jeszcze nie uwierzyłam. Ty też nie powinnaś zbyt łącno dawać wiary niedorzecznym pogłoskom!

Przez wisko młodszego siostry pasowało do niej jak ulał. Niegdyś była kędzierzawą dziewczuszką, która nade wszystko uwielbiała długie, leniwe drzemki i ochoczo zlizywała śmietankę z cennych porcelanowych spodków, stanowiących część matczynego wiana. Gwendolyn nie miała nic przeciw temu, ale wstrętem i obawą przejmowało ją co innego: ostatnio piśniczka nabrała równie kociego upodobania - wysiadywała na kolanach obcych podrostków i tuliła się do nich. Kicia tymczasem paplała gorączkowo:

- Nikt nie potrafi odczytać jego pisma, ale matka Maisie obawia się, że Smok nabrał chętki na ludzkie mięso, a sama Maisie uważa, że przyszła mu ochota parzyć się z którąś z wioskowych dziewczek! - zadygotała z przerażenia, w którym nie brakowało podniecenia. - Wyobrażasz sobie, wpaść w szpony takiej bestii?

Gwendolyn mimowolnie zerknęła na Lachlana. Z uszu młodzieńca sterczały czarne kępki szorstkich włosów, prawie tak gęste jak smoliste kędziory pokrywające gęstym futrem tors.

- Nie, kochanie, nie wyobrażam sobie. Czemu nie spytasz Nessy?

Ich uwagę przyciągnęły podniesione głosy w środku cizby.

- Powiadają wam, że powinniśmy dać mu wszystko, czego

zażąda! - upierał się jękliwie Norval, wioskowy piekarz. Nawet w migoczącym świetle płomieni miał twarz bladą i napuchniętą jak niedopieczona drożdżowa bułka. - Jeśli zaspokoimy jego życzenia, może wróci do swojej kryjówki w piekle i zostawi nas w spokoju!

- A ja nastaje, byśmy zebrali siły i pomaszerowali na zamek, spalić do gruntu tę złowrogą ruinę! - ryknął Ross, najstarszy syn kowala i niegdysiejszy prześladowca Gwendolyn, waląc w ziemię masywnym trzonkiem młota. - A może żaden z was nie ma ikry, by pójść na taką wyprawę?

Wyzwanie odbiło się od nagłej ciszy i odwróconych wstydliwie oczu mężczyzn. Przez zmartwiały tłum zaczął się przepychać Ailbert, kowal senior. Rossa wszyscy znali jako głównego krzykacza, a Lachlaną jako najpierwszego uwodziciela, lecz ich ojciec był naprawdę człkiem skorym do czynu. Surowa, pociągła twarz i zdecydowana linia szczęki budziły powszechny szacunek ziomków.

W podniesionej dłoni trzymał kremowobiały arkusz. Cienki welin trzepotał na wietrze. List od Smoka znaleziono w zwykłym miejscu: przybity pierzastą strzałą do powykręcane, wiekowego pnia starego dębu, który rósł na skraju wioski. Ailbert nabrał pełne płuca powietrza i zakrzyknął głosem gromkim jak dzwon zwiastujący dzień Sądu:

- Jak długo będziemy jeszcze dopuszczać, by ów potwór nas okradał?! Ile pozwolimy sobie odebrać zbiorów, stad, najprzedniejszej whisky, najmiększej wełny? Na jaką ofiarę przyszła dzisiaj kolej - na synów? A może córki... lub żony?

- Wolę oddać żonę niż whisky! - wymamrotał jeden z bliźniaków, Sloane, przechylając do ust kamionkowy dzban. Jego ślubna, którą tak ochoczo ofiarował bestii, dźgnęła go łokciem

pod żebra, aż zgiął się wpół i wypluł trunek na rozchełstana koszulę. Przez ciżbę przebiegł nerwowy chichot.

- Chłopcze nieszczęsny, gdy potwór zażąda od ciebie whisky, oddasz mu ją na kolanach! - stary Tavis na chwiejnych nogach wysunął się do przodu. Tłum zamarł, słuchając marnotliwego prorocstwa. - Gdy zechce pokładać się z twoją połowicą, i ją mu oddasz, a gdy zrobi już swoje, jeszcze mu podziękujesz! - Ze starczej grdyki wydarł się drwiący rechot. - Dasz mu wszystko, cokolwiek rozkaże, bo wiesz dobrze, że sam ściągnąłeś na siebie ten los i nie zasługujesz na nic lepszego!

Poniekąd odwrócili zawstydzone twarze, inni spoglądali na Tawisa wyzywająco, ale wszyscy wiedzieli, do czego pije. Niemal jak jeden mąż wzniesli oczy ku konturom zamczyska Weyrcraig, prastarej fortecy, w której cieniu żyli od urodzenia oni i ich przodkowie - tak długo, że nikt nie sądził, by mogło być inaczej.

Kicia przysunęła się bliżej do siostry, która wbiła oczy w ciemniejące na tle nocnego nieba mury. Opustoszałe, rozrabowane szczątki tkwiły na szczycie urwiska Ballybliss jak sen obłąkańca: wieżyce sterczące skruszałymi blankami w niebo, spiralne schody zstępujące w nicość jak w otchłań piekła, poszarpane brzegi dziur wydartych w kamiennych wałach wiekowego stołbu. Gwendolyn była dumna ze swego praktycznego podejścia do rzeczywistości, lecz i w jej duszy ten widok trącał struny wyobraźni - czarem utraconych marzeń i niespełnionego romansu.

Wieśniacy starali się nie dostrzegać na co dzień ruiny tkwiącej nad nimi niczym jawny wyrzut sumienia, ale żaden nie zapomniał owej nocy sprzed piętnastu lat, gdy angielskie hordy wdarły się na zamek. Siedzieli w swoich chatkach, ale nawet przez zabarykadowane drzwi i pięści wetknięte w uszy słyszeli

wycie armat i jęki umierających, a potem ciszę głęboką jak grób, gdy nie stało żywych do obrony.

Później zawsze znalazł się jakiś plotkarz głoszący, iż w ruinach zagnieżdżyły się potępieńcze dusze, ale dopiero w ostatnich miesiącach upiorni lokatorzy zamku porządnie dali się mieszkańcom wioski we znaki. Pierwszy Lachlan przyniósł wieści o niesamowitym beczeniu kobzy, dobiegającym z zamkowych sal, choć w dolinie próżno by szukać tych instrumentów od pamiętnej rebelii czterdziestego piątego roku. Niedługo po tej rewelacji Glynnis przybiegła z następną: w ciemnych oknach twierdzy wychodzących na wioskę mrugały błędne ogniki.

Gwendolyn z radością dałaby świadectwo, iż ani nie słyszała jęklwego zaśpiewu, ani nie widziała tajemniczych świateł, lecz sama pamiętała pewną lutową noc, gdy wsuwając dłonie za pazuchę w obronie przed niemiłosiernym mrozem spieszyła z apteki z maścią na okłady na schorzałe oczy tatki. Wtem zastygła w pół kroku, bo jej uszu dobiegło przedziwne zawołanie. Powoli odwróciła głowę, słysząc echo melodii, która przywołała wspomnienia innych dni, gdy Ballybliss kwitło pod mądrymi i dobrotliwymi rządami klanu MacCulloghów, gdy rodzinny dwór tętnił życiem w takt tańców wygrywanych na kobzie przez jej ojca przy akompaniamencie perlistego śmiechu matki. Dni, w których nadzieje i marzenia na radosną przyszłość skupiały się wokół chłopca o olśniewającym uśmiechu szmaragdowych oczu...

Przeszywająca słodycz melodii napełniła serce dziewczyny bólem, a oczy piekącymi łzami. Choć wyteżała wzrok, nie zobaczyła żadnych światełek, lecz podniósłszy oczy na zamkowe blanki, mogłaby przysiąc, iż ujrzała cień mężczyzny, którym stałby się ów chłopiec, gdyby przeżył ową straszliwą

noc. Zamrugała, by odgonić łzy, a gdy znowu otworzyła oczy, cień zniknął i ucichła tęskna melodia, zostawiając w duszy Gwendolyn jedynie dotkliwy smutek.

Wkrótce potem Ailbert znalazł przyszpilone do pnia dębu pierwsze pismo z żadaniami Smoka.

- Znowu ta stara kłątwa! - mruknął Ross, którego cała czupurność rozpląnęła się pod biczem drwin starego Tawisa jak śnieg w ogniu.

- O tak, zaiste, ciąży nad nami kłątwa! - zawtórował jego ojciec, a surowa twarz wydłużyła się jeszcze bardziej. Lachlan mocniej ścisnął ramieniem Nessę, jakby chcąc ją chronić.

- Jakoś nie wydaje mi się sprawiedliwe, byśmy wraz z Nessą musieli cierpieć za to, co się wydarzyło, gdy oboje byliśmy jeszcze małymi dziećmi i nic nie mogli poradzić!

Stary Tavis pogroził mu kościstym paluchem.

- Grzechy ojca przejdą na synów...

Kilkoro w cizbie mruknęło potakująco, niektórzy przeżegnali się znakiem krzyża. Gniew Korony uczynił z ich kapłanów banitów, postawił poza prawem stare tradycje kraciastych kiltów i gry na kobzie, ale nawet piętnaście lat rządów, które Anglicy sprawowali żelazną pięścią, nie zdołało podkopać upartej wiary w Boga takiego, jakiego czcili ich rodzice. Gwendolyn domyślała się, że żaden z wieśniaków nawet nie podejrzewał, iż stary Travis cytuje nie Pismo Święte, lecz mędrca starożytności, Eurypidesa! Łagodnie odsunęła Kicię i wystąpiła na środek zacichłego z przejęcia kręgu. Odezwała się rzeczowo:

- Trele-morele! Nie ma czegoś takiego jak kłątwa, nie istnieją też żadne smoki!

Tłum wybuchł wrzawą protestu, lecz Gwendolyn nie dała się zagłuszyć.

- Powiedźcie, czy którekolwiek z was widziało kiedy owego Smoka?!

Po chwili milczenia łan Sloan odchrząknął i zamienił wymowne spojrzenie z bratem bliźniakiem.

- Słyszałem jego okropniasty ryk!

- A ja czułem tym tu nosem jego odrażający odór - uzupełnił Norval. - Śmierdział jak siarka piekielna! A kiedy wstałem następnego dnia rano, ujrzałem pole spalone do żywej ziemi!

- Spalone ogniem piekielnym czy od płomienia pochodni? - Gwendolyn wyrwała arkusz welinu z dłoni Ailberta. - Powiedzcie, mądry ludzie: jeśli nasz dręczyciel jest rzeczywiście Smokiem, to jak wypisuje swoje zuchwałe żądania? Może przytrzymuje gęsie pióro w szponach? Albo zatrudnia sekretarza?

- Każdy wie, że Smok potrafi na życzenie przemieniać się z potwora w człowieka - zganiła ją jakaś starsza kobieta we wdowim czepku. - Kto wie? Może przechadza się właśnie w tej chwili między nami?

Wieśniacy poruszyli się nerwowo i zaczęli ukradkiem odsuwać jeden od drugiego, rzucając na sąsiadów podejrzliwie spojrzenia. Gwendolyn przymknęła oczy, usiłując nie zapomnieć, że gdzieś za górami istnieje świat, w którym matematycy zgłębiają dzieło Eulera *Analysis Infinitorum*, filozofowie spierają się o treści zawarte w traktacie Adama Smitha *Teoria uczuć moralnych*, a wykwintne damy w upudrowanych perukach drepczą stopkami w satynowych pantofelkach po posadzkach sal balowych w ramionach olśniewających kawalerów.

Zwróciła się do Ailberta w nadziei, że jemu przynajmniej zdoła przemówić do poczucia trzeźwego rozsądku:

- Uważam, że ów Smok to nic innego, jak okrutny figiel, który ktoś usiłuje nam splątać! Ten spryciarz bez litości

wykorzystuje wasze poczucie, że powinniście być ukarani za to, co się stało tamtej nieszczęsnej nocy.

Ailbert zachmurzył się, wieśniacy zaczęli pomrukiwać z niechęcią.

- Z całym szacunkiem, dziewczeczko, przywołał cię do nas po to, byś nam odczytała jego pismo, a nie filozofowała!

Gwendolyn zacisnęła wargi i rozwinęła kremowy arkusz, odsłaniając linijki zapisane znanym jej zamaszystym pismem, zdradzającym męską rękę.

- Zdaje się, iż Pan Smok zgłodniał ociupinę... i jeśli nie byłoby to dla nas zbyt uciążliwe, chętnie by powieczerał przy duszeniu ze świeżej dzicyzny, popijając to dzbanem odpowiednio dojrzałej whisky... - Ten i ów przytaknął głową z aprobatą i zrozumieniem dla życzeń potwora. W swoich gustach był im równie bliski jak sąsiad zza płotu. - Oraz - zająknęła się i jej chłodny głos zamarł do ledwie słyszalnego szeptu - ...pragnie dostać tysiąc funtów w złocie.

Gdyby tajemniczy potwór zażądał nie tej potwornej kwoty, lecz sławetnych trzydziestu judaszowych srebrników, wieśniacy zareagowaliby tak samo: odebrałoby im oddech z czystego przerażenia. Od lat po wiosce krążyły pogłoski, iż owego potępionego dnia któryś z mieszkańców zaprzedał swego przywódcę klanu Anglikom za tysiąc funtów w złocie. Ailbert przysiadł ciężko na pniu i potarł zapadnięte policzki.

- Jakże mamy zebrać taką sumę - tysiąc cholernych funtów?! On chyba dobrze wie, że angielskie pijawki wyssały z nas wszystką krew, obrabowały nas z ostatniego szylinga... nawet miedziaki wygrzebali ze skrzyń?

Gwendolyn odpowiedziała cicho:

- Niewątpliwie dobrze o tym wie, ale drażni się z nami, jak kot bawi się z tłustą myszą...



- ...zanim ją pożre! - dokończył ponuro poblady Ross.  
 - A jeżeli nie dostarczymy złota? - Ailbert podniósł błagalne oczy na Gwendolyn, jak gdyby dziewczyna mogła wpłynąć na Smoka, by złagodził swe pogroźki. Przebiegła oczami ostatnie linijki pisma.

- Powiada, że jeśli nie zadośćuczynimy jego warunkom, ściagniemy zagładę na Ballybliss!

Kicia nie omieszkała wykorzystać okazji, by podkreślić dramat ich sytuacji: wybuchnęła rozpaczliwym płaczem. Nessa i Glynnis wyplątały się z ramion swoich towarzyszy i rozszochały się objęte siostrzanym uściskiem. Ailbert podniósł się z pniaka i zaczął krążyć po przesiece.

- Jeśli nie możemy dać mu złota, musi być jakaś inna ofiara, którą ułagodzimy tego diabła! Coś, co sprawi, że choć na chwilę zostawi nas w spokoju.

- Ale... cóż to może być? - spytał Ross. - Wątpię, by udało nam się zebrać wśród wszystkich mieszkańców choćby dziesięć funtów.

Raptem stary Tavis począł mamrotać chrapliwym szeptem słowa, które zelektryzowały zebranych:

*Niech smocze skrzydła biją na waszą zagładę,  
 A oddech płomienisty wasze groby spali,  
 Niech pomsta sprawiedliwa zaciąży nad wszystkimi,  
 Niewinną krew przeleje odwetu słuszny czyn!*

Dzieci uczyły się tej straszliwej pieśni u kolan swoich matek, zanim jeszcze opanowały sztukę chodzenia. Takimi właśnie słowy umierający przywódca klanu przeklął swoich ziomków. Gwendolyn znała je na pamięć i nie rozumiała, czemu właściwie na ich dźwięk dreszcz przebiega jej po krzyżu, ale zawsze tak

było i tym razem zareagowała nie inaczej. Ross szarpnął Tawisa za fałdy tuniki na piersiach.

- Co tam mamroczesz, starcze?

Jednak jego napastliwość nie uczyniła na nikim wrażenia. Mimo bielma starości, w oczach Tawisa zalśniły przebiegłe iskierki:

- Przecież każdy wie, że Smok to nikt inny, jak stary MacCullogh, który powrócił z zaświatów, by ukarać zdrajców! Jeśli naprawdę chcemy się go pozbyć na dobre, musimy przełamać klątwę!

Ross odepchnął Tawisa, aż stary zatoczył się na ziemię. Oczy Ailberta zlodowaciały w nagłym zamyśleniu. Począł przesuwac wzrok po zacichłym kręgu.

- Niewinna krew... być może oznacza to konieczność jakiejś ofiary...?

Jego siostrzenica, Marsali, zadrżała pod nieobecny spojzeniem i przytuliła do piersi swoje nowo narodzone dziecko. Gwendolyn krzyknęła z desperacją, żałując, iż nie posiada daru nabożnych przekleństw, które tak gładko spływały z ust Izzy:

- Och, na Boga Jedyne! Czy naprawdę sądzisz, że potwór chce nas nakłonić do złożenia ofiary z ludzkiej krwi?

Ross, który niedawno poznał urok ojcostwa, bo jego czternastoletnia oblubienica powiła dziecko, strzelił palcami i rozjaśnił twarz.

- Dziewica! Niewinna krew to nietknięta dziewczeczka!

Zmrużonymi złowieszczymi oczami zaczął przyglądać się świeżym dziewczęcym twarzyczkom. Większość młódek z Ballybliss wydawano za męż, gdy tylko osiągnęły dwanaście lat - wiek dojrzałości. Młody mężczyzna z zadumą przyglądał się jednej po drugiej, minął splecione w uścisku Glynnis i Nessę i zatrzymał wzrok na Kici. Jego wargi rozchyliły się w uśmiechu.

- O, nie, w żadnym wypadku! - krzyknęła Gwendolyn i schowała siostrę za siebie. - Nie zrobisz z mojej małej siostrzyczki przekąski dla jakiegoś złośliwego oszusta!

Kicia łagodnie rozplotła palce Gwendolyn zaciśnięte wokół jej przegubu.

- Gwennie, wszystko w porządku, nie obawiaj się. I tak nie moglibyśmy złożyć mnie w ofierze Smokowi, bo... ja już nie... to znaczy, ja i Niall... - Pochyliła głowę. - *Cóż*, Niall mówił, że nie ma w tym nic złego!

Gwendolyn poczuła, jak serce zamiera jej w piersiach. Piegowaty chłopak, z którego kolan zerwała się Kicia, by podbiec do siostry, zarumienił się po korzonki włosów i wcisnął w zarośla porastające skraj polany. Gwendolyn szepnęła:

- Och, kotku... - Wyglądziła pukiel, który spadł na dziecinne czółko. - Czyż nie uczyłam cię, że zasługujesz na lepszy los?

- Nie gniewaj się! - prosiła Kicia. Ujęła dłoń siostry i przyłożyła ją sobie do policzka, podnosząc na nią błagalne oczy. - Nie chciałam skończyć tak jak... - „...tak jak ty!” Kicia zająknęła się i nie dokończyła, ale Gwendolyn wiedziała, co ma na myśli jej młodsza siostra. Zamrugała, by odgonić spod powiek łzy i łagodnie, lecz zdecydowanie wysunęła dłoń z rączki Kici. Zacisnęła pięść, w której trzymała welinowy arkusz, aż zaszeleścił sucho. Jaka była głupia, że zgodziła się w ogóle wstać z ciepłego łóżka i przyjść tutaj! Wolała znosić przychodzące znienacka napady zaćmienia umysłowego ojca, niż stawiać czoło obłędowi tego, co się tu wyprawiało. Okręciła się na pięcie i cisnęła zmiętą papierową kulka prosto w pierś Rossa. Czuła, jak rośnie dziecięca nienawiść do drwiącego uśmiechu na jego gębie.

- Życzę ci powodzenia w poszukiwaniach dziewicy w Bal-

lybliss. Chyba miałbyś więcej szans, gdybyś polował na jednorozca... albo Smoka!

Odrzuciła się plecami do ciżby i już miała odejść, gdy zatrzymała ją w miejscu osobliwa cisza. Nawet wiatr zdawał się wstrzymać w napięciu oddech i tylko Kicia, żałośnie pociągając nosem, zakłócała ogólne milczenie, Gwendolyn powoli odwróciła się z powrotem do wieśniaków i natknęła się na mur chłodnych, badawczych oczu. Zadrżała, widząc, jak twarze znane od dzieciństwa zamieniły się w nieczułe maski obcych, wrogich ludzi.

- Och, nie... - mimowolnie cofnęła się krok do tyłu. -- Nie myślicie chyba, że ja...

Ross zmierzył ją wyrachowanym spojrzeniem od stóp po czubek głowy, jakby porównując jej pulchne zaokrąglenia do wiotkich sylwetek sióstr.

- Smok miałby co wcinać, nie sądzicie?

- Ano, prawda! - rozległo się mruknięcie aprobaty. - Gdyby ją dostał na wieczrę, dałby nam spokój na jakiś czas.

- Kto wie, czy to nie ona pożarłaby Smoka, gdyby dobrze zgłodziła!

Kicia przestała sikać nosem i uderzyła w szloch, a Glynnis i Nessa zaczęły przepychać się przez tłum, rozpaczliwie usiłując utworować sobie drogę do Gwendolyn, lecz wieśniacy ich nie dopuścili. Gromada prostych, lecz poczciwych ludzi zamieniała się stopniowo w nierozumną tłuszcę, którą kierują jedynie oszalałe emocje.

Gwendolyn próbowała przemówić im do rozsądku:

- Nie dajcie się zwieść! Byłabym nędzną ofiarą dla smoka, bo... - gorączkowo przeszukiwała umysł w pogoni za jakimś pretekstem, który uczyniłby z niej niestosowny przysmak dla wymagowanej bestii. Spojrzeniem nakazała Kici milczenie i wykrztusiła: - ...od dawna nie jestem dziewicą!

Napór zelżał, podczas gdy wieśniacy przetrzymywali niespodziewaną rewelację. Nawet Glynnis i Nessa wyglądały, jakby zaczęły się zastanawiać nad prawdą jej słów. Gwendolyn pospiesznie ciągnęła: - Jestem najbardziej rozwiązańką dziewczynką w tej osadzie! Zapytajcie kogośkolwiek z mężczyzn - szal zsunął jej się z ramion, gdy wyciągnęła palec w kierunku najświeższego kawalera Nessa. - Pokładałam się z Lachlanem! A nawet z jego ojcem! - Ponura żona Ailberta wydała z siebie zduszony jęk. Ogół wieśniaków zdawał się tymczasem otrząsnąć z pierwszego wrażenia. Na ich twarzach widać było rosnące niedowierzanie. - Miałam obu mężów Glynnis i wielbego Throckmorta! - Poczciwy księżulo wyjechał, nie mógł więc słyszeć jej bluźnierczego oskarżenia, za co Gwendolyn odmówiła w duchu pospiesznej modlitwy dziękczynną. Czując, że przebrała miarę, zebrała się do ucieczki. Jeśli uda jej się dotrzeć do dworu, Izzy powstrzyma nawet zuchwałego Rossa - wystarczy, że pomacha złowieszczą wążką do ciasta i zmierzy wichryciela spojrzeniem godnym Meduzy! Zanim jednak zrobiła trzy kroki, napotkała przeszkodę w postaci obfitego biustu Marsali. Podniosła oczy, a widząc na twarzy wieśniaczki uśmiech matczynej troski, uświadomiła sobie, że to nie mężczyźni zamieszkujących Baliybliss powinna się obawiać, lecz ich kobiety.

## 2

Przy akompaniamencie przeraźliwego ryku Kici mieszkanki wioski krzątały się wokół Gwendolyn, upiększając ją na schadzkię ze Smokiem. Zawodzenie najmłodszej z dziewcząt Wilderów zagłuszało odgłosy burzy, szalejącej za masywnymi okiennicami chaty Marsali. Glynnis bardziej opanowanie łkała w chusteczkę, a Nessa starannie ocierała każdą łzę, która wzbierała pod powiekami, pamiętając, że trudno o powabny wygląd, gdy się ma zaczerwieniony nos i spuchnięte od płaczu oczy. Siostry szybko zorientowały się, że wszelkie bardziej stanowcze protesty na nic się nie zdadzą, gdyż sprzymierzeńczyni Marsali przewyższały je liczebnością. Gwendolyn zacisnęła zęby, słysząc piskliwe zawodzenie Kici:

- Och, Gwennie, jesteś taka szlachetna i odważna! Poświęcasz się dla dobra nas wszystkich!

Nessa oznajmiła obiecująco:

- Może Lachlan ułoży pieśń pochwalną na twoją cześć? Tak zwinnie umie przebierać palcami po strunach harfy! - rozmarzony uśmiech na jej wargach świadczył, że palce Lachlana dowiodły zwinności jeszcze i w innego rodzaju, grze.

Glynnis dorzuciła żarliwie:

- Tak, nigdy cię nie zapomnimy!
- Wątpię, byście mieli do tego okazję - oświadczyła Gwendolyn. - Mam stanowczy zamiar jeszcze przed świtem znaleźć się z powrotem w łóżku!

Marsali i jej towarzyszki, nie podzielały tej nadziei. Za każdym razem, gdy Gwendolyn próbowała podnieść się z ustawionego przed ogniem zydła, na którym ją usadowiły, liczne dłonie sadzały ją z powrotem. Zdążyły zwlec z niej już praktyczne, lecz niezbyt nadobne wełniane odzienie i narzuciły na obnażone ramiona płócienne gieżło - stosowną szatę ofiarną dla dziewicy. Inne gospodynie wyszarpnęły niepozorny drewniany grzebień z koka Gwendolyn i rozpuściły jej warkocze. Babcia Hay zajrzała w twarz dziewczyny.

- Pomyśleć, że jej matka była prawdziwą pięknoscią! Cóż za szkoda, że dziewczka nie dorównuje urodą siostrom.

Słowa staruchy nie dotknęły Gwendolyn, gdyż już dawno uodporniła się na żądło podobnych przytyków i pogodziła się z rolą „mądrej” w gromadzie nadobniś, z których sływał jej ród. Babcia Hay chwyciła tymczasem w palce jej dolną wargę, odciągnęła i badawczo zajrzała w usta.

- Na szczęście ma ładne zęby i słodkie dołeczki! - odsłoniła w szerokim uśmiechu własne pożółkłe pieńki.

- I wspaniałe złote warkocze! - dodała Marsali, przeczesując usmolonymi paznokciami lśniące sploty. Jej własne włosy koloru myszowatego zwisały rzadkimi, sklejonymi brudem kosmykami wokół ciastowatej twarzy.

- Gdyby jeszcze nie była taka tłustą! - docięła żona Alberta, wciąż rozżłoszczona przechwałką Gwendolyn, że wzięła sobie jej męża na kochanka. Korpulentna wieśniaczka miała nad dziewczyną przewagę dobrych pięćdziesięciu kilogramów,

Gwendolyn musiała więc zagryźć wargi, by stłumić mimowolną ripostę. Marsali tłumaczyła jej tymczasem pocieszającym tonem:

- Właściwie dobrze się dla ciebie złożyło, dziewczeczko, że zostałeś wybrana. Dobiegasz już wszak dwudziestu pięciu wiosen i niewiele zostało nadziei na znalezienie ci małżonka! - Tu kobieta rzuciła czułe spojrzenie w kąt, gdzie w kolebce spała jej kilkumiesięczna córeczka, dzięki ofierze Gwendolyn bezpieczna od szponów Smoka.

Dziewczyna odparła:

- Jestem przecież i tak młodsza od Glynnis i Nessy!
- Iście, że jesteś od nich młodsza, ale Glynnis pochowała już dwóch mężów, a Nessa może wybierać spomiędzy wszystkich zdatnych do żeniaczki kawalerów w wiosce!

- Może stary Tavis zgodzi się poślubić Gwennie? - zaproponowała Kicia z nową nadzieją w głosie.

Gwendolyn zadrzała:

- Nie, dziękuję! Wolę już skończyć jako wieczerza Smoka, niż utonąć w ślinotoku bezzębego starucha!

Marsali ułożyła jasne kędziory Gwendolyn na podobieństwo migotliwej opończy okrywającej ramiona dziewczyny. Nagle nad ich głowami rozległ się ogłuszający grzmot. Kobiety podskoczyły bojaźliwie, a Gwendolyn złożyła dłonie na kolanach, by ukryć ich drżenie. Nessa znalazła kolejne słowa otuchy:

- Nie musisz się martwić o tatkę, dobrze się nim zaopiekujemy!

- Ostatni raz, kiedy miałeś na niego uważać, o mało co nie spłonął, bo jego nocna koszula zajęła się od ognia na kominku. Biedak przysunął się zbyt blisko, by się ogrzać, kiedy ty wyszłaś sobie na schadzki z siostrzeńcem rzeźnika!

Glynnis odjęła chusteczkę od oczu.

- Ale teraz ja będę jej pomagać!

- Ach, tak? Ty pozwoliłaś mu wybiec w śnieżną zawieję do walki z „czerwonymi kurtami” - angielskimi zbirami, których sobie uroił za progiem! W dodatku poszedł ubrany tylko w króciutki kilt i koszulę! Prawie zamarzł, zanim go znalazłam - uszczypliwie przypomniała Gwendolyn. Splotła dłonie, by odeprzeć falę nagłej paniki. Kicia dowiodła dzisiaj bez żadnych wątpliwości, że już jej nie potrzebuje, ale co się stanie z tatkiem, gdyby jej zabrakło? Wystarczy jeden ryk rozżłoszczonej Izzy, by przywieść nieszczęsnego, nieprzytomnego starca do płaczu! Zebrała cały upór i mruknęła pod nosem:

- Żaden Smok nie istnieje, a ja wrócę do domu na czas, by nałożyć tatce poranną owsiankę.

Głośny łoskot wstrząsnął belkowaniem dachu, aż Gwendolyn podskoczyła, ale dopiero widząc na spopielałych twarzach kobiet poczucie winy z domieszką strachu, uświadomiła sobie, że to nie odgłos grzmotu, tylko walenie pięściami w drzwi chaty.

Nadszedł jej czas.

Związano jej z przodu dłonie, lecz Gwendolyn postanowiła nie dać im okazji do dalszych upokorzeń. Aby nie musieli jej wlec, z zaciętą miną maszerowała na czele ciżby. Jasne pasma włosów rozwiewanych wiatrem smagały ją po policzkach. Niebo raz za razem przecinały błyskawice, a towarzyszące im głuchoe grzmoty przypominały burczenie w potwornym, wygłodniałym brzuchu bestii. Gwendolyn spodziewała się deszczu, lecz gdy pierwsze lodowate krople spadły jej na czoło, odruchowo wzdrygnęła się i schyliła twarz. W gęstniejącej ulewie pochodnie zaskwierczały i zgasły, otaczając Gwendolyn chmurą gryzącego dymu. Poczowała smród wilgotnej smoły.

Po obu jej stronach szli Ross i Ailbert, pilnując każdego kroku na wąskiej ścieżce wijącej się ostrymi zakrętami w górę

stoku. Gwendolyn wbijała wzrok w ciemność, aż bardziej poczuła, niż ujrzała nad sobą złowróżbny cień fortecy Weyrcraig. Zamek przycupnął na szczycie postrzępionej grzędy skalnej. Nawet w obecnym opłakanym stanie nie utracił osobliwego czaru, z którego ongiś sływał. Dzisiejszej nocy żadne światło nie rozpraszało ciemności opustoszałych komnat, żadne kobzy nie podjęły jęklivymi głosami powitalnej pieśni. Pomimo to Gwendolyn miała wrażenie, iż ukochany zamek marzeń z jej dziecinnych lat zamienił się w siedlisko koszmarów, budzących w sercu niewymowny lęk. Ailbert, równie czuły na niesamowitą atmosferę miejsca, zaklął cicho. Nawet gruboskórnego Rossa zdradzały dygocące kolana. Po raz pierwszy od chwili, gdy wywlekli ją z chaty i chwycili pod ręce, Gwendolyn zawahała się i potknęła.

Gdy wyszli spod osłony zboczy gór otaczających dolinę, stanęli twarzą w twarz z całą przerażającą potęgą burzy. Ulewa siekła ramiona Gwendolyn. Przemoczone gieżło przyłgnęło do pleców. Czuła, jak wilgoć przenika ją aż do kości, Wicher zawodził przeraźliwym jękiem. Ostatnie pochodnie zgasły, pograżając orszak w całkowitych ciemnościach. Wieśniacy przyspieszyli kroku, spłoszonym wzrokiem spoglądając w niebo, jakby oczekiwali, iż ze skłębionych chmur spadnie na nich, na skrzydłach potępieńczego ognia, ostateczny cios. Ross szarpnął Gwendolyn za ramię, aż dziewczyna potknęła się i upadła, do krwi kalecząc kolano. Ignorując ból, zmusiła się do dalszego marszu. Przyszło jej na myśl, że jeśli się zatrzyma, postępująca z tyłu tłuszcza może ją stratować. Niemal namacalnie czuła ich obłąkańczy strach; dusił ją metalicznym posmakiem w gardle. Sama nie wiedziała, czy to, co czuje na widok bramy z żelaznej kraty pogruchothanej przed piętnastu laty uderzeniem angielskiej kuli armatniej, to strach, czy wdzięczność, że koszmarny pochod zbliza się do końca.

Tym razem to nie Gwendolyn się ociągała, lecz sami wieśniacy.

Dotychczas wszystkie ofiary dla Smoka zostawiano na zewnątrz, bo z wyjątkiem kilku młodych śmiazków, czy też raczej głupców, którzy ulegali wyzwaniu ich lękliwszych rówieśników, nikt nie ośmielał się wetknąć nosa do zamku - od tamtego smętnego poranku, gdy poddani ponieśli ciała swego pana i jego rodziny w dół stoku.

Przez krótką chwilę w duszy Gwendolyn zbudziła się nadzieja, że obawa wieśniaków oznacza jej ocalenie, bo nikt nie odważy się pogwałcić sanktuarium zamkowego podwórca. Ale nadzieja zgasła, gdy Ross potężnym pchnięciem wyrwał pogiętą kratę z zardzewiałych zawiasów. Deszcz spływał po policzkach Ailberta jak łzy. Kowal krzyknął, zagłuszając lęk:

- Naprzód! Miejmy to już za sobą!

Gwendolyn zaczęła stawiać opór, lecz porwali ją za ramiona i powlekli przemocą. Przed oczami przesuwały się oderwane obrazy: kamienne mury porośnięte mchem, bezgłowy posąg kobiety w fałdzistej marmurowej szacie, wreszcie szereg stopni, które zawiodły ich pod strzaskane, najeżone drzazgami skrzydła zamkowych wrót. Wciągnęli dziewczynę na wewnętrzny dziedziniec, gdzie Ross z łatwością znalazł lukę w skruszałym i zarośniętym zielskim bruku. Lachlan podał mu młot. Jednym potężnym zamachem młodzieniec wbił w ziemię pał, do którego Ailbert błyskawicznie przywiązał sznur krepujący dłonie Gwendolyn. Dla pewności okręcił linę kilkakrotnie wokół jej piersi, pasa i ud, po czym mruknął:

- Niech Bóg się zlituje nad twoją duszą, dziewczeczko!

- Jeśli mnie tu zostawicie, to nie moja dusza będzie w potrzebie boskiej litości, lecz twoja! - wypluła spomiędzy szczę-

kających zębów. - Zwłaszcza jeśli szczenę tu z zimna, a wy, kiedy wróćcie, zastaniecie moje kości przywiązane do pała!

- Nim przyjdzie świt, Smok użyje ich na wykałaczkę - zakpił Ross.

Zanim mogła splunąć mu w twarz, niebiosa eksplodowały. Z wydętych wiatrem chmur spłynął jezor ognia, rozwidlony jak u gada, a niemal jednocześnie ich uszy smagnął potężny bicz grzmotu.

Jakaś kobieta krzyknęła:

- To Smok! Smok nadchodzi!

Podwórzec wypełnił ryk, ogłuszający jak wrzask wyrwany z samej gardzieli piekieł, i trwał bez końca, przetaczając się od ściany do ściany. Wieśniacy, potykając się i przepychając, umknęli w ciemność, zostawiając Gwendolyn na pastwę Smoka. Dziewczyna sama nie wiedziała, kiedy zacisnęła oczy i krzyknęła. Dopiero potem zdała sobie sprawę, że przerażający ryk urwał się w tej samej chwili, gdy zabrakło jej tchu, a krzyk zamarł w ściśniętym gardle. Strach podciął jej kolana. Zwiśła bezwładnie w pętach, czując pał wrzynający się w plecy. Tylko dzięki niemu nie upadła na wilgotny bruk.

Mijały długie minuty... Stopniowo zaczęła zdawać sobie sprawę, że ulewa przeszła w drobny deszczyk, bardziej smętny niż przerażający. Nawet wtedy nie ośmieliła się jeszcze otworzyć oczu. Kiedy wreszcie zdobyła się na odwagę, odkryła, że ma za towarzyszkę bezgłowy posąg kobiecy w rogu dziedzińca. Statua wyglądała na równie osamotnioną i zagubioną jak ona. Gwendolyn przełknęła, walcząc z falą paniki. Cóż, przynajmniej zachowała jeszcze głowę na ramionach!

Jeszcze...

Ten dziecięcy głosik dobiegł z dalekiej przeszłości, z lat, gdy wierzyła, że błędne ogniki na bagnach to dusze potępione,

że przysadziste głazy potrafią przybierać postać nadobnych kawalerów i zwabiać nieostrożne dziewczeczki w swe zimne objęcia... że chłopiec o szmaragdowych oczach mógłby ją wziąć za anioła.

Wbiła oczy w mrok, bo raptem zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Ktoś... lub coś... obserwowało ją ukradkiem.

Zebrała całą odwagę i wyprostowała się dumnie. Nie pozwoli, by jakakolwiek bestia, prawdziwa czy wymaginowana, ujrzała jej strach!

- Nie wierzę w twoje istnienie, wiesz?! - krzyknęła. Słowa wybiegły jej z gardła żenującym chrypieniem, więc odchrząknęła i zaczęła jeszcze raz: - Mamy rok tysiąc siedemset sześćdziesiąty pierwszy, a nie tysiąc czterysta sześćdziesiąty pierwszy, a ja nie jestem ciemną chłopką, którą mógłbyś ogłupiać bzdurami o nadprzyrodzonych zjawiskach i potworach!

Jedyną odpowiedzią na śmiałe wyzwanie był łagodny szelest deszczu o bruk. Gwendolyn zaczęła podejrzewać, że koszarne przejścia nadważyły jej władze umysłowe. Potrząsnęła głową, odrzucając z oczu namoknięte kędziory.

- Lepiej, byś wiedział, że czytam traktaty naukowe, studiuję wiedzę ścisłą i wyznaję filozofię racjonalizmu! Ilekroć wielbny Throckmorton jedzie do Londynu, przywozi mi pisma Królewskiego Towarzystwa dla Wzbogacania Wiedzy Naturalnej Metodą Badań Naukowych!

Nagły poryw wiatru uderzył o kamienie dziedzińca, uniósł jej słowa i cisnął je o ślepe i głuche mury. Poczowała gęsią skórkę na ramionach, bo ujrzała jakiś ruch w lewym kącie podwórca. Jak zaczarowana patrzyła na ciemny kształt, który zaczął wyłaniać się z mroku. Przebiegł ją dreszcz, choć nie był wywołany ani zimnem, ani ulewą.

- Nie istniejesz! - wyszeptała, modląc się jednocześnie,

żeby to okazało się prawdą. - Nie istniejesz! Nie ma cię tu! Nie wierzę w ciebie!

Instynkt nawoływał, by zamknęła oczy i w ten sposób odgoniła obraz bezimiennego „czegoś”, co powoli formowało się z ciemności, lecz jakaś potępięcza ciekawość - ta sama, która wiele lat temu kazała jej zanurzyć jedną z tunik Izzy w oliwie i podpalić (Izzy miała ją wtedy na sobie!) - zmuszała ją teraz, by trzymać oczy szeroko otwarte, bez jednego mrugnięcia wlepione w mroczny ką.

Kroplą, która przelała czarę jej wytrzymałości, okazały się nie czarne jak smolista noc skrzydła, trzepoczące na szerokich barkach, ani srebrzysty dym buchający z nozdrzy, lecz twarz. Oblicze straszniejsze i piękniejsze od każdego, jakie mogła sobie wyśnić.

To był ostatni obraz, który zarejestrowała jej świadomość. Potem źrenice uciekły ku skroniom i Gwendolyn osunęła się w gęsty mrok omdlenia.

## 3

Mężczyzna, który nazwał się Smokiem, patrzył osłupiały na osobliwą ofiarę, którą przywieźli mu mieszkańcy osady. Z rozchylnych warg wypadła dymiąca cygaretką i zgasała z lekkim sykiem w deszczowej kałuży. Za nim wyłonił się z cienia jego towarzysz, który podniósł brwi w sardonicznym uśmiechu.

- Wiem, że masz reputację mężczyzny, przy którym panny popadają w omdlenie, ale nie sądziłem, że sam twój widok wystarcza!

Smok okrążył pal ofiarny. Podmuchy wiatru wydymały fałdy obszernego czarnego płaszcza, sięgającego aż do kostek smukłych nóg.

- Co ich, u licha, natchnęło, żeby mi przyprowadzić kobiety? Chciałem jedynie soczystego steku z dziczyzny i dzbana przedniej whisky, by ogrzać przemarznięte kości!

- Założę się, że jej towarzystwo może równie skutecznie cię ogrzać co stara whisky - przyjaciel zmierzył z uznaniem pełne piersi i wydatne biodra zemdlonej. - Moja zacna, a wygadana babka cioteczna Taffy, niegdyś kochanka króla Jerzego

Pierwszego, mawiała o takich, że są „doskonałymi reproduktorkami”.

Nieoczekiwana branka była przyodziana w powiewną szatę do samych stóp, krojem bardziej przypominającą tunikę niż suknię. Deszcz przemoczył tkaninę, czyniąc ją jeszcze bardziej przezroczystą. Gieźło oblepiło ciało dziewczyny, nie zostawiając pola dla wyobraźni. Spomiędzy pasm wilgotnych włosów barwy miodu przezierał nieśmiało ciemny zarys sutka. Smok zdał sobie nagle sprawę, że pożera nieprzytomną wzrokiem równie lubieżnym jak jego przyjaciel. Porywczym gestem zerwał z siebie opończę i otulił dziewczynę, mamrocząc coś pod nosem. Głowa omdlałej opadła na pierś. Łagodnie uniośł palcem jej podbródek, odsłaniając śmiały, acz harmonijny zarys szczęki. W policzku rysowało się ledwie widoczne zagłębienie - ślad zalotnego dołeczka. Miała pełne wargi i skórę białą i delikatną jak jagnięcy puch.

- Co za barbarzyńcy! - wycedził, szarpiąc mokre więzy. - Zostawili ją skępowanajak jakieś zwierzę ofiarne. Powiniennem pobiec po pistolet i wystrzelać całą tę bandę!

- Pomyśleliby, że w ten sposób dajesz im do zrozumienia, iż ofiara nie przypadła ci do gustu.

Smok rzucił przyjacielowi mroczne spojrzenie. Deszcz tak przybrał na sile, iż musiał zamrugać, by stracić krople wiszące u długich rzęs. Mokre sznury ślizgały się w palcach i nie dawały się rozplątać. Kiedy ujrzał, że ciasne więzy wyrzeźbiły w skórze branki czerwone ślady, zaklął gwałtownie i tym żarliwiej starał się uwolnić poranione nadgarstki. Gdy sznury opadły, zaczął masować dłonie zemdlonej, by pobudzić krew do krążenia. Dziewczyna jęknęła słabo.

Wreszcie pokonał ostatnie więzy i nieszczęsna osunęła się



bezwładnie na ziemię. Chwycił ją w ramiona i poniósł w stronę zamku. Jego towarzysz wytrzeźwiał w mgnieniu oka.

- Czy naprawdę sądzisz, że to rozsądne? A jeśli dojrzy twoją twarz...?

Nie dokończył, lecz Smok znał aż za dobrze ryzyko, jakie niesła za sobą taka ewentualność. Odwrócił się do przyjaciela. Przy tym ruchu złota gęstwa dziewczęcych włosów oplotła mu ramię.

- Co więc proponujesz, bym uczynił? Mam ją zostawić na tej ulewie, by się utopiła jak porzucone kocię?

Przeraźliwy grzmot zagłuszył odpowiedź. Ciało kobiety zdrząło konwulsyjnie. Gniew natury zdawał się rozdzierać niebios na dwoje, a z nabrzmiałej ciemnością otchłani spadła na ziemię kolejna fala nawałnicy. Smok przycisnął drżącą kobietę do piersi i pobiegł chyżo w stronę zamku. Nie miał wyboru: musiał ją zabrać do swej nory.

Gwendolyn, nie otwierając oczu, przeciągnęła się leniwie, niemal mruczając z zadowolenia. Nigdy nie przypuszczała, że tak przytulnie i miło śpi się w żołądku Smoka! Wyobrażała sobie raczej - w owym ułamku sekundy między chwilą, gdy jej oczy padły na owo „coś” pokracczym ruchem wyłaniające się z mroku, a następną, gdy popadła w omdlenie - że będzie cierpiała nieopisane męki, gdy jej ciało zwęgli się w płomienistym oddechu lub rozplynie we wrzącym kwasie smoczey śliny.

Przetoczyła się na bok i oparła policzek o miękki, suto wypchany zagłówek. W porównaniu z noclegiem na sienniku napełnionym kłującym wrzosem, na którym sypiała z Kicią, tu spoczywała w luksusie - jak na ptasim puchu. Wdychała upajający aromat drzewa sandałowego z korzenną domieszką.

Przyszło jej do głowy, że być może nie znajduje się w trzewiach potwora, tylko w raju.

Ta myśl otrzeźwiła ją do reszty. Dziewczyna zeszywniała na całym ciele. Nawet pobłażliwy wielebny Throckmorton częściej prawił kazania o pułapkach piekła niżli rozkoszach niebios. Aż do tej chwili Gwendolyn nie była pewna, czy wierzy w jedno i drugie... ale przecież jeszcze wczoraj wątpiła również w istnienie smoków!

Wzięła głęboki oddech, usiadła i otworzyła oczy. Powiodła spojrzeniem dokoła i gwałtownie wypuściła powietrze z westchnieniem najczystszeo zdumienia. O ile to były niebios, panował w nich przepych tak ostentacyjny, jakiego nie zdołałby wymyślić najbardziej pobożny kapłan!

Spoczywała pośród migotliwych fałd satyny barwy atamentu. Zmięte prześcieradła odsłaniały częściowo łoża pod baldachimem wspartym na czterech kolumnach. Płaskorzeźby na wysmukłych filarach były istnym arcydziełem sztuki snycerskiej. Przepyszne łoża okalał wianuszek płonących świec. Wokół drgających płomyczków rozchodziła się woń jakże różna od smrodliwego łożu, do którego była przyzwyczajona. Kaskady najprzedniejszego wosku spływały na wysmukłe wieloramienne kandelabry, a pełgające knoty słały miękki blask ku kopule wieńczącej sklepienie. Oczy Gwendolyn padły na oświetlone drgającymi płomykami barwne freski na suficie.

Na pastelowych łąkach igrały obnażone kobiety - boginki i śmiertelniczki. Bujność różanych krągłości przypominała Gwendolyn jej własne kształty, dzięki czemu poczuła się równie powabna jak Kicia. Jej oczy padły na sylwetkę Persefony, która wyrzekała się uroków wiosny dla pana ciemności. Obok Ariadna wiodła swego kochanka przez meandry labiryntu.

tu - siedliska straszliwej bestii. Kupidyn, kryjąc prześliczną twarz w cieniu, podglądał Psyche, budzącą się w kwietnym łożu.

Gwendolyn wykręcała szyję na wszystkie strony, urzeczona bezwstydną zmysłowością malowideł. Nawet nie zauważyła, kiedy nocna koszula zsunęła jej się z ramion. Dopiero odgłos wciąganego raptownie powietrza odwrócił jej uwagę od mitycznych obrazów. Zerknęła w dół i poczuła w żyłach mrowienie na widok własnej nagości pod lśniącymi prześcieradłami. Naciągnęła narzutę wysoko pod brodę i lęklonie uniosła głowę. Łoże przypominało skąpany w migotliwym blasku świec ołtarz ofiarny, lecz lewy róg komnaty tonął w głębokim cieniu. Gwendolyn nie dała się zwieść: nie była sama. Pożałowała, że w przeszłości nie zwracała pilniejszej uwagi na treść kazań wielebnego Throckmorta. Być może nie poszła do nieba? Kto wie, czy dekadenski luksus tego wnętrza nie posłuży za narzędzie wyrafinowanych tortur, które zwodzą pozorem mrocznych zmysłowych rozkoszy?

Odrzuciła z oczu potargane pukle.

- Tylko najgorszy tchórz szpieguje kobietę z ukrycia. Wyzywam cię, byś wystąpił z cienia!

Usłyszała ciche stąpienie i pożałowała swej śmiałości. Jeśli naprawdę znalazła się w piekle, to za chwilę pozna jego władcę.

Nie musisz drzeć i kryć się pod prześcieradłem, bo nie jestem ani smokiem, ani potworem, tylko człowiekiem.

Gwendolyn przymrużonymi oczami wpatrywała się w ką, kurczowo przyciskając narzutę do piersi, jakby aksamitny baryton dobiegający z mroku stanowił większe zagrożenie dla jej cnoty niżli jej własna nagość. Nie wiedziała, czy ma się bać, czy odetchnąć z ulgą, gdy właściciel głębokiego głosu zatrzymał się tuż na krawędzi cienia. Nastrojowe pełganie płomyków świec mamiło wzrok, który darmo starał się przebić ciemność. Jedyne, czego mogła być pewna, to obecność ciemnej sylwetki, która z niedbałym wdziękiem opierała się o ścianę. Wykrztusiła:

- Jeżeli drzę z lęku pod prześcieradłem, panie, to dlatego, że jakiś bezwstydnny libertyn zwłóczył ze mnie i ukradł mi odzienie!

- Och, ale gdybym był tak bezwstydnym libertynem, jak powiadasz, nie miałbym potrzeby uciekać się do kradzieży, bo sama ochoczo zrzuciłabyś dla mnie szaty!

Cedził wyrazy staranną dykcją i tonem, który podkreślał celowe szyderstwo słów. Gwendołyn mimowolnie ujrzała przed oczami wizję mocnych męskich dłoni, które wyłuskują jej członki z przemoczonego płótna. Zaciśnęła szczęki, próbując stłumić dreszcz, który bynajmniej nie zrodził się z obawy.

- Oskarżasz mnie o tchórzostwo, ale sam kryjesz się w cieniu, zbyt bojaźliwy, by odsłonić przede mną twarz!

- Być może kieruje mną nie tyle obawa o samego siebie, co o twoją osobę?

- Czyżbyś miał oblicze tak ohydne, że nie można znieść jego widoku? Czy ujrawszy je popadłabym w obłąd albo obróciła się w kamień?

- Już raz zemdlałaś na ów widok, pamiętasz?

Gwendołyn potarła skronie czubkami palców i zmarszczyła czoło, nie mogąc przywołać nic ponad mętne wspomnienie tamtej chwili na dziedzińcu - woń deszczu, łopot skrzydeł, srebrzysta smuga dymu... i jego twarz. Twarz tym straszliwsza, iż jej istnienie uznała za całkowicie nieprawdopodobne! Usiłowała zatrzymać obraz, lecz rozplynął się w nieczytelną mgłę, bardziej ulotny od obcego, który nadal krył się w cieniu komnaty.

- Kim jesteś? - spytała rozkazującym tonem.

- Wieśniacy z Ballybliss zowią mnie Smokiem - odpowiedział.

- Ja zaś nazwę cię szarlatanem! Tylko taki osobnik zdolny jest do okrutnych figlów, jakie płatasz tej osadzie!

- Szlachetna, twe słowa mnie ranią...

W odpowiedzi krył się uśmiech. Ach, więc zdołała go jedynie rozbawić? Usiadła prosto i odrzuciła wilgotny kędzior, który spadł jej na czoło.

- Lepiej, byś od razu się dowiedział, że nie jestem wcale szlachetna!

Tak silnie wyteżała słuch w jego kierunku, iż mogłaby przysiąc, że uchwyciła odgłos brwi unoszących się z drwiną. Pospieszyła więc wyjaśnić:

- Chodzi mi o to, że mój ojciec nie posiada tytułu.

- Wybacz moją pomyłkę, ale nie przemawiasz wulgarnym narzeczem, którego używają dzikusy z owych zakazanych zakątków Szkocji, zakładałem więc...

- Moja matka pochodziła ze szlacheckiego rodu. Była córką barona z nizin. Umarła, gdy miałam dziewięć lat - zadarła bródkę, jakby tym ruchem mogła zatrzeć wspomnienie bólu, którego nie zdołał stępić czas.

- Brak tytułu nie oznacza w moich oczach uszczerbku, bo ja ze swej strony spieszę cię zapewnić, iż nie jestem dżentelmenem!

Nie była pewna, czy chciał ją w ten sposób uspokoić, czy ostrzec. Ośmieliła się zerknąć wymownie pod prześcieradło, po czym wygięła wargi w uśmiechu, który drwiącą słodyczą miał dorównywać domniemanemu grymasowi na jego ustach.

- Owszem, domyśliłam się. Gdybyś nim był, wciąż byłabym ubrana!

- I narażona na niechybne ryzyko śmiertelnego zejścia z wyiębienia. - Głos z cienia stężał. - To mi przypomina, że chciałem cię o coś zapytać. Jak to się stało, że przemoczona i ociekająca deszczem tkwiłaś przywiązana do pała na moim cholernym dziedzińcu?

Gwendolyn zeszywniała.

- Ach, wybacz mi fatalne maniery! Jak śmiałam zakłócić twą drogocenną samotność, panie Smoku? Widzę oczami wyobraźni, jak siedzisz przy kominku, podwinąwszy pod siebie

kopyta, i rozkoszujesz się filiżanką krwi niewinnego kociątka, gdy nagle twoje uszy rani wrzask nadciągającej ciżby. „Niech to diabli!” - warknąłeś zapewne. - „Kolejna ludzka ofiara na moim progu!”

Milczał tak długo, że Gwendolyn zaczęła drżeć z napięcia, ale gdy wreszcie odpowiedział, miał głos oschły i urywany, przywodzący na myśl grzechot smoczycych kości.

- Było trochę inaczej: rozkoszowałem się szklanicą porto, gdy usłyszałem wrzawę. Musiałem ostatnio wyrzec się kociej krwi, bo przyprawia mnie o zgagę. -- Gwendolyn zmrużyła oczy w nieoczekiwanym płomieniu zapałki, który w mgnieniu oka zgąsł, zostawiając jedynie kłąb aromatycznego dymu cygaretki i ognek żaru w powietrzu. - Jak rozumiem, wieśniacy przywlekli cię na skały w tej ulewie, przywiązali do pala i zostawili na śmierć w moich smoczycych szponach. - Prychnął pogardliwie. - I to oni pozwalają sobie nazywać mnie potworem!

Wpatrzyła się przenikliwie w punkt, w którym powinny były znajdować się jego oczy.

- Nie rozumiem, jak możesz ich potępiać, skoro próbowali jedynie zaspokoić twoje bezczelne żądania!

. Z ciemności wypłynęła chmura dymu, zdradzając chwilowe uniesienie niewidzialnego rozmówcy.

- Prosiłem o połącz dzicyzny i dzban dobrze sezonowanej whisky, a nie o kobietę!

- Twoje żądania obejmowały coś jeszcze, zapomniałeś? - odpowiedziała cicho.

Nagła cisza dała jej znać, że trafiła w czuły punkt.

- Czemu ich bronisz, skoro okazali ci niewiele litości i odrzucili od siebie jak worek odpadków?

- Dowiedli, że są ciemnymi, zbłąkanymi głupcami, ale ty

jesteś złośliwym tyranem, który wykorzystuje zabobony ignorantów i terroryzuje niewinnych!

Ognik żaru zniknął, jak gdyby palacz zagasił go w przypływie uniesienia.

- Owszem, są ciemni... ale nie są niewinni! Mają ręce splamione krwią o wiele bardziej niż ja!

Aż do tej chwili Gwendolyn mogłaby przysiąc, że jej ciemńyciel jest Anglikiem, lecz kiedy wyrzucił z siebie zapalczywe oskarżenie, pochwyciła w jego głosie ślad szkockiego akcentu. Charakterystyczne zlewianie głosek było ledwie uchwytnie jak poświata księżycy nad szkockim wrzosowiskiem.

- Kim jesteś? - wyszeptła po raz drugi.

- Być może powinienem zadać ci identyczne pytanie - odparł z tym samym akcentem. - Jak cię zwą?

Poczucie bezsilności popchnęło ją do zuchwalstwa.

- Na moje pytanie odmawiasz odpowiedzi, ale mnie nie brak epitetów, którymi cię nazwę!

- Tchórz, tyran, szarlatan?

- Szantażysta, łajdak, nicpoń! - dodała.

- Och, tylko tyle? - zakpił. - Po tak giętkim języczku spodziewałbym się większego urozmaicenia!

Zagryzła wargi, by powściągnąć pokusę. Czuła się zdolna do litanii, która zaćmiłaby najwspanialsze wyczyny Izzy!

- Nazywam się Gwendolyn Wilder.

Do komnaty wtargnął znienacka podmuch wiatru, gasząc wszystkie świece, aż zaskoczonej nagłą ciemnością Gwendolyn zaparło dech. Początkowo sądziła, że rozmówca odszedł, zostawiając ją na pastwę ciemności, ale przekonała się, że wciąż jest przy niej. Jego nieuchwytna obecność osaczała ją ze wszystkich stron, choć ani razu jej nie dotknął. Wdychała jego

woń: aromat drzewa sandałowego i goździków, tak bardzo męski, że wprawił ją w osobliwe upojenie. Nagle zdała sobie sprawę, gdzie ją zawłókł: do swojej smocznej nory! Ta komnata to jego sypialnia, a łożo, w którym leży, służy mu za miejsce spoczynku!

- Czemu właśnie ty? - szept z mroku wibrował osobliwym napięciem. - Czemu wybrali ciebie?

W uszach Gwendolyn ton zapytania zdradzał celowe okrucieństwo. „Czemu nie wybrali jakiejś nadobniejszej dziewczki, szczuplejszej, podobnej do Glynnis czy Nesy, w ostateczności wreszcie - do Kici?”

Przymknęła oczy, wdzięczna, że ciemność ukryje rumieniec na jej policzkach.

- Wybrali mnie, bo Ballybliss ma więcej smoków niż dziewczki!

Dłoń, która musnęła jej włosy, przypomniała zdradziecką czułością dotyku, że miłosierdzie człowiecze może się okazać groźniejsze od litości Smoka.

- Tysiąc funtów w złocie... taka jest więc dziś cena niewinności?

Nie czekał na odpowiedź, której nie znała. Poczowała na skórze kolejny powiew i mrok pogłębił się, o ile było to jeszcze możliwe. Tym razem Gwendolyn wyczuła, że odszedł. Przyciągnęła kolana do piersi i podniosła wzrok na niewidoczny w ciemności plafon. Czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek w dotychczasowym życiu.

Smok nie za bardzo gustował w dziewczicach.

Owszem, ich ciało było miększe i delikatniejsze od innych, ale uwodzenie wymagało większych wysiłków i cierpliwości,

a owe cechy od jakiegoś czasu nie stanowiły jego mocnej strony.

Szedł płataniną korytarzy, zagłębiając się coraz dalej w trzewia zamku. Nie patrząc pod nogi, machinalnie przeskakiwał stopy gruzu na drodze i zaschłe kałuże krwi. Cały czas przeklinał swój pech. Przecież kiedy planował swój wymyślny figiel, w najśmielszych przewidywaniach nie brał pod uwagę takiego rozwoju wydarzeń - żeby mu podrzucili kobietę! A już szczególnie tę irytującą pannę, która zajmowała w tej chwili jego prawowite łożo.

Kiedy położył zemdloną na skłębionych po poprzedniej nocy prześcieradłach, rozchylił opończę i zaczął obierać przylegające do skóry warstwy mokrego płótna, jego jedyną myślą było ogrzać przemarzniętą. Ale z każdym calem śnieżnobiałej skóry, który wylaniał się spod tuniki, kruszało coraz bardziej jego słynne opanowanie. Czuł, że ciało zaczyna płonąć gorączką pierwotnej żądz, a trzewia ściska bolesny kurcz pragnienia, by ją dotknąć. Pasł oczy widokiem różanych kopuł piersi i już to było wystarczającą torturą, ale gdy zorientował się, że jego oczy samowolnie ześlizgują się w dół, gdzie domyślały się kępki jasnych kędziorów pokrywających trójkąt między udami, gwałtownym gestem naciągnął prześcieradło na nieruchomą postać.

Czuwając przy oświetlonym kandelabrami łożu, aż odzyska przytomność, miał dość czasu, by rozważyć niepokojące pytanie: czy instynkty bestii rozwinęły się w nim do tego stopnia, że zdecydowałyby się wziąć przemocą nieprzytomną kobietę?

Wydłużył krok i odgarnął z oczu wilgotny pukiel. Nie można było powiedzieć o niespodziewanej brance, iż była „nieprzytomna” - wprost przeciwnie, wedle jej własnych słów miała aż

nadto władz umysłowych, skoro studiowała nauki ścisłe i czytywała gazetki Królewskiego Towarzystwa dla Wzbogacania Wiedzy Naturalnej Metodą Badań Naukowych. Nie wierzyła w istnienie smoków i nie wierzyła w niego. Tego ostatniego nie mógł właściwie traktować jako obelgi, skoro sam nie wierzył we własne istnienie!

Jeśli oczekiwał, że błękitne oczy napełnią się łzami, a z ust wyrwą się błagania o wolność i życie, srodze się zawiódł. Nieoczekiwana branka ośmieliła się ganić go za okazaną łapczywość! Kto wie, może nawet zdołałaby wzbudzić w nim poczucie wstydu... gdyby wciąż posiadał sumienie.

Pokręcił głową na wspomnienie czupurnej dziewczyny. Pokonał ostatni zakręt - i przekonał się, że niewiele ma szans na wysuszenie własnych ociekających deszczem szat. Pod jego nieobecność kto inny zajął wygodny, przepaścisty fotel przed kominkiem, na którym płonął suty ogień. Utracił też na korzyść intruza butelkę porto.

Podziemna komnata służyła niegdyś za przedsionek zamkowych lochów i schronienie dla więziennej straży. Na kamiennych ścianach, zroszonych wilgocią, wisiały pordezwiąte siekiery i obusieczne miecze, nadając pomieszczeniu urok średniowiecznej izby tortur. Ponura atmosfera nie wywierała jednak najmniejszego wrażenia na obecnym lokatorze, który rozsiadł się w fotelu Smoka. Zrzucił buty, a stopy w wełnianych pończochach oparł na krawędzi paleniska, nieledwie wśród płomieni trzaskającego wesoło ognia. Przemoczony surdut zamienił na kilt w szkarłatno-czarną kratę. Na czoło nasadził zawadiacki beret ozdobiony pękiem białych piór. Stroju doskonale uzupełniała kobza oparta o zgięte niedbale kolano.

Smok, ciężko stąpając, podszedł do kominka. Powitało go

rozespiane spojrzenie puszystego burasa, który wygrzewał się na kamiennych płytach. Toby miał być lekarstwem na plagę szczurów zamieszkujących zrujnowany zamek. Niestety, Toby i szczury zawarły niebawem w tajemiczny sposób pakt dżentelmeński o pokojowym współistnieniu. Szczury cieszyły się niebywałą koniunkturą, a Toby spał dwadzieścia trzy godziny na dobę.

Smok poszukał spojrzeniem jakiegoś sprzętu, który nadałby się do siedzenia, i dopiero gdy nic takiego nie znalazł, poczuł ogrom znużenia. Okręcił się na pięcie i choć wyczytał w oczach przyjaciela nieme pytanie, wołał nie reagować.

- Tupper, jeśli będziesz tak dalej paradował po blankach i beczał w piszczałki kobzy, wkrótce zostaniemy odkryci i rozszyfrowani!

- Ależ skąd! - sprzeciwił się Tupper i podniósł kielich przedniego porto w toaście na swoją chwałę. - Całkiem niezły ze mnie kobziarz, więc nie beczę, tylko gram, a mieszkańcy tej ignoranckiej osady myślą, że to duchy potępionych przygrywiają do piekielnego tańca!

Smok potrzęsnał głową.

- Nie rozumiem, czemu jesteś taki rozkończony w tym przeklętym kraju i jego śmiesznych, bombastycznych zwyczajach.

Tupper wykrzyknął, zlewając głoski w przesadnym naśladownictwie szkockiego akcentu, który starał się pielęgnować od przybycia na pogórze:

- Jak tu się nie zakochać?! Jak nie podziwiać otulonych w mgielne zawoje poranków? I potoczków ciurkających w dolinach? Osobliwego uroku mieszkańców tej krainy?

- Zatykającej dech mgły? Ziąbu przenikającego do szpiku

kości? Wilgoci wykręcającej stawy? - uzupełnił Smok i przysunął się bliżej do ognia.

Tupper rzucił mu spojrzenie, którego przebiegłość kłóciła się ze słodyczą twarzy godnej cherubina.

- Nawet chłodna i wilgotna noc może stać się całkiem znośna, kiedy pulchna dziewczeczka ogrzewa ci łożę!

- Czy masz na myśli „pulchną dziewczeczkę”, którą zostawiłem w moim posłaniu? Mogę cię zapewnić, że mróz i deszcz byłiby lepszymi kompanami nocnego spoczynku niż jej oziębła pogarda!

Oczy Tuppera błysnęły ciekawością. Wychylił się do przodu i z przejęcia zapomniał o „naturalnym” szkockim akcencie. Smok z niebywałą ulgą przyjął powrót nienagannej angielskiej dykcji.

- Jaką odrażającą zbrodnię popełniła ta mała, że sąsiedzi postanowili rzucić ją na pastwę takiego, jak ty, potwora?

Smok przysiadł ciężko na brzegu kominka. Toby miauknął przeciągle, lecz jego pan nie zwrócił uwagi na ten protest.

- Nie popełniła żadnej zbrodni. Jest niewinna!

Tupper chrząknął.

- Być może takie jest jej zdanie, ale wieśniacy go nie podzielają. Kim więc jest? Morderczynią? Złodziejką? -w szeroko otwartych oczach zamigotał płomyk nadziei. - Może ladacznicą?

- Aha, dobrze by było! Przynajmniej wiedziałbym, co z nią począć! Nie, sprawa ma się o wiele gorzej. Przeprowadzili ją tu w charakterze daniny, dla prześlągnięcia mojego gniewu! - Smok z wysiłkiem wykrztusił epitet, którego raczej nie miał okazji używać w stosunkach z płcią piękną: - To dziewczeczka ofiara!

Tupper gapił się na niego przez chwilę z szeroko otwartymi ustami, po czym odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

- Dziewicza ofiara! Przysłali ci dziewicę? Tobie? Ach, cóż za ironia! Co za pyszny dowcip!!

- Niezupełnie... Wieśniacy zdają się szacować jej wartość na tysiąc funtów w złocie.

Rozweselona twarz Tuppera posmutniała.

- Mówiłem ci, że za wcześnie rozgrywać tę kartę! Powinieneś dać im czas na spełnienie głównego żądania. Zaczęliby się trząść ze strachu, spoglądać na siebie nawzajem podejrzliwie i zastanawiać, kto spomiędzy nich może trzymać skarb zdrajcy zakopany w piwnicy! - Westchnął z przyganą, aż zadrżały pióra na kraciastym berecie. - Ale kimże jestem ja, Theodore Tupperingham, syn pomniejszego wicehrabiego, który od dzieciństwa w pocie czoła zdobywa chleb powszedni, czymże są moje rady w uszach człeka, co spoglądał w lufy ziejących ogniem armat pod Louisburgiem? Który za męstwo na bitewnym polu został pasowany na rycerza przez samego króla i który zgromadził fortunę, używając do tego jedynie wrodzonej bystrości i okazując całkowitą pogardę dla własnego życia? Ja osobiście pochodzę z długiej linii biadolących tchórzy, a wszystko, co muszę zrobić, by odziedziczyć tytuł i majątek, to przeżyć papcia, którego zżera reumatyzm i dręczą palpitanie serca!

Tupper wymachiwał szklanicą, aż wino chlapało na kamienne flizy. Smok wyrwał mu kielich z dłoni.

- Nie powinieneś pić porto, zapomniałeś? Pod wpływem trunku zaczynasz pleść androny!

- A ty popadasz w ponurą melancholię - odciął się Tupper, odbierając kielich i wychylając go do dna.

Smok zanurzył palce w grubym futrze Toby'ego. Każdy

inny kot zacząłby mruczeć z rozkoszy, ale Toby, na znak zadowolenia, jedynie z królewską godnością poruszył wąsami.

- Tup, czuję się kompletnie zagubiony! Co mam z nią począć?

Tupper opadł z powrotem na fotel.

- Czy widziała twoją twarz?

- Oczywiście, że nie! Może i jestem głupi, ale jeszcze nie zidiociałem.

- A więc nic straconego. Mogę się przebrać za górala i zanieść ją z powrotem do wioski.

- I zostawić na gminnym placu z kartką przypiętą do sukni: „Dzięki stokrotne za dziewicę, lecz wolałbym jakąś ponętą ladacznicę”? - Prychnął drwiąco. - Wieśniaków można by ostatecznie próbować na to nabrać, ale wierz mi, ją za późno zwodzić! Już teraz uważa mnie po prostu za szarlatana, który próbuje złupić osadę ciemnych Szkotów.

- Trzeba więc jej spętać język groźbą ognistej odpłaty ze straszliwej ręki potwora. Pamiętasz, jak rozpuściłem bajeczkę o smokach przybierających w potrzebie postać ludzką? Byłem z niej szczególnie dumny.

- Przydałaby się może, gdyby przywiedli mi tu odchodzącą od zmysłów ze strachu nieoświeconą dziewczuszykę. - Potrząsnął głową z grymasem niechętnego podziwu. - Tej nie będzie łatwo zwieść! Jeśli ją puszcze, ściągnie nam na głowy całą osadę, a na taką konfrontację nie jestem jeszcze gotów. - Podniósł się i zaczął krążyć po komnacie. Toby z ulgą rozciągnął puszysty korpus, zajmując miejsce, na którym siedział jego pan. - Zdaje się, że nie mam wyboru. Muszę dodać uprowadzenie do rosnącej listy moich grzeszków!

- Zamierzasz ją zatrzymać?

- Na razie... ale nie wolno jej ujrzeć mej twarzy!

Tupper podniósł do ust kielich, lecz na próżno, gdyż naczynie od dawna było puste.

- A jeśli przypadkiem ją zobaczy?

Smok zmierzył przyjaciela zamyślonym spojrzeniem i wykrzywił wargi w gorzkim uśmiechu.

- Wtedy odkryje, że są na świecie potwory mroczniejsze od smoków! Pamiętaj, Tupper: ciebie wieśniacy mogą tylko brać za ducha, ale ja rzeczywiście nim jestem!



## 5

VXwendolyn obudziła się głodna i niewyspana, co było niebezpieczną kombinacją nawet wtedy, gdy otwierała oczy w pogodnym nastroju. Tego zaś ranka trudno byłoby tak określić jej stan ducha. Spędziła niespokojną noc, bo raz po raz budził ją gniew z powodu lekceważącego traktowania, jakie okazał jej „Jaśnie Pan Smok”. Nastroju nie poprawiał fakt, że za każdym razem, gdy wracała do przytomności, czuła w nozdrzach charakterystyczną woń drzewa sandałowego i goździków.

Usiadła, z ulgą witając słoneczny promień, który wpadał do komnaty przez zakratowane okno umieszczone wysoko w kamiennym murze. Poprzedniego wieczoru tak była zajęta rozmyślaniami o porywaczu, że nie zwracała uwagi na otoczenie, ale dziś zdała sobie sprawę, że słyszy odgłos fal uderzających o skalisty brzeg. Zorientowała się, że zaniósł ją do jednej z wież zamkowych, tej, której wąskie okna wychodziły na morze. Ogień armatni przed piętnastu laty nie wyrządził jej większych szkód.

Wygramoliła się z łoża i owinęła satynowym prześcieradłem

jak rzymską togą, jakby była jedną z półboginek z fresku na suficie. Pokręciła głową na widok przemoczonego giezła rzuconego niedbale na posadzkę. Od Smoka najwyraźniej nie można było oczekiwać tyle rozsądku, by domyślił się, że mokre szaty lepiej schną, jeśli się je rozwiesi!

Okrażała komnatę, a brzeg prześcieradła włókł się za nią po ziemi, wzbijając w powietrze tumany kurzu. Poczowała w nosie swędzenie i kichnęła zamasyście. Wspaniałe łoże z satynową pościelą, wykwintne kandelabry i świece z najprzedniejszego wosku stanowiły widocznie jedynie oazę luksusu na jałowej pustyni zaniedbania. Na wargach dziewczyny pojawił się uśmiech wyższości. Jaśnie Pan Smok mógł czuć się w duszy bestią, ale doceniał wygody, w jakich przyszło mu wieść „zwierzęcą” egzystencję!

Splowiały tynk i farba odpadały płatami od boazerii ściennej. Za przeżartą przez mole zasłoną znalazła staromodną ubikację. Wrzuciła do ziejącej dziury kawałek tynku z nadzieją, że znalazła drogę ucieczki, ale zrezygnowała, nie usłyszawszy nawet echa plusku. Cóż, przynajmniej nie będzie musiała prosić Smoka o opróżnienie jej nocnika! Z drugiej strony, pomyślała ze złośliwym uśmiechem, mogłaby znieść ten uszczerbek na swej godności za cenę urażenia jego.

W kącie wisiała drewniana klatka. W pierwszej chwili Gwendolyn pomyślała smętnie, że ptasi lokator musiał dawno temu wyfrunąć na swobodę. Dopiero gdy wspięła się na palce i zajrzała do środka, przekonała się jednak, że było inaczej, ujrzała bowiem na zakurzonym dnie garstkę drobnych kos- teczek.

Cofnęła się ze zgrozą. W kruchym ptasim trupku było coś niewypowiedzianie żałosnego. Kiedyś ten szkielet pokrywały barwne pióra wesołego szczygła. Stworzonko ufało, że ktoś

powróci, by wysłuchać jego szczebiotu, wyczyścić klatkę...  
spnąć mu ziarnek.

Nagle Gwendolyn zdała sobie sprawę, że w izbie czegoś  
brakuje. Okręciła się gwałtownie, ale nie ujrzała drzwi!

Zbadała po kolei wszystkie ściany. Wzbierała w niej ochota,  
by walić pięściami w milczący tynk, jak musiał bić skrzydełkami  
zgłodniały ptaszek, gdy wreszcie zrozumiał, że nikt do niego  
nie przyjdzie. Już niemal uwierzyła, iż Smok rzucił na nią urok,  
szatański czar, który pozwala mu przychodzić i odchodzić  
wedle życzenia, lecz ją uwięzi tu na wieki.

Osunęła się na podłogę, zawstydzona własnym lękiem. Cóż  
za magia kryła się w murach tej fortecy? Dawno już przysły  
dziecięce marzenia o zaczarowanym zamku, ale kamienne  
szczątki nadal wabiły dziwną mocą i niepokoiły wyobraźnię  
dziewczyny. Powróciły wizje, które tłumiła w czasie długich  
lat spędzonych na opiece nad schorzałym ojcem. Poczwała  
jeszcze silniejszy wstyd na myśl, że od wczoraj ani razu o nim  
nie pomyślała.

Jedyna pociecha, że tatko często tracił pamięć. Jeśli i teraz  
jego umysł wędruje ścieżkami przeszłości, być może nie  
zauważy nawet jej nieobecności w dworku? Ta myśl przyniosła  
jej mniejszą ulgę, niż się spodziewała. Wyprostowała plecy,  
bo znienacka przyszło jej do głowy proste rozwiązanie zagadki  
brakujących drzwi. Jedna z tafli boazerii ściennej musiała kryć  
otwierający mechanizm! Ponownie zaczęła okrażać izbę, pal-  
cami próbując oderwać każdą płytę. Wnet znalazła się z po-  
wrotem w miejscu, z którego zaczęła, a jej wysiłków nie  
wynagrodziło nawet najłżejsze skrzypnięcie. Smok uwięził ją  
skuteczniej, niż gdyby przykuł ją łańcuchami w zamkowym  
lochu. Oparła się o upartą boazerię i zaklęła w bezsilnej  
wściekłości:

- Na diabła szpony!

Jej uszu dobiegł nagle daleki śpiew. Przekrzywiła głowę,  
poznając słowa i melodię piosnki, lecz nie głos trubadura.

*Kocham na zabój Jenny Claire  
Łjej warkocze grube,  
Lecz aby uwieść pannę tę  
Musiałbym kopnąć w... hm, plecy  
Jej braci, osiłków trzech!*

Skrzywiła się, bo śpiewak niemiłosiernie fałszował, a w do-  
datku jego pseudoszkocki akcent był gorszy od bełkotu starego  
Tawisa. Piosenka przeszła w skoczny, lecz nie mniej fałszywy  
gwizd. Gwendolyn zaczęła przyciskać uszy do kolejnych bo-  
azerii, aż wreszcie za jedną z nich usłyszała odgłos zbliżających  
się kroków. Przytrzymując prześcieradło przy piersi, zaczęła  
się gorączkowo rozglądać w poszukiwaniu jakiegoś oręża.  
Wpadła jej w oko klatka. Rzuciła ptasim szczątkom nieskładne  
przeprosiny, wyrwała łańcuch z uchwytu w drewnianej boazerii  
i wolną ręką podniosła zaimprovizowaną broń nad głowę.  
Jaśnie Pan Smok wpadnie w swoją własną pułapkę!

Boazeria skrzypnęła i odchyliła się do wewnątrz. Przez  
otwór wsunęła się męska głowa. Gwendolyn nie wahała się  
ani chwili, by nie stracić odwagi. Walnęła drewnianymi prętami  
klatki w odsłonięty kark intruza, który w głębokim omdleniu  
osunął się na podłogę, upuszczając tacę.

- Och, nie! -jęknęła, kierowana nie tyle wyrzutami sumie-  
nia, co żalem za śniadaniem, które wylądowało na posadzce.  
Bułeczki ze wzorkiem krzyża na chrupiącej skórce wysypały  
się z koszyka, a pachnąca czekolada rozlała się wokół nich  
brunatną plamą. Podskoczyła, by wyratować kajzerkę, która

toczyła się pod łóżko, lecz parujący napój nieodwracalnie wsiąkał w szpary między deskami podłogi. Gwendolyn otrzepała bułkę z kurzu i wbiła w nią zęby, mierząc pokonanego badawczym spojrzeniem. Jaśnie Pan Smok nie wyglądał groźnie, gdy leżał tak twarzą do podłogi w kałuży czekolady. Szturchnęła go nogą, lecz nawet nie drgnął. Wiedziała, że powinna skorzystać z jego niemocy i uciekać, gdzie oczy poniosą, lecz ciekawość jak zwykle okazała się silniejsza od lęku. Nie mogła opuścić tego miejsca, nie ujrawszy przynajmniej raz jego twarzy.

Wciąż przyciskając prześcieradło do piersi, uklękła i stanowczym ruchem pchnęła bezwładny korpus, aż przetoczył się na plecy. Cofnęła się, tłumiąc okrzyk - rozczarowania!

To? To miała być twarz zażartej bestii, która terroryzowała wioskę? To ten mężczyzna przemawiał aksamitnym barytonem, na dźwięk którego dreszcz przebiegał jej po plecach? To jego woń, mieszanina drzewa sandałowego i goździków, przez całą noc nie dawała jej zasnąć?

Z rozchylonych warg uleciało delikatne chrapnięcie, rozdmuchując blond włoski starannie przyciętego wąsika, Czuprynę miał równie jasną i przerzedzoną na skroniach. Nosił szkocki kraciasty pled przerzucony przez ramię, lecz blada cera i rumieniec zdradzały rdzennego Anglika. Wydatny brzuszec opinała dwurzędowa kamizelka, a perłowe guziczki ledwie wytrzymywały nacisk. Spomiędzy pulchnych policzków wystawał perkaty nos. Anglik usta miał szerokie, a cała twarz sprawiała raczej przyjemne wrażenie.

Gwendolyn cofała się powoli, zła na samą siebie. Czegóż się właściwie spodziewała? Że ujrzy zawadiakę o złowrogiej urodzie, diabelskim uśmiechu i przenikliwych oczach? Mrocznego księcia uwięzionego w pętach złego uroku, które zdoła przeciąć jedynie błogosławieństwo dziewiczego całusa? Powin-

na poczuć ulgę, widząc, że potwór okazał się człowiekiem - i to takim sobie przeciętnym mężczyzną. Pokręciła głową i skierowała się w stronę wyjścia.

- Żegnaj, Jaśnie Panie Smoku! - szepnęła. - Żegnaj... bo wątpię, byśmy jeszcze kiedyś mieli okazję się spotkać.

- Na twoim miejscu nie byłbym tego taki pewny! - Dwie ciepłe dłonie spadły od tyłu na jej ramiona. Smukłe palce objęły pieścziotliwym gestem łuk dziewczęcych obojczyków. - Moja droga branko, powinnaś wiedzieć, że jeszcze długo będziemy mieli przyjemność dotrzymywać sobie kompanii!

**Nie odwracaj się!** - rozkazał Smok tonem człowieka przyzwyczajonego do posłuchu. Gwendolyn kusiło, by mu się sprzeciwić, lecz łagodny nacisk palców na ramionach przypominał jej, że rozkazujący potrafi wymusić uległość - z jej zgodą czy bez niej. Perspektywa szarpaniny nie przypadła jej zaś do gustu, również ze względu na prowizoryczne okrycie, które mogło się zsunąć przy byle nieostrożnym ruchu.

Z wysiłkiem usiłowała naszkicować w wyobraźni jakiś w miarę składny obraz ciemńyciela: był wyższy od niej przynajmniej o głowę, może nawet więcej. Miał dłonie arystokraty, szczupłe palce były nieskazitelnie czyste i zadbane, paznokcie krótko obcięte. Wierzch dłoni pokrywał delikatny ciemny puch. Pociągnęła nosem i odkryła, że znany jej już zapach wzbogacił się o woń aromatycznej cygaretki. Zrozumiała, jak głupio się pomyliła, biorąc nieprzytomnego blondasa za Smoka. Sama obecność tego ostatniego sprawiała, że każdy nerw w jej ciele wibrował osobliwym napięciem.

Napadnięty podparł się na łokciu i usiadł, jęcząc i rozcierając tył głowy.

- Bezczelna dziełatka zastawiła na mnie pułapkę! - wymamrotał. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i stał z policzka czekoladową plamę. - Nawet nie zdążyłem mrugnąć!

- Tak to już jest, gdy się ma do czynienia z kobietami - zauważył Smok oschle. Siódmym zmysłem czuła, że bystrym spojrzeniem objął spustoszenie, które uczyniła. - Zdaje się, że nie gustuje w bułeczkach i czekoladzie!

- Nie gustuje w byciu zamkniętą jak zwierzę w klatce! - odparowała. Usiłowała stać nieruchomo w nadziei, że dzięki temu zapomni, iż Smok nadal jej dotyka czujnymi dłońmi. Poczowała na karku powiew oddechu i usłyszała gardłowy chichot.

- Nie przyjemniej byłoby ci uważać się za rozpieszczane zwierzątko domowe?

- Nawet najbardziej rozpieszczany ulubieniec potrafi wściec się i rozszarpać gardło swemu panu, jeśli go źle traktuje lub zbyt długo nie poświęca mu uwagi!

- Wezmę sobie do serca to ostrzeżenie, chociaż muszę cię zapewnić, iż nie będziesz musiała się uskarżać na brak mojej uwagi! - I zanim Gwendolyn mogła przetrwać jego słowa i zdecydować, jakie jest ich ukryte znaczenie, wskazał głową kompana: - Tup, czy ja mam cię przedstawić, czy uczynisz to sam?

Blondyn dźwignął się na nogi, otrzepując spodnie z okruszków i drzazg. Nieco zażenowany, zgiął się w szarmanckim ukłonie.

- Theodore Tupper, do usług szanownej pani. Mam wszak nadzieję, że zgodzisz się wołać mnie Tupper, jak to czynią wszyscy moi przyjaciele - wyraz żarliwego przejęcia w brązowych oczach przypominał Gwendolyn wiernego spaniela, z którym taty chodził na polowania, gdy była małą dziewczynką. Odwzajemniła się cokolwiek sztywno:

- Gwendolyn Wilder. Lękam się, że nie mogę uważać pana za przyjaciela, panie -podkreśliła oficjalny tytuł - Tupperingham, dopóki wraz ze swoim towarzyszem będziecie mnie trzymać w zamknięciu!

- Skoro więc formalności stało się zadość..., - Smok wystawił rękę. - Tupper, twój krawat!

- Przekrzywił się? - Zaskoczony Anglik spojrzał na fantazyjny węzeł pod szyją.

Smok westchnął tak przeciągle, że rozwiął włosy Gwendolyn.

- Och! - zorientował się Tupper, zerwał fontań i położył na wyciągniętej wyczekująco dłoni Smoka.

Gdy Gwendolyn zrozumiała, co zamierza uczynić jej ciemiężyciel, zaczęła się szarpać.

- Jeśli będziesz próbowała zerwać opaskę z oczu, zawiążę ci ręce - zasupłał jedwabną wstążkę z tyłu głowy. - Wtedy zaś trudno ci będzie utrzymać przy piersi to prześcieradło, które ściskasz tak mocno, że ci kłykcie zbielały!

Nie miała wyboru. Dość już upokorzył ją zeszłej nocy, oglądając ją naga; nie pozwoli, by wystawiał ją jeszcze na pastwę oczu szanownego pana Tupperinghama, który tymczasem spłonał rumieńcem po korzonki włosów.

Łatwiej przyszłoby jej czuć pogardę, gdyby Smok obchodził się z nią szorstko, ale on czynił wielkie starania, by żaden pukiel jedwabistych kędziorów nie dostał się w węzeł. Kiedy wreszcie chwycił ją pod łokieć i popchnął w stronę łoża, wyczuła, iż jego cierpliwość jest bliska wyczerpania.

- Zostaw nas, Tupper. Chciałbym zamienić słówko z panną Wilder.

- Nie musisz się na nią gniewać, drogi chłopcze. Gdybym bardziej uważał...

- Nie skończyłbyś na podłodze z klatką zamiast beretu na głowie! Przystań się trzepotać jak kokoszka nad kurczęciem, Tupper. Nie zamierzam jej torturować ani niewolić... jeszcze nie! -dodał złowróźnie. Usłyszała trzask zamykanego wejścia. Smok pociągnął ją dalej, aż dotknęła kolanami brzegu łoża, a wtedy rozkazał krótko:

- Siadaj!

Usiadła i wysunęła czupurnie bródkę. Miarowe stukanie butów o podłogę to oddalało się, to zbliżało, zdradzając, że Smok krąży po komnacie.

- Z pewnością zdaje sobie pani sprawę, panno Wilder, że pani niespodziewane przybycie na zamek Weyrcraig jest mi równie nie na rękę, co pani. Gdybym mógł panią wypuścić, już by tu pani nie było! Jest pani dla mnie niepożądaną komplikacją, na którą naprawdę nie mogę sobie pozwolić!

- Czemu więc nie odeśle mnie pan do domu? Zapewniam, że tam jestem naprawdę potrzebna! - Miała nadzieję, że wciąż jest to prawdą.

- Ponieważ jestem tak samo więźniem sytuacji, jak i pani. Nie mogę pozwolić, by zniszczyła pani dzieło... - raptownie urwał; miała wrażenie, że ze wszelkich sił stara się opanować wzburzenie - ...kilku ostatnich miesięcy - podjął głosem wypranym z emocji. Będzie pani musiała po prostu zostać moim gościem do czasu, gdy zakończę sprawy, które przywiodły mnie do Ballybliss.

- „Gościem”? -powtórzyła Gwendolyn z niedowierzającym śmiechem. -Zawsze trzyma pan „gości” zamkniętych w komnacie bez drzwi? Poza tym cóż to za „sprawy” może mieć ktoś taki jak pan do załatwienia w tej wymierającej górskiej osadzie? Tu zostali tylko ci, których nie stać na przeprowadzkę lub są

zbyt głupi, by wpaść na ten pomysł! - Nagle uderzyła ją nowa myśl: - Czy to domniemana kłątwa? Pan i pan Tuppington usłyszeliście o starej historii i pomyśleliście, że Ballybliss będzie łatwym celem waszych oszustw?

Słyszała, jak zwołał kroku.

- Owszem, doszły mnie jakieś pogłoski o kłątwie... - Gdy zawiesił głos, wyobraziła sobie, że marszczy brwi i stuka palcem po zuchwałych wargach w udawanym zamyśleniu. - Już sobie przypominam! Sam przywódca klanu rzucił ją w chwili śmierci na głowy ludu z Ballybliss. Powiedz, panno Wilder, czym zasłużyli sobie twoi pobratymcy na ten straszny los?

- Niczym, co zrobili, raczej tym, czego nie uczynili! - Gwendolyn skłoniła głowę, wdzięczna za opaskę, która zasłaniała wyraz wstydu w jej oczach. - Przywódca naszego klanu sympatyzował skrycie z księciem Karolkiem, którego Szkoci wołali Bonnie Prince Charlie. Może pan pamięta? Próbował wywalczyć dla nas utraconą wolność! Kiedy po klęsce pod Culloden szukał kryjówki, MacCulloghowie oferowali mu azyl na zamku Weyrcraig.

- Szlachetna intencja... aczkolwiek czyn nierozważny!

Głowa dziewczyny poderwała się dumnie:

- Nierozważny? Nie sądzę. MacCullogh był marzycielem, wizjonerem, który widział w duszy Szkocję wolną od angielskiej tyranii, zjednoczoną pod sztandarem prawowitego władcy!

- Ale za jaką cenę, panno Wilder? Nawet najwspanialsze sny obracają się w popiół w bezlitosnym świetle dnia!

Namiętne słowa protestu utkwily jej kością w gardle. Jak mogła bronić racji przywódcy klanu tu, w zrujnowanej fortecy, namacalnym świadectwie jego szaleństwa? Ponownie spuściła głowę i zaczęła skubać palcami fałdę prześcieradła.

- Diukowi Cumberlandowi udało się jakoś odkryć miejsce pobytu księcia. Charlie umknął, korzystając z osłony nocy, ale Cumberland zawiązał się, że odpłaci MacCulloghom za zdradę Korony. Jego żołdacy wciągnęli na skały armatnie działa i otworzyli zawzięty ogień.

- I wtedy lojalny klan rzucił się na pomoc swemu przywódcy, bijąc w bębny bojowe, dmąc w kobzy na zabój każdemu żołdakowi w czerwonej kurcie, który ośmielił się podnieść oręż przeciw ich panu!

Gwendolyn szepnęła:

- Klan nie przyszedł z pomocą swemu wodzowi. MacCullogh musiał bronić się sam.

- Nic dziwnego, że przeklął swoich ziomków! - Smok parsknął cynicznym śmieszkiem.

Gwendolyn krzyknęła zapalczywie:

- Bali się! Byli śmiertelnie przerażeni. Wszyscy mężczyźni i kobiety, każde dziecko z Ballybliss znało przyczynę, dla której wrogowie nadali Cumberlandowi przydomek „Rzeźnika"! Słyszeli, jak dobijał rannych pod Culloden, aż ziemia spłynęła szkocką krwią!

- Mieszkańcy osady skryli się więc w bezpiecznym schronieniu chat, podczas gdy napastnik masakrował ich pana i jego ród... - Oskarżenie, rzucone głosem wypranym z emocji, zdawało się tym cięższe.

- Mieli nadzieję, że jeśli nie będą się wtrącać, Cumberland ich oszczędzi.

- Czy tak się stało?

- Nie powyrzynał ich w łóżkach. Nie spalił ich chat. - Opaska nie mogła ukryć rumieńca, który palił policzki dziewczyny. - Ich żony i córki nie zostały zgwałcone i nie musiały rodić angielskich bękartów.

Smok podjął miarową przechadzkę wokół łoża. Stukot butów akompaniował słowom wypowiedzanym sennym, niemal hipnotycznym tonem:

- Wyrokiem Korony zabrano im jednak na grzywnę każdy szeląg i wyklęto wszystkie prawa i tradycje, które czyniły z nich zwarty klan. Zakazano nosić ubiory w klanową kratę i grać na kobzie, zmuszono, by oddali oręż. Najmłodszy i najsilniejszy opuścili osadę, a pozostali od piętnastu lat żyją w trwodze, oglądając się za siebie, czekając na dzień sądu, który przepowiada kłątwa: na płomień gniewu, który zstąpi z nieba jak anioł pomsty i zniszczy każdy ślad ich istnienia.

- Skąd pan to wszystko wie? - szepnęła.

- Być może to właśnie ja jestem tym aniołem? - Zanim zdołała zdecydować, czy kpi z niej, czy z siebie samego, wybuchnął śmiechem: - A może jestem tylko oportunistą, który za cenę kielicha podłego trunku wyciągnął tę żalną historię od starego górala w jakiejś zakazanej tawernie? Pijaczek wypaplał wszystkie haniebne sekrety osady Ballybliss... nie wyłączając szczególnie smakowitego kąska, pogłoski o zdrajcy, który nadal mieszka w wiosce i chowa w piwniczce tysiąc złotych funtów, cenę za zdradę wodza; a nawet powiedział mi, że godłem klanu MacCulloghów był smok ziejący ogniem. Co panna na to?

- To całkiem prawdopodobne - zgodziła się Gwendolyn, rozpaczliwie chcąc mu uwierzyć. - Nikt nie pobje w gadatliwości pijanego górala.

- Nie widziałas, co potrafi Tupper po kilku szklanicach.

- Ani nie pragnę zobaczyć! To kolejny z wielu powodów, dla których chcę, żebyś mnie puścił wolno.

- Ach, więc wróciliśmy do zasadniczego tematu?

Ujrzała przed oczami obraz zagubionej twarzy tatki, który nie wie, czemu zawsze tak troskliwa córka nie przychodzi go ubrać i nakarmić owsianką.

- Rodzina mnie potrzebuje. Czy nie masz żadnych względów dla ich uczuć?

W jego głosie pojawiła się nuta gniewu:

- Gdzież była owa kochająca rodzina, gdy tłum powlókł cię na zatrąę?

Jedno spało smacznie w łożu ogrzanym cegłą we flanelowym kocyku. Drugie rozpływało się w podziękowaniach za szlachetną ofiarę, jaką składa siostra. Inne obiecywało, że jej kochanek napisze pieśń pochwalną. Jeszcze inne przysięgało nigdy jej nie zapomnieć... Przełknęła ślinę, a jej milczenie wystarczyło za potępiającą odpowiedź.

- Tak myślałem. Coś mi się wydaje, że w moich rękach jesteś bezpieczniejsza niż na rodzinnym łonie.

Gwendolyn pomyślała, że to największe łgarstwo stulecia.

- A jeśli przysięgnę, że nie zdradzę twojego oszustwa?

Nie była przygotowana na rozkoszny dreszcz, jaki przebiegł po krzyżu w reakcji na delikatny dotyk jego palców na policzku.

- Jeśli tak przysięgniesz, to skłamiesz.

Poczuła muśnięcie kciuka na wardze i zamknęła oczy w obronie przed uczuciami, jakie wzbudziła jego pieśszczota. Szepnęła ledwie słyszalnym głosem:

- Nie mógłbyś udawać, że mi wierzysz? Potrafię być bardzo przekonująca!

- Jestem tego pewien... ale już od dawna nie ufam nikomu, a coś mi mówi, że byłbym cholernym głupcem, zaczynając od ciebie. - Odsunął się i w jego głosie ponownie pojawił się oficjalny ton. - Obiecuj, że nie rzucisz się na Tuppera, to

przyślę go do ciebie z posiłkiem. Czy jeszcze czegoś będzie ci potrzeba?

Gwendolyn porwała się na równe nogi. Przerzuciła róg prześcieradła przez ramię i wysunęła bródkę w kierunku, z którego dobiegał oschły głos:

- Owszem, i to wielu rzeczy! Radzę panu, byś podwoił zaopatrzenie w jadło, gdyż jak możesz się domyślać po mojej figurze, jadam obficie i często. Oczekuję, że mój apetyt będzie dostatecznie zaspokojony!

Zakrztusił się, jakby coś stanęło mu w gardle.

- Będę uważał za zaszczyt dbać o zaspokojenie twego głodu i mam nadzieję, iż stanę na wysokości zadania.

- Poza tym nie możesz ode mnie oczekiwać, bym przez czas niewoli nosiła ten... ten łachman? - Nie musiała mu opowiadać, że w porównaniu z szorstką wełną jej codziennej koszuli miękka satyna pieściła jej skórę jak dotyk anielskich skrzydeł!

- Oczywiście, że nie! Możesz go w każdej chwili zrzucić,

- Domagam się również jakiejś rozrywki, która pomoże mi zabić czas. Osobiście przedkładam towarzystwo książek nad rozkosze robótek ręcznych, poproszę więc o zajmujące lektury - co najmniej tuzin tomów. Pochłaniam bowiem zazwyczaj trzy dziennie.

- Aha, ponownie objawia się ten sam żarłoczny apetyt!

Gwendolyn z ochotą zerwała by z oczu opaskę i rzuciła mu jadowite spojrzenie. Hamowała ją jedynie pewność, że zanimby zdążyła sięgnąć, miałaby ręce skrzepowane na plecach.

- Czy jeszcze czegoś sobie życzysz, panno Wilder? Mogę zorganizować wieczorek muzyczny. Może kwartet smyczkowy świeżo po występach w stolicy?

- Nie, nie sądzę, by trzeba mi było więcej...- Umilkła

i odczekała, aż jego kroki skierowały się ku boazerii, a wtedy dodała: - ...na razie!

Usiadła na łożu jak na tronie. Miała nadzieję, że udało jej się zachować godną postawę - i byłoby tak, gdyby dobrze obliczyła odległość. Niestety, pomyliła się i z rozmachem klapnęła na podłogę, lądując w kałuży zimnej czekolady. Ściany komnaty odbiły echo gromkiego śmiechu jej ciemieńczy, potem rozległ się stuk paneli.

Wściekłym ruchem zerwała opaskę, lecz Smoka już nie było.

Nie minęło wiele minut, które Gwendolyn spędziła przykucnięta na brzegu łoża, trzymając przy piersi przemoczone okrycie, zanim skrzypnęła boazeryjna tafla i Tupper wetknął głowę bojaźliwie, jak nieśmiały żółw.

- Jeśli masz zamiar znowu mnie rąbać, panienko, pozwól, że najpierw odstawię tacę. W tym zapadłym zakątku Szkocji trudno o białą mąkę na bułeczki i prawdziwą szwajcarską czekoladę.

- Jest pan zupełnie bezpieczny, panie Tupperingham. Nie mam drugiej klatki.

- Cóż za ulga! Chociaż twój cios odwrócił moją uwagę od potępięczego kaca spowodowanego przednim porto, którego nadużyłem zeszłej nocy.

Postawił tacę na posłaniu, omijając ją jednak szerokim łukiem. Więźniarka i strażnik zmierzyli się czujnym spojrzeniem. Gwendolyn doszła do wniosku, że oczy wiernego spaniela i figlarny loczek spadający na czoło nadają mu wygląd nieszkodliwego młodzieńca, ale postanowiła pamiętać, iż asystowanie Smokowi stawia Anglika w liczbie sług szatana. Udując obojętność, zatopiła zęby w chrupkiej bułeczce.



- Czy twój pan zamierza się do nas przyłączyć?  
 - Och, on nie jest moim panem, lecz przyjacielem - wyjaśnił Tupper, podając jej filiżankę z cienkiej porcelany. Z naczynia unosiła się aromatyczna para. Upiła z rozkoszą łyk gorącego płynu.

- Nie mogę się powstrzymać od ciekawości, gdzie poznał pan tego... - zagryzła usta, by nie podać w wątpliwość słubnego pochodzenia swego ciemieżyciela - ...tajemniczego gościa.

Tupper zachichotał.

- To cała historia, a moja babka cioteczna Taffy powiada, że ja mam zbyt długi język. Nie chciałbym cię zanudzić.

- Ależ proszę bardzo! - W głosie Gwendolyn pojawił się błagalny ton. Okrągłym gestem objęła pustkę komnaty. - Cóż innego mam tu do roboty?

Nadal się wahał. Widząc w jego oczach pożądliwy błysk głodu, Gwendolyn poczęstowała go bułką. Nie tracąc chwili, przysiadł na przeciwległym brzegu łoża i odłamał kęs. Gwendolyn wzięła drugą bułeczkę, kierowana częściowo apetytem, częściowo dla stworzenia przyjacielskiej atmosfery, która powinna była zachęcić go do zwierzeń. Skoro ma pokonać Smoka w jego własnej norze, musi poznać jego słabości i mocne strony.

- Spotkaliśmy się w jednym z klubów hazardu przy Pali Mall w Londynie, jakieś dwa lata temu - powiedział Tupper i przerwał żucie tylko na chwilę potrzebną, by otrzepać okrucy z kamizelki.

- Jakoś mnie to nie dziwi! - skryła za filiżanką uśmiech kąśliwej słodyczy.

- Siedziałem sobie samotnie w jednym z pokoików na tyłach spelunki, gotując się do samobójczego strzału w łeb... - Gwendolyn wstrzymała oddech z przejęcia, co słysząc gawę-

dziarz przerwał opowiadanie i posłał jej uśmiech pełen otuchy. - Więc, jak mówiłem, szykowałem się do ostatniego strzału, gdy do izby wszedł...- ponownie urwał i zastygł z otwartymi ustami. Gwendolyn pochyliła się do przodu, modląc się w duchu, by imię, które miał na końcu języka, ześlizgnęło się z niego. - ...Smok.

- To on cię powstrzymał?

Tupper potrząsnął gwałtownie głową i ciągnął, żując jednocześnie suty kęs bułki:

- Och, nie! Wytknął mi tylko, że źle załadowałem pistolet i mogę sobie odstrzelić stopę zamiast głowy. Wyjął mi z ręki broń i własnym wyciorem przeczyścił lufę, po czym oddał mi pistolet.

Dłoń dziewczyny trzymająca bułkę opadła na kolana, a jej usta rozchyliły się z przejęcia.

- Skoro taki był uprzejmy, czemu sam cię nie zastrzelił?

Tupper zachichotał figlarnie.

- Byłem w okropnym dołku, ale jego rzeczowe zachowanie otrzeźwiło mnie i wyrwało z piekła litości nad samym sobą. Widzisz, właśnie tego wieczoru markiz Eddingham odkrył, że stawiałem bez pokrycia, i zagroził, że rozpowie wszystkim, jaki ze mnie chłystek. Miał szczery zamiar zrujnować mnie do szczeru, a taki skandal zabiłby mojego ojca. Oczywiście, nie byłoby wielkiej tragedii, bo ponury stary cap zawsze uważał mnie za największe rozczarowanie swego żywota, a po jego śmierci odziedziczyłbym tytuł wicehrabiego, Ale wszystkie dobra zastrzeżone są prawem majoratu, więc nic by mi z nich nie przyszło i musiałbym gnić w więzieniu za długi.

Gwendolyn pokręciła głową.

- Nie chcesz mi chyba wmawiać, że Smok zapłacił twoje karciane długi?

- Niezupełnie... - Na ustach Tuppera pojawił się smętny uśmiešek. - Natomiast sam usiadł z markizem do gry w kości, która trwała aż do świtu. - Pokręcił głową z zadumą. - Nigdy nie widziałem, by dorosły mężczyzna tak biadolił jak markiz, gdy się zorientował, że przegrał wszystko bez szans na rewanż! Gdy słońce wyrzało zza widnokregu, mój nowy przyjaciel odwrócił się do mnie i oddał mi całą wygraną. Wtenczas ja zwróciłem dług markizowi, który z wściekłością podarł moje rewery i cisnął mi je w twarz, krzycząc przy tym: „Obyś się nimi na śmierć udławił, chłystku!”

- Więc Smok nie zatrzymał ani grosza z wygranej?

- Ani szeląga!

Przestała jeść.

- Czemuż więc ów szlachetny i szczodroblivy pan prześladowuje wieśniaków, którzy nie mają nawet łachmana na okrycie grzbietu? Czy teraz z kolei jemu potrzebne są pieniądze na spłatę karcianych długów?

Tupper wybuchnął gromkim śmiechem.

- Na pewno nie! Przecież wiadomo, że jest majątny, Niektórzy mówią nawet, że to największy bogacz w... - urwał na widok wyczekującej miny Gwendolyn i gwałtownie zacisnął wargi. Jasny wąsik dygotał w poczuciu winy. Miała nieodparte wrażenie, że jego szczera, okrągła twarz chowa się w ochronną skorupę. Skoczył na równe nogi i cofnął się od posłania. - Ostrzegał mnie przed tobą! Powiedział, że jesteś dwa razy sprytniejsza ode mnie i że powinienem uważać, co plotę w twoim towarzystwie.

Gwendolyn tak rączo zerwała się z łoża, że potknęła się o kraj prześcieradła i o mało co znowu nie wylądowała na podłodze.

- Nie może mnie pan winić, panie Tupperingham, że usiłuję dowiedzieć się czegoś o człowieku, który mnie uwięził. Proszę, nich pan nie odchodzi!

Tupper pogroził jej palcem.

- Przed tymi wybiegami też mnie ostrzegał. Powiedział, że pewnie będziesz mnie próbowała przechytrzyć albo oczarować niewinnymi spojrzeniami i dołkami w policzkach!

Była przyzwyczajona, że oskarżano ją o przemądrzałość, ale nikt jeszcze nie posądził jej o urodę czy wdzięk.

- Tak powiedział?

Tupper pogrzebał w kieszeni surduta i wyciągnął z niej arkusz papieru, pióro, flaszkę z piaskiem i buteleczkę atramentu.

- Kazał mi to zostawić. Powiedział, żebyś zrobiła listę rzeczy, które będą ci potrzebne.

Rzucił wszystko na posłanie i zanurkował w wejście w boazerii. Znowu została sama. Przyjrzała się papeterii i poznała te same welinowe karty, na których Smok przysyłał wieśniakom swoje żądania. W zamyśleniu ujęła w palce kremowy arkusz. Z ich właścicielem miała już kilka razy do czynienia, lecz wciąż nie była bliżej rozszyfrowania jego prawdziwej natury niż poprzedniego wieczoru. Gdyby tylko przypomniła sobie, co ujrzała wtedy na dziedzińcu! Ale wspomnienie umykało w głębiny pamięci, wydając ją na pastwę sprzecznych domysłów. Hazardzista, który oddaje wygraną. Tyran, który starał się tak przewiązać opaskę, by jej nie zadać bólu. Złodziej, który ma ją w swej mocy, lecz nie stara się zabrać jej cnoty.

Przysiadła na posłaniu, muskając palcem wargę w miejscu, gdzie dotykał jej Smok. Co się z nią dzieje, na litość boską? Zaczynała się posądzać o głupotę równą próżności Nessy. Zamiast burzyć się na wspomnienie impertynencji, ona tęskni

za zwierciadłem! Pierwszy raz, odkąd sięgała pamięcią, poczuła potrzebę, by sprawdzić, jak wygląda.

Otrząsnęła się z nierozumnych myśli, odkręciła flaszkę z atramentem, zanurzyła w niej pióro i zaczęła spisywać długą listę. Jeśli Smok upiera się, by ją więzić, ona się już postara, by drogo zapłacił za tę przyjemność!

## 7

Ciszę opustoszałych uliczek Ballybliss przerwał przeraźliwy krzyk kobiecy. Mieszkańcy porwali się z łóżek w koszulach i szlafmycach i tak jak stali, wybiegli na dwór. Ujrzeni Kicię Wilder stojącą nieruchomo jak posąg w blasku księżyca. Dziewczyna chwyciła się za pierś, jakby to w nią trafiła strzała, której pierzaste drzewce wciąż drgało, wbite głęboko w pień starego dębu.

Trzech młodzieńców, potykając się w gorączkowym pędzie o własne stopy, gnało na wyścigi, by porwać nieszczęsną w ramiona, ale to siostry dotarły do niej pierwsze. Glynnis i Nessa przytuliły drżącą dziewczeczkę i gdakały nad nią jak opiekuńcze kwoki. Tymczasem Ailbert z kwaśnym grymasem wyrwał z kory grot strzały i podniósł wysoko nad głowę welinowy zwój. Przez ciżbę przebiegł przyciszony pomruk. Kowal nie musiał im tłumaczyć, że to bynajmniej nie flaga sygnalizująca poddanie...

Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny zamek Weyrcraig spowiła złowroźbna cisza. Wielu mieszkańców wyrażało opinię, że klątwa została przełamana i Smok wyniósł się stąd, by

dręczyć kolejną pechową osadę. Inni nie podzielali optymizmu sąsiadów, lecz nikt nie ośmielił się wypowiedzieć głośno skrytej obawy, że pomysłem z ludzką ofiarą powiększyli tylko ciężar swoich przewin o mroczny i haniebny grzech. Promienie wiosennego słońca przegnały wszelkie wspomnienia ubiegłonocej burzy. W pełnym świetle dnia obłąd, który ich ogarnął w czasie marszu na zamek, wydał im się bardziej koszmarem niż rzeczywistością. Ale nic nie mogło wymazać jego konsekwencji: Gwendolyn Wilder nie było wśród nich, a jej nieszczęsny obłąkany ojciec będzie musiał spędzić resztę swych dni, próżno czekając na odgłos znajomych dziewczęcych kroków,

Ściskając arkusza w garści, Ailbert ruszył wąskimi uliczkami, wiodąc za sobą coraz liczniejszy orszak zasępionych sąsiadów. Akompaniowały im rytmiczne szlochki Kici Wilder. Tak dotarli do ganku domu, w którym mieszkał jedyny w Ballybliss przedstawiciel angielskiej Korony. Kowal zdecydowanym krokiem wszedł na schody i zastukał do drzwi.

- D-d-dobry Boże, człeku pocziwy! Cóż się dzieje? - wyjąkał wielebny Throckmorton. Szlafmyca tkwiła na pastorskiej głowie tył naprzód, a z ucha dyndały mu okulary w drucianej oprawce. - Powtórne przyjdzie Pana czy co?

Ailbert bez słowa podetknął mu welinowy arkusza. Książka z odrazą odsunął od siebie pismo.

- Co, kolejna wiadomość od okrutnego Smoka? - Pokręcił głową. - Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu! Oto ledwie powróciłem z męczącej podróży, a wy nie dajecie mi wytchnąć, tylko przybiegacie z isticie pogańskimi bzdurami. Czemu nie zbudzicie tej miłej panienki od Wilderów i nie pozwolicie mi wrócić do łóżka?

Szykował się, by zatrzaskać drzwi, gdy Ailbert wsunął stopę przez próg.

- Będziemy zobowiązani, jeżeli wielebny zgodzi się odczytać nam to pismo. Nasza wdzięczność powstrzyma nas od stłuczenia tej lampy, którą wielebny wymachujesz przed nosem... i od wywołania pożaru, który strawiłby twój dom.

Kapłan o mało co nie zadławił się gniewem, lecz potulnie wziął papier od kowala i nasadził okulary na nos, mruczając przy tym zgryźliwie:

- Duchy grają na kobzach! Smoki płomienistym oddechem niszczą uprawy! Spiczastoucha straszdyła z bagien wykradają ludzkie niemowlęta i podrzucają swoje bękarty! Co za ciemnota... Nic dziwnego, że bez trudu dali się omamić papistom!

- Nie przyszedł tu służyć kazania, wielebny - warknął Ross, zerkając nad ramieniem ojca. Obrażony Throckmorton pociągnął nosem i zaczął czytać:

- *Dobrzy ludzie z Ballybliss...* - zachnął się i przerwał, lecz po chwili zastanowienia podjął lekturę: - *...opieszalność w wypełnianiu moich żądań do cna wyczerpała moją cierpliwość. Postanowiłem jednak okazać miłosierdzie i daję wam dwa tygodnie na zebranie owego tysiąca funtów, które jesteście mi winni.*

Zgromadzeni przyjęli wieści z grobowymi minami i chóralnym jękiem. Nawet kapłan wyglądał na zaskoczonego.

- Tysiąc funtów, czyż to nie tyle, ile dała Korona w nagrodę za wydanie MacCullogha?

- To złośliwe pomówienia, nic więcej - zaprzeczył kowal. - W całej wsi nie znajdziesz człeka, co by oglądał taki skarb na własne oczy!

Throckmorton przezornie powstrzymał się od dyskusji i wrócił do listu:

- *Tymczasem dostarczycie mi następującą daninę: pięć tuzinów jaj, pół tuzina serów, dziesięć soczystych steków*

*i pasztetów z nereczek, trzy tuziny biszkoptów, dwanaście bochnów chleba, pięć funtów wędzonego dorsza, worek cebuli i drugi wór płatków owsianych, siedem dojrzałych rzep, dwadzieścia pięć jabłek, dwa tuziny placków owsianych, połec cielęciny, trzy Junty świeżej baraniny, trzy tuziny ziemniaków, dziesięć główek kapusty, czternaście...*

Lista ciągnęła się w nieskończoność. Usta kowala otwierały się coraz szerzej. Wreszcie wyrwał pismo z rąk kapłana i przyjrzał się z niedowierzaniem gęsto zapisanemu arkuszowi. Niepotrzebna mu była znajomość alfabetu, by stwierdzić, iż po obu jego stronach od brzegu do brzegu ciągnęły się linijki drobnych liter. Wielebny uzupełnił:

- Jest jeszcze dopisek: *Wasza ostatnia ofiara okazała się smakowitsza, niż mogłem się spodziewać, lecz ostrzegam, iż nie życzę sobie w przyszłości niechcianych darów. Za taki wybryk zapłacicie już nie tysiącem funtów, lecz własnym życiem.*

Naburmuszony Ross oparł brodę na ramieniu ojca.

- Cóż za bezczelność! Myślałby kto, że jak pożre tę dziewczkę od Wilderów, będzie syty przynajmniej ze dwa tygodnie!

Babcia Hay pokręciła łysawą głową.

- Może to tylko zaostrzyło jego apetyt? Mój biedaczyna Gavin był własnietaki: im więcej jadł, tym więcej się domagał. - Westchnęła sentymentalnie. - Ksiądz nam powiedział, że umarł, bo serce mu pękło, ale ja myślę, że to pękł mu żołądek po tłustym *haggis*!

Wielebny Throckmorton powiódł osłupiałym spojrzeniem po kręgu twarzy.

- Boże łaskawy w niebiosach! Cóż wyście uczynili?

Kicia Wilder wyrwała się z ramion siostr i podniosła twarz umorusaną od łez.

- Rzucili moją biedną siostrzyczkę Smokowi na pożarcie! Powinni się wstydzić!

Nessa pogłaskała ją pocieszającym gestem po plecach:

- Cichaj, maleńka! Gwennie poświęciła się sama dla dobra nas wszystkich... i czuła się szczęśliwa, że może to uczynić.

Wielebny zamrugał oczami w czerwonych z niewyspania obwódkach.

- Oddaliście Smokowi to biedne dziecko? Przecież ona jedyna w tej osadzie posiadała odrobinę rozumu!

Ailbert warknął:

- Powściągnij język, kapłanie, albo rozważę, czy Smokowi nie przypadłby do gustu soczysty prezbiterianin!

- Trochę łykowaty - zauważył Ross, wysuwając się do przodu, aż jego cień zarysował się złowróżbną plamą na schodach. - Możemy go dać babci Hays na podtuczenie. Niech go karmi swoimi *haggis*!

Pocziwy wielebny cofnął się bez słowa i zatrzasnął za sobą drzwi. Ailbert odwrócił się twarzą do ziomków i zaklął z pasją:

- Żeby tak dostał w swoje łapy tego głupca, który nas namówił do próby zerwania kłatwy! - Nagle dojrzał starego Tawisa, który chyłkiem przeciskał się na skraj ciżby. - Tam jest!

Wskazał winowajcę młodszemu synowi, który stał obok. Lachlan złapał starca za kark. W wydymanej wiatrem nocnej koszuli Tavis bardziej, niż kiedykolwiek, przypominał tknięte zębem czasu truchło. Jęczał żałośnie, gdy Lachlan włókł go do środka gromady.

- To była tylko propozycja. Ja nie chciałem zrobić nic złego! Ross wrzasnął:

- Ukamienować drania!

Ailbert pokręcił głową.

- Teraz to i tak nie pomoże. Zło już się stało.

Lachlan puścił wystraszonego staruszka, który upadł na ziemię i skulił się w kłębek.

- Cóż więc mamy począć? - spytała Marsali, mocno przyciskając do piersi córeczkę.

Kowal spojrzął spode łba na welinowy arkusz i jego pociągła twarz wydłużyła się jeszcze bardziej.

- Zaczynjcie zbierać jaja i doić krowy. Musimy nakarmić smoka!

Drugi dzień niewoli zaczął się dla Gwendolyn przy akompaniamencie głuchej stuknięcia i stłumionego przekleństwa. Usiadła na łożu, odgarniając z oczu potargane włosy. Ukryte drzwi właśnie zamykały się za anonimowym postaćem. W pierwszym odruchu rozejrzała się za stosownym pociskiem, ale gdy jej oczy przystosowały się do szarawego brzasku mżącego z zakratowanego okna, gniew przeszedł w osłupienie.

Już miała odrzucić okrycia, ale w ostatniej chwili uświadomiła sobie, że jest nagusieńka, jak ją Bóg stworzył. Związała w węzeł na piersiach pogniecione i poplamione czekoladą prześcieradło, wygramoliła się z łóżka i potoczyła dookoła niedowierzającymi oczami. Podczas gdy ona spała, ktoś wkradł się do celi na wieży i przemienił ją w alkowę godną księżniczki. Pomyślała, że straszyla, które Jaśnie Pan Smok ma na swoje usługi, muszą być obdarzone ambicją dekoratorów wewnątrz. Ona sama spała tak głęboko, że nie zbudził jej tupot włochatych stopek całego zastępu chochlików - bo tyłu ich było trzeba dla dokonania tych wszystkich zmian!

Zaczęła wędrować po izbie, dotykając w zamyśleniu to jednego, to innego drobiazgu czy mebla. Pod oknem stanął stół nakryty obrusem z satyny koloru wina. Obok wygodny fotel

zapraszał, by usiąść i zabrać się do czekającej uczyty, której wystawność zaćmiła wczorajszy poczęstunek: bułeczki i czekoladę. Dziś jej smak nęcił talerz pieczonych jabłek, obok żółciły się sadzone jaja i kromki pszennego chleba, a w misce parowała gęsta owsianka. Smakowite wonie dorównywały widokom. Gwendolyn skubnęła biały miąższ pieczywa, lecz po raz pierwszy w życiu suty posiłek nie przyciągnął jej całej uwagi. Zamiast rzucić się na jedzenie, zwróciła spojrzenie na kominek czysto wymieciony z mysich odchodów i pajęczyn. Czekwała na nim sterta drewek, a na gzymsie stało zgrabne pudełko podpałki. W kandelabrach tkwiły świeże woskowe świece. Na drugim, mniejszym i wyższym stoliku odkryła porcelanową miednicę, stos czystych ręczników i dzban z ciepłą wodą. Pochyliła się i wciągnęła woń, która zamiast oczekiwanego zapachu drzewa sandałowego i goździków, okazała się kwietną perfumą. Przechyliła dzban nad miską i obmyła twarz, lecz poranna toaleta nie wyrwała jej ze snu, w jaki zamieniła się więzienna egzystencja. Wprost przeciwnie, stał się tym słodszy, że w rogu spostrzegła stertę książek. Były to stare tomiska. Czas wystrzepił płótno oprawy, a rogi były powyginane od częstej lektury, ale w oczach Gwendolyn ślady użycia podnosiły wartość słów kryjących się na zmurszałych stronicach. Znalazła tam drugi tom *Dzieł zebranych* Swifta, pierwsze wydanie heroikomedii Pope'a *Pukiel włosów ucięty* i powieść Daniela Defoe *Roksana*. Ale jeszcze bardziej ucieszył ją widok *Traktatu o Fluksji* Colina Maclaurina. Nietknięty grzbiet grubego tomiska świadczył, że książki nikt przed nią nie czytał.

Usiadła na podłodze i zgarnęła skarby w podołek. Mogłaby tak spędzić resztę dnia, przewracając spłowiałe stronicę, ale jej oczy padły na plamę żywej barwy w przeciwległym kącie. Wstała powoli, a książki potoczyły się z jej kolan. W cieniu

przy ścianie stał stary kufer z otwartą pokrywą. Gwendolyn przysunęła się bliżej, jak przyciągnięta niewidzialną dłonią. Z każdym krokiem coraz głębiej pogrążała się w sennym rozmarzeniu. Nawet nie zdawała sobie sprawy, kiedy uklękła przed kufrem jak nabożna mniszka przed ołtarzem. Nieodparta pokusa pchnęła jej dłonie do wnętrza, skąd wyłoniły się pełne różowo — białych lnianych czepeczków. Na wierzchu przelewały się falbanki haftowanych haleczek. Następnie w ręce wpadła jej biała muślinowa suknia, przybrana wiśniowymi wstążkami, a za nią całe jardy plisowanej tafty w odcieniu identycznym jak kolor jej oczu. Raptownie obudziła się ze snu i ujrzała, że przykłada do piersi elegancką luźną szatę z modną wysoką talią.

Tkanina wyślizgnęła się z bezwładnych palców. Tak piękne suknie nie zostały skrojone dla dziewczyny jej postury! Uszyto je na miarę gibkich pięknotek jak Nessa czy Glynnis. Na usta Gwendolyn wkradł się tęskny uśmiech, gdy wyobraziła sobie, jak piszczałyby z zachwytu Kicia, gdyby otrzymała w prezencie tak olśniewający wybór szmatek!

Gwendolyn wiedziała, że powinna zatrzasać wieko, lecz nie mogła się oprzeć pokusie, by jeszcze raz zanurzyć dłonie. Palce zatoneły w przepysznie miękkim futrze sobolowej muflki. Jej własna matka jako dziewczyna była zapewne przyzwyczajona do takich właśnie luksusów, lecz odrzuciła je bez śladu żalu, by poślubić śmiałego młodzieńca, zarządcę w dobrach klanu z wysokich gór. Wyjechała z rodzinnego dworu, zabierając ze sobą jedynie młodą kuchenną służkę - Izzy. Kiedy tatko obiecywał, że nadejdzie czas, gdy otoczy matkę Gwendolyn wygodami, jakich zaznała w dzieciństwie, ona zarzucała mu ramiona na szyję, całowała i oświadczała, że jego miłość i ich drogie córeczki były jedynym skarbem, jakiego pragnęła.

Gwendolyn zamruwała, by odpędzić z oczu piekące łzy. Przesunęła między palcami aksamitną wstążkę na szyję, ciekawa, gdzie Smok wyszperał tak piękną garderobę. Ile innych osad złupił, zanim skierował łapczywe oczy na Ballybliss? Czy dar wykwintnych sukien miał być z jego strony celową drwiną z jej niezgrabnej, pospolitej sylwetki?

Sięgnęła, by zatrzasać kufer, lecz zawahała się, gdy jej oczy padły na pikowaną haleczkę. Rozejrzała się trwożnie, czy gdzieś nie czają się niewidzialni podglądacze, rozsypała węzeł prześcieradła na piersiach, a gdy opadło, wciągnęła zwiewną szatkę przez biodra. Haleczka objęła jej kształty, jakby była szyta na jej miarę. Była nawet za luźna w biuście i Gwendolyn musiała ściągnąć nieco jedwabne troczki. Spojrzała z namysłem na koszulkę z błękitnego jedwabiu, lecz zrezygnowała, gdyż do zawiązania płataniny sznurówki potrzebowałyby pomocy pokojówki.

Ponownie podniosła suknię z wysoką talią. By nie uszkodzić delikatnej tafty i nie porwać szwów, wciągnęła brzuch i narzuciła szatę przez ramiona. Obfite fałdy ułożyły się migotliwym wachlarzem u jej stóp. Z westchnieniem wyrażającym zachwyt wsunęła ręce w obcisłe do łokci rękawy, ozdobione przy mankietach strojnymi bufami. Podniosła ramiona, zadziwiona, że suknia leży na niej bez zarzutu. Nie miała na sobie nawet gorsetu, a nie pił jej żaden szew. Okręciła się dokoła. Tafta zawirowała wokół kostek tak lekko i wdzięcznie, jak czuła się sama Gwendolyn w tych wspaniałościach.

Rozetki w kolorze wiśni na staniku muślinowej sukienki zdawały się mrugać do niej zachęcająco i zanim zdołała się zorientować, już zrzuciła jedwabne чудо i naciągała miękką białą szatę. Przymierzała sukienki jedną po drugiej, aż osunęła się na podłogę wyczerpana i szczęśliwa. W palcach ścisnęła

koronkowy fartuszek, jedwabną sakiewkę w kolorze lawendy i sześć par pantofelków ze skórki w żywych barwach.

Objęła spojrzeniem komnatę, rozdarta między sprzeczne uczucia uniesienia i rozpacz. Jakaż to osobliwą sztukę magii posiadał Smok? Nie minął dzień niewoli, a już znalazła się pod działaniem uroków, które przemieniły ją w próżne, frywolne stworzenie, skore porzucić księgi dla wstążek i tiulu!

Nieoczekiwanie powróciło echo aksamitnego barytonu: „Nie przyjemniej by ci było uważać się za rozpieszczane zwierzątko domowe?”

Być może właśnie takie miał zamiary: uczynić z niej maskotkę, stworzonko zdane na łaskę pana! Powiedziała sobie, że musi zawsze pamiętać, iż nawet tonąca w luksusach cela pozostaje celą, a ona sama więźniem. Smok może ją zasypywać drogocennymi podarkami, lecz żaden nie dorówna temu jednemu, którego jej odmówił: wolności.

Przyszedł do niej w nocy.

Gwendolyn zbudziło z głębokiego snu bliskie pewności uczucie, że ktoś jest w jej komnacie. Nocny gość nie zdradził swej obecności najmniejszym drgnięciem ani tchnieniem, lecz jakimś szóstym zmysłem Gwendolyn wyczuwała go równie wyraźnie, jak wyraźny, choć przytłumiony, brzmiał w jej uszach odgłos przyboju za oknem. Tej nocy księżyc krył się za chmurami - podobnie jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. Jedyne oczy nocnego intruza lśniły w niesamowitej poświacie płynącej zza krat. Z ich położenia domyśliła się, że nieproszony gość siedzi wygodnie na fotelu, wyciągnawszy nogi przed siebie.

Uniosła się na posłaniu, wdzięczna instynktowi, który nakazał

jej wieczorem włożyć najskromniejszą z nocnych koszul i wsunął w ręce czepeczek pozbawiony zalotnych koronek. Postanowiła ukryć wrazenie, jakie nieodmiennie wywierała na niej jego obecność.

- Dobry wieczór, Jaśnie Panie Smoku. Myślałby kto, że masz pilniejsze sprawy na głowie niż szpiegowanie mnie w czasie snu. Powinieneś wszak szybować po niebie, wyglądając niewinnych dzieci, by spaść jak pocisk i porwać je w ostre szpony!

- Nie przepadam za małymi dziećmi. Zazwyczaj sprawiają więcej kłopotu, niż są warte.

- Miałam nadzieję, że tak samo ocenisz moją osobę.

- Jeszcze nie określiłem twej ostatecznej wartości... chociaż zaczynam sądzić, iż jest wyższa, niż sama myślisz.

Zmarszczyła czoło, dziwnie poruszona myślą, że w jakiś zagadkowy sposób otaczająca ich ciemność pozwala mu ujrzeć ją tym wyraźniej i dotrzeć do najgłębszych tajemników jej duszy, aż odkryje przed nim wszystkie sekrety. Czuła się bezbronna, osłonięta jedynie własną dumą i prześcieradłem. Zdobyła się mimo to na wojownicze pytanie:

- Czemu mnie nachodzisz? Może chciałeś usłyszeć wyrazy bezgranicznej wdzięczności za dary, jakimi mnie obsypałeś?

- Czy przypadły ci do gustu?

- A czy to cię obchodzi?

Niemal usłyszała w jego głosie, jak wygina usta w zamyśleniu:

- Dziwne, ale czuję, że tak.

- Przyodziewek jest prześliczny - wyznała, bawiąc się satynowymi wstążkami przy dekolcie koszulki. - Zastanawiam się tylko, skąd wzięłeś takie eleganckie suknie i koronki.

- Należały niegdyś do kobiety, którą znałem.



- ...którą kochałeś?- słowa padły z jej ust, zanim się zastanowiła, co ją skłoniło do tak śmiałego braku dyskrecji.

Smok odpowiedział jej bez wahania:

- Tak, i to bardzo głęboko!

Gwendolyn zaśmiała się, by ukryć nagłe ukłucie żalu:

- Ze zdumieniem odkryłam, że leżą na mnie jak ulał! Oczywiście w odróżnieniu od znanych ci niewiast nie potrzebuję tiurniur ani krynolin - dodała, mając na myśli wypchane poduszki i druciane rusztowania, które przyczepione pod spódnicami tak bardzo utrudniały modnym damom pokonywanie schodków do powozu i przeciskanie się przez wąskie drzwi.

Odpowiedział bez drwiny:

- Nie przyszło ci pewnie na myśl, że owe strojnisię próbują się upodobnić w ten sposób do ciebie: nabrać miękkich, kobiecych zaokrągłeń, których pozbawiła ich natura? Kształtów przyciągających mężczyzn, zachęcających do pieśszoty?

Nawet gdyby znała odpowiedź, za żadną cenę nie wydusiłaby jej z siebie. Ledwie mogła oddychać. Była szczęśliwa, że ma na sobie koszulkę, gdyż prześcieradło z pewnością wyśliznęłoby się z bezwładnych palców. Smok nie zwracał uwagi na jej zmieszanie.

- Prawdę powiedziawszy, nawet nie zauważyłbym, że masz kształty nieco obfitsze od kanonów obecnej mody, gdybyś sama z irytującą regularnością nie wytykała swych niedostatków!

Gwendolyn znalazła wreszcie siłę, by wyszeptać urwanym głosem:

- Dawno już odkryłam, że w ten sposób oszczędzam innym trudu.

- Jakże uprzejmie! - nadeszła odpowiedź: rzeczowa, bez

nuty litości czy współczucia. - Oczywiście sama sobie oszczędzałaś równocześnie ryzyka, że ktoś zrani twe uczucia, jak to się przydarza nam, nieszczęsnym śmiertelnikom.

Wyprostowała się z nadzieją, że dumna postawa odwróci jego uwagę od łez, które stanęły jej w oczach.

- Panie, chyba zapomniałeś, że nie jesteś śmiertelnikiem, lecz potworem!

Była przygotowana na ciętą replikę, lecz nie na to, co nastąpiło. Nocny gość wstał i podszedł do łóża. W słabej poświacie ledwie widziała zarys twarzy. Jego cień padł na siedzącą dziewczynę. Poczowała na policzku dotyk stwardniałego od pracy kciuka, gdy otarł samotną łzę.

- Panno Wilder, nie zdaje sobie pani sprawy, że oboje jesteśmy pewnego rodzaju mitycznymi istotami: ja jako smok, a ty jako dziewica? Od zarania dziejów nieskałanym pannom przypisywano niezwykle moce. Dziewicza magia potrafi usidlić jednorożca, przemóc kłatwę... - Choć wydawało się to niemożliwe, cichy głos nabrął jeszcze aksamitniejszej miękkości. - ...powalić mężczyznę na kolana. Oboje mamy moc, lecz jeszcze nie wiadomo, czyja okaże się większa.

Nieoczekiwanie pochylił się i musnął wargami jej usta w pocałunku, który choć przelotny i powściągliwy, obudził w jej sercu osobliwą tęsknotę. Kiedy się wyprostował, miała chęć chwycić go za koszulkę i przyciągnąć z powrotem.

Aby go zatrzymać, zaczęła gramolić się z pościeli, chwytając za filar łóża dla zachowania równowagi.

- Skoro istotnie władam magiczną mocą, ten pocałunek powinien przemienić cię z bestii w człowieka!

Zatrzymał się już przy boazerii i zwrócił ku niej twarz, skrytą w cieniu osrebrzonym księżycową poświatą.

- Och, zapominasz, pani, że tym razem to ja pocałowałem

ciebie, a po to, żeby uwolnić mnie z ponurego zaklęcia, to ty powinnaś pocałować mnie!

Rzuciwszy zuchwałe wyzwanie, zniknął, jakby połknęła go noc, która go zrodziła.

Sjmon stał w najwyższym punkcie murów Weyrcraig, zapatrzonej w morską dal wzrokiem człowieka, który nie znalazł ulgi ani pociechy w uspokajającym szepcie fal. Za kipiela przyboju rozciągały się atramentowe odmetry. Wydawały się gładkie jak skóra kobiety, lecz Smok wiedział, jak zwodnicza to gładź. Tuż pod lustrzaną powierzchnią kryły się ostre iglice podwodnych skałek, które potrafiły nierozważnemu nurkowi wyszarpać serce z ciała. Smok oparł dłoń o kamienny parapet, jedyną przeszkodę dzielącą go od pachnącej solą nicości za murem. Księżyc flirtował z chmurami, rzucając na nieboskłon świetliste plamy blasku. Smok nie mógł powstrzymać się od zatroskanej myśli, że nadejdzie czas, gdy i takie słabe światło wyda mu się zbyt silne, zbyt zdradzieckie!

Przyczyny niezależne od niego sprawiły, że stał się stworzeniem nocnym. Zawędrował do komnaty branki, ufając, że widok śpiącej rozproszy wewnętrzny niepokój, lecz nadzieja okazała się złudna. Słuchał oddechu równego jak oddech dziecka, patrzył na wyrzeźbiony pełnym słodyczy uśmiechem dołek, który zmiękczył surowy zarys podbródka, na złociste pukle, które wymknęły się spod skromnego czepeczka i tuliły do różanych policzków. Jedna noga śpiącej wystawała spod prześcieradeł, a zadarta wysoko koszula odsłaniała kształtne udo.

Kiedy się obudziła, przekonał się, że w ustach tak mu zaschło z pożądania, iż przez chwilę nie potrafił wydusić z siebie słowa. Wiedział, że powinien uciec, zanim blask księżyca zdradzi jego

tożsamość, lecz zwlekał z odejściem. Celowo drażnił ją i drwił, aż doprowadził ją do granic wytrzymałości i widział, jak dumne oczy wypełniają się łzami. Wtedy odrzucił własną dumę i obawę przed światłem księżyca, i podszedł do niej z gestem pociechy. Ten miłosierny gest można było jeszcze zrozumieć, lecz cóż za szaleństwo go opanowało, że posunął się do pocałunku? Jakby upił niewielki łyk nektaru, którego sobie zbyt długo odmawiał! Z ledwością powstrzymał się, by nie pchnąć jej na posłanie i zagłębić język w oszałamiającą słodycz jej ust.

Błyszczącymi oczami przeszukiwał ciemny nieboskłon, lecz i tam nie znalazł pocieszenia, którego próżno wyglądał w rytmicznym tańcu fal. Zaczynał się lękać, że jednak ją okłamał: że jej pocałunek, choćby dobrowolnie ofiarowany, nie zmieni potwora w człowieka, tylko wyzwoli jego żądzę z pęt samokontroli, tym samym piętnując go na wieki jako prawdziwą bestię.

## 8

Gwendolyn ujrzała nad sobą prawdziwą szkaradę z dziecięcych baśni.

Przez całą długą noc spała snem przerywanym i niespokojnym, więc gdy się zbudziła, nie od razu zdała sobie sprawę, że to nie paraliż unieruchomił jej nogi, lecz spoczywający na nich ciężar. Otworzyła oczy i wzdrygnęła się na widok nastroszonych wąsów, łaskotliwych kępek szarego futra i żółtawych oczu zwężonych w zionące wrogością szparki. Wrzasnęła i wyskoczyła z łóżka, lecz nim zdołała dobiec do ukrytych w boazerii drzwi, zjawisko zniknęło. Prześcieradło zwisające z krawędzi łoża chybootało się miarowo, zdradzając kryjówkę nieproszonego gościa.

Gwendolyn przycisnęła dłoń do piersi i z trudem łowiła oddech. Przez głowę przemknęła jej myśl, że traci zmysły. W męczących snach pojawiał się tajemniczy mężczyzna na przemian z odstręczającym potworem; raz po raz widziała siebie, jak wyciąga zapraszająco ramiona do Smoka, nie dbając, czy bestia chce ją pocałować, czy pożreć. Nawet nocną wizytę mogłaby uznać za część sennych koszmarów, gdyby nie wyraziste wspomnienie smaku jego ust na wargach.

- Smoki nie istnieją! - mruknęła stanowczo - Ani straszyciła z baśni.

Mimo tej deklaracji sięgnęła do kufra po parasol, zanim ośmieliła się zbliżyć do łoża. Ściskając w rękę prowizoryczną broń, osunęła się na kolana, gdyż w przybliżeniu dodającej otuchy trzeźwości uświadomiła sobie, że owa istota mogła być po prostu wielkim szczurem. Nie rozproszyło to jednak jej obaw: stworzenie mogło ją zaatakować. Ostrożnie podniosła róg prześcieradła i zamiotła parasolem podłogę. Spod łoża dobiegł ją nieludzki pomruk, właściwie złowróżbny warkot, aż poczuła gęsią skórę na ramionach. Powoli podniosła się z klęczek i odsunęła od pościeli. Czymkolwiek była kryjąca się pod nią istota, Gwendolyn była skazana na jej towarzystwo w celi na szczycie wieży. Przerażliwy krzyk sprzed kilku minut nie sprowadził pomocy. Przez chwilę rozważała, czy nie powinna wskoczyć na łożo i wrzeszczeć do utraty tchu, lecz zrezygnowała w obawie, że to podnieci stworzenie do krwiożerczych czynów. W popłochu rozejrzała się po komnacie. Wczorajsze poszukiwania drogi ucieczki zakończyły się niepowodzeniem. Jediną szansą mogło stać się okno, lecz było zakratowane, poza tym wtedy nie miała nadziei sięgnąć tak wysoko. Obecnie sytuacja się zmieniła, bo Jaśnie Pan Smok nader uprzejmie dostarczył jej stół - i fotel, który mogła ustawić na blacie.

Właśnie to uczyniła. Kilka chwil później utrzymywała chwiejną równowagę na siedzeniu fotela, badając okienną kratę. Gdyby zdołała ją obluźnić, mogłaby się wdrapać na poręcz fotela i przecisnąć przez okrągły otwór. Początkowo obawiała się, że pokryte rdzą żelazne pręty okażą się przeszkodą nie do pokonania, ale wystarczyło kilka zdecydowanych pchnięć parasolką i wielowiekowy tynk skruszał w duszący pył. Stłumiła

kichnięcie i pchnęła jeszcze raz. Krata zachybotła się i wyslizgnęła z palców, lądując gdzieś pod oknem z brzękiem, który mógłby obudzić umarłego... lub jego widmo, pomyślała i rzuciła trwożne spojrzenie przez ramię w stronę łoża. Wspięła się na palce i wychyliła z okna. To, co zobaczyła, sprawiło jej wielką ulgę: zamiast bezdennej przepaści nad wzburzonym morzem oczekiwał ją zaledwie metr niżej widok wąskiej ścieżki odgraniczonej od urwiska kamiennym parapetem. Serce zaczęło walić w piersiach jak oszalałe, gdy zdała sobie sprawę, że wystarczy zeskoczyć i odnaleźć jedną z ramp prowadzących w dół wzgórza. Schody będą oczywiście zniszczone, ale powinno jej się udać dotrzeć do stóp góry, a stamtąd do wioski. Zawahała się, bo choć perspektywa ucieczki ze szponów Jaśnie Pana Smoka była niesłychanie nęcąca, niemal równie silna okazała się pokusa, by jeszcze raz zerknąć na skarby, które jej podarował. Postanowiła wszak zabrać ze sobą jedynie nocną koszulę i wspomnienie pocałunku - tak słodkiego, że przez resztę życia będzie się zastanawiać, czy to nie był sen.

Przyjrzała się bacznie otworowi okna. Przeciskała się już przez węższe szpary. Jako dziecko schowała się raz w wydrążonym pniu wiązu i przesiedziała w nim do nocy, podczas gdy Ross z kompanami przeczesywali las. Uniknęła w ten sposób konieczności odgrywania roli popychadła w grze „Przy-  
pnij osłu ogon”. Podbudowana wspomnieniem, położyła parasol na stole i wdrapała się na poręcz fotela. Wyciągnęła ramiona na zewnątrz i wpiła palce w chropowaty kamień muru. Podciągnęła się do góry, aż zawisała nad dębowym oparciem, ledwie muskając je stopami. Wschodzące słońce odbijało się snopami iskier w zielonkawych odmętach. Morze było tego ranka wyjątkowo spokojne. Fale przyboju szeptały sobie czułe słówka, zamiast ryczeć wściekle jak poprzedniej nocy. Twarz

owiała jej bryza piekąca od soli. Zapach morza zmył upajającą woń drzewa sandałowego i goździków. Gwendolyn poczuła przypływ otuchy i tym energiczniej poczęła się wkręcać biodrami w poszarpany na brzegach otwór. Nagłe usłyszała za sobą odgłos, który zmroził jej krew w żyłach.

Łup. Łup. Łup.

Zamarła. W zapale ucieczki zapomniała o bestii pod łóżkiem. Tajemnicze stworzenie nie zapomniało jednak o niej. Potrafiła sobie łatwo wyobrazić, jaki przedstawia widok, do połowy ciała zanurzona w oknie: soczysty kasek, wymachujący nogami w powietrzu. Wciągnęła brzuch i gorączkowo zaczęła machać rękami, by przedrzeć się na drugą stronę. Niestety, biodra uwięzły i nie tylko nie mogła ruszyć się do przodu - równie beznadziejne okazały się próby cofnięcia.

Złowróźbny tupot miękkich stóp zbliżał się nieubłaganie. Gwendolyn przestała się wiercić i wstrzymała oddech. Wsłuchiwała się w wiele mówiące odgłosy: skrzyp stołu i grzechot nóg fotela o blat, gdy stworzenie skokami posuwało się coraz wyżej. Zaciśnęła powieki i zagryzła zęby. Za chwilę szczur gigant, król wszystkich szczurów szkockich, zagłębi ostre jak brzytwa kły w jej łydce!

Coś pluszowo-ciepłego, delikatnego jak puch nowo narodzonego jagniątka otarło się o zwisające bezradnie stopy. Otworzyła szeroko oczy, słysząc nowy odgłos: głębokie, pełne rozkoszy mruczenie. Z takim natężeniem wsłuchiwała się w gardłową melodię, że umknął jej uwagi skrzyp odsuwanej boazerii i dopiero filuterny męski głos przywołał ją do przytomności:

- Widzisz, Tupper? Zawsze mówiłem, że z tej celi rozciąga się najpiękniejszy widok w całym zamku!

Ostatnie, czego spodziewał się Smok za drzwiami wieży, to widok pulchnych, acz kształtnych pośladek panny Wilder w gustownym obramowaniu kolistego okna.

Dopiero o brzasku udało mu się zapaść w głęboki sen bez marzeń, z którego wyrwał go stłumiony murami odgłos kobiecego pisku. Przetoczył się na bok i nasunął poduszkę na głowę, lecz mylił się, sądząc, że to echo sennego koszmaru -jednego z wielu, jakie go dręczyły, odkąd przyjechał w to przeklęte miejsce. Kilka chwil później poderwała go z prowizorycznego posłania seria metalicznych szczęków i łomotów. W obawie, że jego branka wyrządziła sobie jakąś krzywdę, narzucił koszulę i spodnie i popędził schodami na wieżę. Na drugim podejście natknął się na równie zaniepokojonego Tuppera. W pośpiechu

Na miejscu okazało się, że panna Wilder rzeczywiście własnym staraniem znalazła się w niefortunnej sytuacji - choć w oczach jego i Tuppera nie przedstawiała się ona bynajmniej tak odrażająco. Spod przybranego falbanką obrąbka wyłaniały się nogi. Kształtne łydki zwisały nad prowizoryczną drabiną

z poręczy i oparcia fotela. Smok rzucił spojrzenie na przyjaciela, którego niewinne brązowe oczy zaokrągliły się na kształt cynamonowych ciasteczek. Dłonie Smoka odruchowo podniosły się, by zasłonić wybałuszone źrenice Tuppera, lecz zamiast tego ujął go pod łokieć i wyprowadził z komnaty.

- Wiesz co? Zajdź od zewnętrznej strony i zobacz, czy nie da się czegoś zrobić z tamtego końca.

Tupper usiłował rzucić jeszcze jedno spojrzenie przez szerokie barki przyjaciela:

- Ten koniec wydaje mi się dalece bardziej intrygujący. Nie byłoby lepiej, gdybym...

- Wykonał moje polecenie. - Wyręczył go Smok i popchnął niezbyt delikatnie w kierunku schodów.

Tupper posłuchał, wysuwając dolną wargę w grymasie nadąsanego dziecka. Smok wrócił do wieży i ogarnął wzrokiem obraz, którego niezwykłość przewyższała nawet akrobatyczne zmagania panny Wilder: Toby utrzymywał chwiejną równowagę na najwyższym drążku oparcia, wyciągając tłuste cielsko w górę, by móc ocierać wielki, puszysty łeb o podeszwy dziewczęcych stóp. Smok przechylił głowę w niedowierzającym zasłuchaniu. Z gardła zgryźliwej bestii wydobywał się pomruk rozkoszy!

Kot, widząc gospodarza, poruszył pogardliwie wąsami, lecz gdy Smok podszedł do stołu, niechętnie ustąpił pola. Gwendolyn wyczuła zbliżanie się wroga i zastygła w bezruchu.

- Zdaje się, że czegoś pani zapomniała, panno Wilder! - zawołał, przesuwając palcem po koronkowych fałdach parasolki. - Obawiam się, że bez niej trudniej będzie pani sfrunąć na ziemię!

- Zamierzałam rzucić się w otchłań i roztrzaskać na skałach - wydusiła głosem stłumionym, lecz wyraźnym. - Nie musiałabym wówczas znosić dłużej pańskich uszczypliwości!

Wykrzywił wargi w wyrazie niechętnego uznania.

- Czy mam spróbować wciągnąć panią do środka?
- Nie, dziękuję! Kierowałam się w odwrotną stronę.
- Właśnie widzę.

Odstawił fotel i zgrabnie wskoczył na stół. Białe stopy zaczęły przecinać powietrze, desperacko szukając oparcia. Objął je w kostkach i zatrzymał w miejscu.

- Spokojnie, panno Wilder! Proszę się nie obawiać, wszystko jest w porządku. Trzymam panią mocno!

Gwendolyn właśnie tego się obawiała. Równy głos Smoka dodawał jej więcej otuchy niż zadowolone mruczenie kota, lecz słowa były kłamstwem. Ciepłe dłonie obejmujące jej kostki obiecywały bezpieczeństwo, jednak przynosiły zagrożenie. Spłonęła rumieńcem upokorzenia, gdy zdała sobie sprawę, że pod nocną koszulką nie ma nawet majteczek! Jeśli te zwinne, silne palce przesuną się nieco wyżej...

- Tupper biegnie z drugiej strony. Musi zejść aż na sam dół urwiska i wspiąć się z powrotem przez gruzowisko, więc minie kilka minut, zanim nadejdzie. A może spróbujemy? Jeśli mocno chwycę pani nogi...- poczuła, jak dłoń wybawcy posuwa się w górę łydki.

- Nie! - zaczęła się szarpać. - Wolę poczekać na pana Tupperinghama, jeśli można.

- Umilmy sobie czas oczekiwania wyjaśnieniem, w jaki sposób znalazłaś się w tej... powiedzmy, niezręcznej sytuacji?

Westchnęła:

- Kiedy się zbudziłam, ujrzałam jakiegoś stwora siedzącego mi na nogach.

- To mógł być tylko Toby. Łajdak wślizgnął się pewnie do więzy w nocy, kiedy zostawiłem uchylone drzwi.

Gwendolyn wołała nie wracać pamięcią do nocnej wizyty

Smoka, a szczególnie do wspomnienia chwili, kiedy to ich oddechy połączyły się w czymś, co nie powinno być pocałunkiem, lecz niewątpliwie nim było.

Smok zapytał:

- Czy czujesz lęk przed kotami?

- Wprost przeciwnie, lubię je bardzo... - Nie zamierzała mu się przyznać, że wzięła zwykłego burasa za baśniowego goblina. - Pomyślałam tylko, że to szczur.

Smok parsknął śmiechem.

- Gdybym to ja obudził się i ujrzał na stopach szczura ważącego dwadzieścia kilogramów, też pewnie wyskoczyłbym z najbliższego okna! - Jego palce zaczęły w roztargnieniu błądzić po skórze jej nóg, aż oddech Gwendolyn stracił równy rytm. - Chyba powinienem jednak spróbować wyciągnąć cię stąd sam. Tupper strasznie się wlecze!

- Nie, słyszę go tuż-tuż! - zawołała z udawaną radością, choć jedynymi odgłosami świadczącymi o aktywności Anglika był stuk kamyków na samym dole urwiska i ledwie słyszalne przekleństwa. Smok oczywiście zlekceważył jej słowa i mocno objął dłońmi jej uda. Jedno silne szarpnięcie mięśni rąk i dziewczyna zaczęła ześlizgiwać się w jego ramiona. Objął ją od tyłu tak mocno, że miała wrażenie, iż znalazła się w obciągniętym aksamitem imadle. Rękami otoczył ją w pasie. Pośladkami oparła się o jego biodra, hamujące impet osuwającego się ciała. Kiedy zerknęła w dół, zobaczyła powiewające poły koszuli, której w pośpiechu nie zdążył zapiąć. Wystarczy, że odwróci policzek, a jej twarz dotknie obnażonego męskiego torsu.

Wiedział, że nigdy nie może do tego dopuścić: był więźniem nie mniej, niż ona. Powiedział oschle:

- Teraz to ja znalazłem się w niezręcznej sytuacji!

- Co ci przeszkadza, Jaśnie Panie Smoku? - spytała niewinnie. - Nie masz w kieszeni opaski?

- Chyba zostawiłem ją w swej sypialni, żeby znaleźć miejsce na okowy i bicze!

- A może powinien pan znowu poprosić pana Tupperhama o pożyczenie krawatu?

- Owszem, pod warunkiem, że ten osioł w ogóle się tu wdrapie!

Oboje słyszeli teraz wyraźnie strumień przekleństw, choć kompan Smoka nadal znajdował się zbyt daleko, by mogli zrozumieć ich treść. Kot skorzystał ze zmienionej sytuacji, wskoczył na stół i zaczął się ocierać o jej łydki.

Smok zauważył:

- Jak mi się zdaje, Tobie poczuł do ciebie wielką sympatię. Nigdy przedtem nie słyszałem, by mruczał!

Kot szturchnął łbem nogę Gwendolyn, która jęknęła od-ruchowo.

- Przy jego rozmiarach dziwię się, że nie pomyliłam go z mastifem!

Smok cofnął dłoń obejmującą ją w pasie. Poczula dotyk jego palców wzdłuż wystających kości obojczyka i dreszcz pod-niecenia przebiegł jej po plecach.

Szepnął jej prosto do ucha:

- Cieszę się, że to Tobie cię wystraszył. Lękałem się przez chwilę, że usiłowałaś umknąć przede mną!

- Czy mógłbyś mnie za to winić?

- Nie - przyznał beztrasko. - Ale i tak bym to robił!

Gwendolyn zapomniała, że ma na głowie czepeczek skrom-nisi, aż poczuła, że Smok delikatnie ściąga go z włosów, które kaskadą złota rozsypały się po jej ramionach. Zanurzył twarz w jedwabistych kędziorach, aż przymknęła oczy. Poczula, że unosi ją falą tęsknoty.

- Panie, pozwól mi zejść, a obiecuję, że nawet nie zerknę na twoją twarz! - szepnęła słabo. - Jeśli jesteś zeszecony jakąś blizną czy zdeformowany od urodzenia, uszanuję twoje pragnienie zachowania tego w ukryciu. Zapewniam cię, że zawsze dotrzymuję danego słowa.

- Przez ciebie niemal żałuję, iż sam nie należę do owych szlachetnych dusz! - zgarnął w dłoń garść miękkich włosów, odsłaniając gładki kark. Gwendolyn mogłaby znieść dotyk jego palców, ale muśnięcie, które poczuła na skórze, zawdzięczała wilgotnym i gorącym wargom. Niemal rozpułyła się w słodczy tej pieśczo-ty. Przyszło jej do głowy, że paść żerem smoka może być niezwykle rozkosznym doznaniem. Pokusa, by ofiarować mu smakowity kasek swego ciała, stała się niemal nie do wytrzymania. Jego wargi powędrowały w zagłębienie na szyi, gdzie pulsowała krtań. Dziewczyna przymknęła oczy i skłoniła głowę w geście poddania.

Smok ujął ją pod brodę palcami jednocześnie stanowczymi i łagodnymi i lekko podniósł jej twarz do swych ust.

Gwendolyn mogła być dziewicą, lecz usta dojrzały już do kobiecości. Smok palącym dotknięciem języka położył na nich pieczęć własności. Ogień jego żądy rozniecił tysiące płomyków w każdym zakątku jej ciała, aż piersi jej nabrzmiały, a sutki uniosły się do góry. Objął ją mocniej w pasie, tuląc biodra do krągłych pośladków.

Nie miałyby odwagi otworzyć oczu, nawet gdyby zdecydował się odwrócić ją przodem ku sobie. Powieki miała ciężkie jak z ołowiu, jakby rzucił na nie zaklęcie. Padła ofiarą magii płynącej nie tyle ze słodczy pocałunku, co z przyziemnych doznań: szorstkiego, lecz czułego dotyku i słonawego posmaku męskich warg. Teraz ona z kolei wysunęła język chciwy nowych doznań, a on jęknął z głębi gardła i przycisnął ją

jeszcze mocniej. Nagle przez okno dobiegł jowialny głos Tuppera. Wzdrygnęli się, jakby oblani strugą zimnej wody.

- Co tam, stary druhu? Spóźniłem się na ratunek damy?

- Nie! - odparł Smok mrocznym tonem, wychylił się z okna i zerwał z szyi przyjaciela szeroki krawat. - Przyszedłeś w samą porę!

Tupper skończył naprawiać kratę w celi Gwendolyn i wyszedł z cienistych korytarzy zamku na dziedziniec. Smok krążył wokół miejsca, gdzie niedawno znaleźli dziewczynę. Przez szczyrbę w popękanych murach na podwórzec wciskały się promienie porannego słońca, zalewając bruk jaskrawym światłem, lecz twarz przyjaciela była mroczna jak najgłębsza noc. Z arystokratycznych nozdrzy uleciała cienka smuga dymu, gdy zaciągnął się aromatyczną cygaretką. Tupper nerwowo szarpnął koniuszek wąsa.

- Nie chciałem wam przerywać schadzki. Błagam, wybacź mój brak dyskrecji!

Smok wypluł cygaro.

- Twój brak dyskrecji? To nie ty zawiniłeś i nie twoim grzechem się gryzę, tylko swoim! Co ona sobie teraz o mnie myśli? Kiedy tylko jestem z nią sam na sam, dopadam jej jak nieokrzesa bestia, za jaką niewątpliwie mnie ma! Czy tak długo nie miałem kobiety w łóżku, że dobiegam się do pierwszej niewinnej istoty, jaka stanęła mi na drodze? Nic dziwnego, że nie jestem odpowiednim towarzyszem dla cywilizowanych ludzi!

Tupper zrównał się z nim i obaj zaczęli okrążyć dziedziniec.

- Nie jest tak, jak mówisz, przyjacielu. Moja babka cioteczna, Taffy, uwielbia cię i mawia, że przypominasz jej pysznego,

gorącokrwistego ogiera, którego miał jej ojciec, gdy była małą dziewczynką. - Potrząsał smętnie głową. - Rzecz jasna musieli go w końcu zastrzelić, gdy odgryzł stajennemu trzy palce!

Smok zatrzymał się i rzucił kompanowi spojrzenie, które powinno było spopielić go na miejscu.

- Dzięki za próbę dodania mi otuchy! Teraz oczywiście czuję się o wiele lepiej.

Trzema skokami przemierzył odległość dzielącą go od murów, ciągnąc za sobą Tuppera, który bez powodzenia perswadował:

- Nie powinieneś się tak obwiniać! Przecież nie wzięłeś jej gwałtem na tym stole, omotawszy dziewczą głowę halką, tylko skradłeś jej niewinność całusa. Cóż w tym złego?

Smok nie mógł się przemóc, by wyjaśnić przyjacielowi, że pocałunek nie był niewinny i że lęka się jego wpływu na swój spokój wewnętrzny, a nie szkód, jakie wyrządził dziewczynie. Nieśmiałe muśnięcie języka Gwendolyn podnieciło go bardziej, niż wprawne pieszczoty londyńskich rozpustnic. Chciał jej dać posmakować ognistych smoczycych warg, lecz to on sam wyszedł z pojedynku, płonął z tęsknoty pożądania!

Zatrzymał się przed posągiem, który niewzruszenie królował nad zrujnowanym podwórcem. Grecka bogini miłości Afrodyta była tu nie na miejscu, bo kamieni dziedzińca od piętnastu lat nie dotknęły stopy zakochanych. Przemknęło mu przez głowę, że gdyby nie dzieło zniszczenia angielskich armat, które odstrzeliły marmurową twarz, niechybnie usłyszałby jej drwiący śmiech. Przesunął dłonią po krągłym ramieniu bogini i szepnął ledwie dosłyszalnie:

- Muszę stąd wyjechać... zanim sam stracę głowę.

Tupper przypomniał:

- Daliśmy tym góralom dwa tygodnie na zebranie złota.



- Wiem! - Smok odwrócił się plecami do zrujnowanej piękności. - Ale możemy ich nieco ponaglić, nie sądzisz? Na przykład rzucając kilka dymnych petard na pola i błyskając pochodniami w zamkowych oknach. Możesz fałszować, ile dusza zapragnie, na tej swojej kobzie, niech ich uszy rozboleją! Chcę, by rzucili się sobie nawzajem do gardeł. Niech nie zaznają spokoju, aż zaczną modlić się o to, jak wykryć i przyprowadzić mi sukinsyna, który przez wszystkie te lata ukrywał haniebne złoto!

Tupper zasalutował rześko.

- Możesz mi zaufać! Rozniecę w ich duszyczkach bojaźń bożą.

Smok okręcił się na pięcie i ukazał przyjacielowi twarz zastygłą w wyrazie takiej zawziętości, że Tupper cofnął się odruchowo.

- Nie Boga powinni się lękać, tylko mnie!

## 10

Tupper skradał się na palcach przez głęboki mrok górskiej nocy. Tylko wschodzący księżyc oświetlał mu szlak. Ostrożnie wybierał drogę między luźnymi kamykami, by nie strącić żadnego okrucza. Krew w żyłach tętniła szybkim rytmem podniecenia. Nie lubował się co prawda w niebezpieczeństwie, lecz chętnie brał udział w przygodach, do jakich nie dawała mu okazji monotonna londyńska egzystencja pięknoducha. Nie tylko obawa przed skandalem podszeptała mu owej pamiętnej nocy pomysł przyłożenia sobie do ust lufy pistoletu; częściowo było temu również winne znużenie życiem. Chociaż żaden z przyjaciół nie podjął potem tematu jego niedoszłego samobójstwa, Tupper podejrzewał, iż Smok już wtedy zorientował się, że nieszczęsnemu graczowi zabrakłoby odwagi, by pociągnąć za spust.

Dwa lata temu w karcianej speluncie poznał Smoka i od tego dnia nie zaznał nudy. Gdyby tamten nie zainterweniował w porę, Tupper gniłby w więzieniu za długi lub zapijał się na śmierć w swym eleganckim londyńskim apartamencie. Nie

miał żadnego celu i żadnych zobowiązań - od czasu do czasu dni urozmaicał mu przelotny romansik z podrzędną aktoreczką lub zaprawiała goryczą skłonność do zgagi i reumatyzmu, spuścizna po ojcu. Jedyna próba zapewnienia synowi kariery, jaką podjął wicehrabia, kupując mu patent oficerski w Królewskiej Marynarce, zakończyła się niefortunnie, gdy Tupper w czasie pierwszej podróży okazał się podatny na chorobę morską i ulżył sobie wprost na galony admirałskie jednego z najstarszych przyjaciół swego rodzica. Skłonność do wymiotów na morzu z czasem minęła, lecz pogarda ojca dla nieudanego potomka utrwaliła się na dobre.

Tupper niemal żałował, że ojciec nie widzi go w tej chwili, gdy odziany w czerń przedziera się przez gęste leśne poszycie tak zręcznie, że nie zaszeleścił ani jeden listek i nie skrzypnęła nadepnięta gałązka. Pierwszy raz w życiu czuł, że ma ważną misję do spełnienia. Gdy listowie przedzierało się, zmuszając go do przeskakiwania od pnia do pnia, sam poczuł podziw, widząc, jak rączy i pewnie się porusza. Jednym susem pokonał głęboki rów, a czarna opończa wydeła się za nim jak skrzydło. Poczuł, iż jest zdolny do lotu! Smolisty płaszcz pożyczył od Smoka bez jego wiedzy, ale miał nadzieję, iż przyjaciel nie weźmie mu tego za złe. Bez tego szczegółu przebraniu brakłoby stylu i rozmachu.

Zostawił za sobą gaj i zaczął skradać się w poprzek usianej gładzi łąki. Liczył na to, że kamienny murek biegnący jej skrajem ukryje go przed oczami wioski leżącej w sąsiedniej dolinie. Czujnie zmierzył oczami gęste łany trawy, szukając najlepszego miejsca dla garneczka z petardą, który pieczołowicie hołubił pod pachą. Jaskrawy płomień i kłęby dymu wyrwał

wieśniaków z łózek. Te ciołki uwierzą oczywiście, że to kolejny atak Smoka na ich sadybę!

Tu kryło się piękno ich planu. Mieszkańcy Ballybliss byli przesądni, w dodatku dręczyło ich nieczyste sumienie tchórzcy. Wystarczyło zasiał ziarno lęku w tych ciemnych duszyczkach, by ich przekonać, że w ich życie wkroczyła nadnaturalna siła nieczysta. Potem każdy szczegół wzmacniał to przekonanie: kiedy skwaśniało mleko czy niemowlę płakało w ataku kolki, gdy kot wykrztusił z siebie kłęb sierści - wszystko składali na karb smoczej kłątwy.

Tupper umieścił garnceczek między kępami traw i chichocząc pod nosem wyciągnął z kieszeni pudełko z podpałką. Skoro w swej naiwności brali siarkę za płomienny oddech smoka, zasługiwali na bezsenne noce. Skrzeszał iskrę i pochylił się, by zapalić lont.

- Niall, czy to ty? Kiedy się obudziłam, nie było cię przy mnie. Czemu zostawiasz mnie samutką w lesie? - dobiegł jego uszu płaczliwy dziewczęcy głosik. Odwrócił się powoli i stanął twarzą w twarz z tą, która przyłapała go na gorącym uczynku. Widząc obcego, wykrzyknęła przeraźliwie: - Ty nie jesteś Niall!

- Nie, skądże? Gdybym nim był, z pewnością nie zostawiłbym cię samej!

Światło księżycy wydobyło z mroku nieskazitelnie kremową cerę twarzyczki elfa w obramowaniu czarnych loków. Miała plamy od trawy na spódnicy i zmierzwione włosy, a z rozpiętego stanika sukni wyzierały kształtne pagórki piersi. Przypominała mu psotną dziewczuszkę bawiącą się w dorosłą kobietę... o ustach jak pączek róży, nabrzmiątych jeszcze od pocałunków mężczyzny.

Podparła się pod boki i zmierzyła go badawczym spojrzeniem.

- Nigdy przedtem nie spotkałam cię w Bałlybliss, panie, a znam wszystkich mężczyzn z wioski!

Tupper musiał odchrząknąć, zanim zdobył się na replikę:

- Obawiałem się takiej właśnie odpowiedzi.

Spojrzała na swoją wymiętą suknię.

- Mam nadzieję, że nie myśli pan, iż zawsze tak się prezentuję. Ja... potknęłam się i trochę, upadłam.

Z wysiłkiem oderwał oczy od krągłych piersi. Coraz trudniej było mu znaleźć odpowiednie słowa:

- Sam od czasu do czasu upadam. Raz wypiliśmy za dużo wina i spadłem z konia prosto na kolana damy, która właśnie przejeżdżała przez park w swoim powozie.

- Czy ta dama pomyślała, że „wpadłeś” z miłości do niej?

Utkwiła w nim roziskrzone spojrzenie. Tupper stał tak chyba z minutę, grzejąc się w promieniach miodowych tęczy, zanim zorientował się, że dziewczyna z nim flirtuje. Z nim! Z Theodore Tupperem, niezgrabiaszem, synem drobnego szlachetki! Z trudem odnalazł język w gębie:

- Jeśli nawet doszła do tego wniosku, dała temu wyraz, wrzeszcząc o żandarma i tłukąc mnie po głowie parasolką!

Usta dziewczyny wygięły się w wesołym uśmiechu. Objęła szybkim spojrzeniem czarną koszulę o długich, falujących rękawach, wykończoną przy szyi i mankietach koronką. Nie uszły jej uwagi dopasowane bryczesy i lśniące buty jeździeckie, które niezdolnie uwierały go w palce, ale nadały mu upragniony wygląd śmiałka. Wreszcie wzrok jej padł na elegancko skrojony płaszcz i uśmiech spełzył z jej twarzy.

- Ojej, chyba wiem, kim jesteś! - Oczy rozszerzyły się

w dwa błyszczące spodki. Zaczęła cofać się bojaźliwie. - Ty jesteś Smok!

Chciał zaprzeczyć, ale na widok oczu pełnych lęku, zadowolonego szacunkiem, przezornie zmilczał. W całym dotychczasowym życiu nie widział, by kobieta tak na niego spoglądała. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co czyni, wypiął dumnie pierś, wciągnął brzuch i oświadczył:

- Tak, dziewczeczko. To ja jestem Smokiem!

Nie byłby zaskoczony, gdyby odwróciła się i jęła w popłochu uciekać przez łąkę, wrzeszcząc co sił w płucach. Nie zdziwiłby się też, gdyby wzdrygnęła się z odrazą na widok Smoka, ucieleśnionego w postaci łysiejącego, pulchnego Anglika. Ale zdumiał się niepomierne, gdy dziewczuszka rzuciła się na niego, bijąc piąstkami w tors i krzycząc piskliwie:

- Ty!... Ty paskudna bestio, to ty zjadłeś moją siostrzyczkę!

Jedna z piąstek trafiła z całą mocą wściekłości we wciągnięty do granic możliwości brzuch. Rozległo się potężne „puff!” i wypięty tors sflaczał. Rozpaczliwie usiłując uciszyć dzierlatkę, zanim obudzi całą wioskę, przyciągnął ją do siebie i zacisnął dłoń na jej ustach. Syknął jej prosto do ucha:

- Nie zjadłem twojej siostry, głupia! Ona żyje i jest w dobrym zdrowiu. Mogę tego łatwo dowieść, bo opowiadała mi o tobie. Ty jesteś jej małą siostrzyczką Catriona, prawda? Ale wołają na ciebie inaczej. Kattie? Kotek? - gorączkowo szperał w pamięci, podczas gdy mała wbiła się zębami jak szpilki w jego dłoń i ugryzła do krwi. Wyszarpnął palce.

- Kicia! - wykrztusiła ze złością, wierząc się w jego ramionach jak rozżłoszczony tygrys, a nie jak przymilne zwierzątko, którego imieniem ją przezwano.

- No, oczywiście, Kicia! Jak mogłem zapomnieć? Ty jesteś Kicia i masz starsze siostry Glendę i... - strzelił palcami - ...Nellie! Mieszkasz w wiosce z ojcem, któremu brakuje piątej klepki.

Kicia przestała walczyć, lecz wciąż mierzyła go gniewnym spojrzeniem.

- Moje siostry nazywają się Glynnis i Nessa, a tatko nie jest bednarzem, tylko zarządcą! Ale teraz przesiaduje całymi dniami w domu i prosi nas, żebyśmy grały z nim w wista, przy czym okropnie oszukuje, ale Gwennie mówi, że musimy mu pozwolić wygrywać, bo wtedy śmieje się z radości. - Wczepiła się w żabot jego koszuli, a jej oczy zamglily się, gdy dotarł do niej sens jego słów. - Gwennie... czy to możliwe? Powiedziałaś, że żyje? Naprawdę?!

- Żyje i to całkiem niezłe! - zapewnił Tupper i nakrył ręką jej dłoń. - Zatrzymałem ją w gościnie na zamku. Dostała stertę pięknych sukien, obfite jądło i masę ciekawych książek do czytania.

Kicia zwiśla bezwładnie w jego ramionach. Jedwabiste rzęsy drgały, jakby zbierało jej się na płacz. Tupper obawiał się, że sam wybuchnie łkaniem, jeśli ujrzy choć jedną łezkę w tych świetlistych oczach. Dziewuszka wnet poskromiła wszakże drżący podbródek i rzuciła mu spod rzęs namiętne spojrzenie.

- Kto by pomyślał, że Gwendolyn wylądaje w twoim łóżu, zamiast w brzuchu!

- Zapewniam cię, że nie została moją kochanką - zaprotestował pospiesznie i odsunął się od niej. - Nie zhańbiłem twojej siostry. Jej cnota jest równie nietknięta jak owej nocy, gdy zostawiono ją Smokowi na pastwę na zamkowym dziedzińcu. - Przypomniawszy sobie pocałunek, którego rano był świadkiem,

i zważył, czy ten stan rzeczy długo się utrzyma, ale nie zdradził tego nadobnej pannie.

Kicia westchnęła:

- Cóż za szkoda! Mało która dziewczyna potrzebuje zhańbienia tak jak nasza Gwendolyn.

Jej szczerość wstrząsnęła Tupperem; odwrócił się, by ukryć rumieniec, przeklinając przy tym zdradliwą jasną cerę.

- Więc tak wygląda Smok - zmierzyła go zuchwałym spojrzeniem. Nie zdążył niestety znowu wciągnąć brzucha. - Czy to prawda, że umiesz zamieniać się z bestii w mężczyznę, kiedy zechcesz?

- Wyłącznie we wtorki i w drugą niedzielę miesiąca.

Zrobiła krok w jego stronę, a on zaczął się cofać, zbity z tropu drapieżnym błyskiem oczu.

- Czy matka Maisie ma rację, powiadając, że gustujesz w ludzkim mięsie?

Tupper oderwał wzrok od jej ust z poczuciem winy, gdyż dokładnie w tej chwili rozważał, jak też mogą smakować te ponętne wargi. Spojrzał jej w oczy.

- Zaklinam się, że nie wyobrażam sobie takiego posiłku! Nienawidzę niedopieczonej wołowiny. - Dotknął plecami drzewa i zrozumiał, że skończyła mu się droga odwrotu. Kicia pochyliła się ku niemu. Maleńki różowy języczek przebiegł po ustach, zwilżając pełne wargi.

- Moja przyjaciółka Maisie przysięga na wszystko, że wie, iż dręczy cię nienasycone pragnienie, by pokładać się z którąś z wioskowych dziewcząt!

Była to prawda, lecz dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. Jego wzrok ześlizgnął się z powrotem na kuszące wargi i słowa protestu zamarły mu w gardle. Już i tak swoimi wyjaśnieniami

rozwiął mit Smoka jako krwiożerczej bestii... musi przemóc skrupuły i poświęcić się dla sprawy!

- Niechętnie byłbym zadał kłam twojej przyjaciółce czy jej matce - szepnęła uwodzicielsko, zamknął oczy i schylił się ze stanowczym zamiarem, że wykradnie dzierlatce całusa. Usta złowiły powietrze, a gdy otworzył zdziwione oczy, ujrzał, że Kicia oddała się od niego w podskokach.

- Dokąd biegniesz?! - krzyknął. Odwróciła się do niego. Otulona księżycową poświatą i welonem mgieł, bardziej przypominała wróżkę, niż leśną nimfę.

- Muszę opowiedzieć Glynnis i Nessie, że Gwendolyn żyje i że spotkałam Smoka! Zdajesz sobie sprawę, jak mi będą zazdrościć? Glynnis wiecznie odgrywa wielką damę, bo miała już dwóch mężów, a ja jeszcze żadnego... a Nessa wciąż mnie przedrzeźnia, bo jej przygody są ciekawsze. Ależ wybałuszy oczy, gdy usłyszysz, co się stało!

Tupper zadrzał na myśl o gniewie Smoka, gdy ten dowie się, co przyjaciel beztrzesko wypaplał. Rozpaczliwie rozejrzał się, szukając pomysłu, jak ją powstrzymać.

- Nie lepiej mieć sekret, niż wszystko rozgłosić?

Przechyliła głowę na bok, zaintrygowana propozycją. Zrobił krok w jej stronę.

- Pomyśl tylko, Kiciu! Będiesz jedyną osobą z Ballybliss, która zna moją prawdziwą tożsamość. Nie mogłabyś zachować dla siebie tajemnicy Smoka... tylko przez kilka dni? Bardzo cię proszę! Posiadanie takiego sekretu powinno podnieść rangę twojej osoby w twych własnych oczach. To chyba ważniejsze niż podziw sióstr.

Wierciła w ziemi dużym palcem u nogi, wydymając wargi we wdzięcznym dąsie.

- Gwennie zawsze powtarzała, że nie potrafię zachować sekretu... że mam zbyt długi język.

Tupper uśmiechnął się.

- To samo powiedział kiedyś o mnie pewien przyjaciel. Ale możliwe, że jeszcze nigdy nie poznałaś sekretu, który warto zachować w tajemnicy! Zgódź się, bądź mądra... obiecaj, że nie wygadasz!

Rzuciła mu prowokacyjne spojrzenie.

- Może i mogłabym obiecać, ale tylko wtedy, gdy odwzajemnisz mi się obietnicą!

Przełknął ślinę, modląc się, by nie zechciała prosić go o pokazanie smoczycich skrzydeł lub płomiennego oddechu. A może zażąda, by przyniósł Gwendolyn i złożył na progu ich dworu?

- Dobrze, przyrzekam!

- Umów się ze mną - zaproponowała bez ogródek. - Tu, na tej łące! Jutrzejszej nocy po wejściu księżycy.

Powoli skinał głową, pewien, że dobrze wyszedł na tej wymianie obietnic.

- Do jutra więc, szlachetna damo... i pamiętaj, że trzymasz mój los w tych słodkich rączkach!

Podniósł jedną z umorusanych trawą łapek do ust gestem, który podpatrzył u Smoka. Zawsze wywierał ogromne wrażenie na przedstawicielkach płci przeciwnej! Rzeczywiście, Kicia zadrzała gwałtownie. Tupper zsunął płaszcz i szarmanckim ruchem owinał szczupłe ramionka. Dziewczyna odchyliła głowę i przymknęła oczy, a jej usta rozchyliły się w pełnym napięcia oczekiwaniu. Tupper smętnie potrząsnął głową, nachylił się i dotknął wargami jej czoła w cnotliwej pieśczoście. Gdy Kicia otworzyła oczy, ujrzała, że stoi samotnie na środku łąki.

Podniosła oczy do księżyca, całkowicie zbita z tropu nagłym zniknięciem Smoka. Czemu się wycofał? Większość chłopców, z którymi miała do czynienia, nie wyłączając Nialla, zdążyłaby w czasie tej pogawędki z tuzin razy wsadzić łapy pod jej spódniczkę, a ten cały Smok nawet nie próbował wetknąć jej języka do ust!

Za to pocałował ją w rękę, nazwał szlachetną damą i owinął swym płaszczem.

Kicia zacisnęła mocniej wokół ramion poły ciepłej oponczy. Ciekawe, czy go jeszcze kiedyś zobaczę, pomyślała.

## 11

W ciągu kilku dni po nieudanej próbie ucieczki Gwendolyn ani razu nie zobaczyła Smoka, choć jego obecność w pobliżu była dla niej równie wyraźna, co szum morskich fal u stóp urwiska.

Kiedy po pełnej dręczących snów nocy otwierała oczy, wzrok natrafiał jedynie na cieniste kąty izby, lecz codziennie Tupper przynosił jej kolejny dar z magicznego - i wydawało się, że niewyczerpanego - skarbcza Smoka. Szczotka do włosów z pozłacaną rączką i grzebień zdobny perłową intarsją; pierwsze wydanie *Historii owadów* Renę de Reaumura w oprawie z cięłej skóry; owalna drewniana wanienska pełna wody pachnącej płatkami róż.

Im dłużej trwała zaczarowana egzystencja w cieniu Smoka, tym odleglejsze wydawały się wspomnienia sióstr, wioski, nawet ukochanego tatki. Blakły jak widma z innego, może poprzedniego życia, jakby spędziła nie kilka dni, lecz całe stulecia w roli rozpieszczanego więźnia.

Za jedynych towarzyszy miała Tuppera i Toby'ego, a żaden nie był zbyt wymowny na temat tajemniczego ciemniźcyela.

Tupper zabawiał ją anegdotkami o rezolutnej ciotecznej babce Taffy, a samego siebie podpuszczaniem Gwendolyn do opowieści o swawolach Nessy (wybierała najskromniejsze historyjki) i o knowaniach, które snuła Glynnis, by złapać kolejnego męża. Ze szczególną uwagą nastawiał uszy na dźwięk imienia Kicia, choć zawsze znajdował jakąś wymówkę i wyjąkawszy ją, oddalał się pospiesznie, gdy Gwendolyn wspominała Nialla, piegowatego urwisa, który skradł cnotę jej najmłodszej siostrzyczce. Toby miał mniej skomplikowane gusta: związał się w puszysty kłębek w nogach łoża i godzinami drzemał. Gwendolyn zazdrościła mu talentu do zapadania w letarg, Sama nie mogła przestać krążyć niespokojnym krokiem po wieży. Tupper regularnie przynosił smakowite posiłki z najlepszych produktów dostarczanych przez wioskę, lecz Gwendolyn nie potrafiła wykrzesać z siebie dawnego apetytu i rozgrzebywała jadło na talerzu.

Pewnego ranka Tupper ledwo zdołał otworzyć panel w boazerii, gdyż ugiął się pod ciężarem czegoś wysokiego, owiniętego w prześcieradło. Gwendolyn wyskoczyła z łoża, nie ukrywając dziecinnego podniecenia. Ostatni raz czuła się tak w świąteczny poranek zimą poprzedzającą śmierć matki! Spod fałd przykrycia wystawały jedynie pozłacane nóżki rzeźbione na kształt smoczych szponów obejmujących bliźniacze złote kule. Tupper postawił tajemniczy przedmiot obok stołu, odsapnął, wyciągnął z kieszeni złożony na brzegach arkusz papieru listowego i podał pismo Gwendolyn, po czym zaczął ocierać pot z czoła. Dziewczyna podważyła paznokciem pieczęć z czerwonego wosku i ujrzała na kremowym welinie jedno tylko zdanie: „Abyś mogła ujrzeć siebie taką, jaką ja cię widzę!” Tupper rozjaśnił się uśmiechem oczekiwania i chwycił skraj prześcieradła.

- Mogę?  
 - Nie! - krzyknęła, gdyż w ułamku chwili odgadła, co się kryje pod fałdami. Na twarzy Tuppera pojawiło się zaskoczenie, ale był na tyle taktowny, że powstrzymał się od uwag. Później, gdy przyniósłszy wieczerzę, opuścił ją, by mogła przygotować się do spoczynku, Gwendolyn odłożyła książkę, zde gustowana własnym roztargnieniem. Już ósmy raz czytała ten sam akapit i wciąż nic nie rozumiała! Nie mogła się skupić na lekturze, bo myśli wracały do ostatniej wizyty Smoka, a wzrok uciekał do tajemniczego daru pod zasłoną.

Nie mogła spać. Nie mogła jeść. Nie mogła czytać... Myślałby kto, że usycha z miłosnej tęsknoty! Cóż za absurdałne przypuszczenie. Ale... doskonale znała oznaki tego stanu, tyle razy widząc je u Nessy: bezsenność o świtaniu, brak apetytu, smętne westchnienia. Czyż jednak to możliwe, że zakochała się w mężczyźnie, którego twarzy nie znała? Który istniał dla niej jedynie jako gardłowy głos, uwodzicielskie dotknięcie i porywający zmysły pocałunek?

Powiodła palcem po wargach i przejął ją nagły lęk. Być może jest bardziej nawet od Nessy podatna na zmysłowe pokusy? Zawsze ufała wrodzonej odporności na tego rodzaju przynęty, ale wystarczył jeden pocałunek smoczych warg, by złamać jej opór i rozpalić nieugaszoną tęsknotę za jego dotknięciami.

Przeniosła wzrok na nietkniętą kolację na stole, czując nawrót dawnej chętki, by wymieść talerze do czysta.

Zamiast tego podniosła się z łoża i powoli podeszła do spowitego całunem daru. Zebrawszy całą odwagę, chwyciła kraj tkaniny i szarpnęła. Przed nią stało lustro pełnej wysokości ze zwierciadłem z czystego srebra, oprawne w rzeźbione

mahoniowe ramy. Zapomniała o uroku tego arcydzieła rzemiosła, gdyż jej wzrok przykuło odbicie kobiety w wypolerowanym metalu. Płomyki świec wznicały złote iskry w kaskadzie kędziorów spadających na ramiona. Suknia z czystego indyjskiego jedwabiu opinała ponętne krągłości. Obrazu dopełniały zarumienione policzki, świetliste oczy i wilgotne, rozchylone usta. Nie przypominała wcale dziewczyny przy kości i o kwadratowej szczęce, o której mówiono, że jest siostrą trzech panien o legendarnej urodzie. Ani niewolnicy bezlitosnego szaleńca. Wyglądała jak kobieta czekająca na kochanka.

Drżącymi rękami zarzuciła zasłonę z powrotem na lustrzaną powierzchnię. Była pewna, że dar jest zaczarowany tak samo jak mężczyzna, od którego pochodzi. Doskwierała jej aż do bólu tęsknota za obcym przybyszem; teraz jeszcze groziło jej, że sama dla siebie stanie się obca!

Nieco później obudziła się i usiadła na łóżku, niezdolna określić, co wyrwało ją z pierwszego snu. Tej nocy nie musiała wyteżać wzroku, by przebić cienie w kątach izby. Przez zakratowane okno świecił księżyc w pełni, zalewając komnatę widmową srebrzystą poświatą. Wciągnęła w nozdrza powietrze, lecz nie zdołała uchwycić nawet śladu znajomego aromatu cygara. Przechyliła głowę i wsłuchiwała się w nocną ciszę. Jedynym odgłosem był przytłumiony szum morza. Wstała i bosymi stopami podreptała do okna, ulegając sile przyciągania syreniej pieśni fal.

Smok wymienił kratę, odbierając jej w ten sposób jedyną szansę ucieczki, ale wciąż mogła wdrapać się na stół i stanąwszy na palcach ogarnąć spojrzeniem porywający widok niezmie-

rzonej wodnej otchłani, osrebrzonej promieniami księżyca. Mogła pić do woli słono woniejące morskie powietrze.

Nagle podniecenie zaparło jej oddech. Spienione grzywacze przecinał statek, zmierzając prosto w kierunku zamku. Wydęte żagle lśniły w mroku nocy płamą alabastru. W promieniach księżyca łódź wydała się dziewczynie nie bardziej rzeczywista niż statek widmo z załogą duchów. Zamrugła zdumionymi oczami, spodziewając się, że obraz lada chwila zniknie, gdy jej uszu dobiegł bardzo ziemski krzyk z zachrypniętego gardła:

- Chłopczy, rzućcie kotwicę!

Rozległ się plusk. Z burty statku zaczęto spuszczać szalupę. Gwendolyn nabrała powietrza i krzyknęła co sił w płucach:

- Pomocy! Ratunku! Tu jestem, spójrzcie w górę! Pomocy, jestem uwięziona na wieży!!!

Podskakiwała przy tym z rozgorączkowania. Załoga szalupy zanurzyła wiosła z obu burt i łódź zaczęła płynąć w kierunku jaskiń wydrążonych pod zamkiem w stromym zboczu klifu. Jej szlak znaczyła pręga srebrzystej piany za rufą. Gwendolyn wyciągnęła szyję, by jak najdłużej mieć ją w zasięgu wzroku. Gdy szalupa zniknęła u stóp urwiska, dziewczyna osunęła się na kolana. Mogła krzyczeć do zachrypnięcia - na próżno! To byli jego ludzie i jego statek.

Teraz wyjaśniła się zagadka, w jaki sposób Smok zasiedlił zamek Weyrcraig, choć żadne oczy w Ballybliss nie widziały jego przybycia. Tak zdołał przesznuć wszystkie dekadencje luksusu: ozdobne łoża, puchowy materac, woskowe świece... być może tą drogą przybyło również wysokie lustro, które odbijało wyłącznie obrazy, jakich sobie życzył jego pan! Tak zamierzał też umknąć z fortecy, gdy już wycisnie ostatni grosz z mieszkańców wioski.

Kiedyś Gwendolyn marzyła o podróży na pokładzie właśnie



takiego statku. Wsiąść na okręt, który uwiózłby ją z dala od Ballybliss, w świat bibliotek, gdzie na pokrytych kurzem półkach stały niezliczone skarby oprawnych w skórę tomów. Gdzie elegancko wytapetowane salony rozbrzmiewały dźwiękami rozmowami i śmiałymi ideami. Gdzie mężczyźni dostrzegają w kobiecie nie tylko urodę wykrojonej w serduszek twarzyczki czy gibkiej talii...

Nagle zdała sobie sprawę, czyj to był świat: jego - Jaśnie Pana Smoka!

Zeskoczyła ze stołu i zaczęła niecierpliwym krokiem przemierzać komnatę, ślepa i głucha na wszystko z wyjątkiem wzbierającego gniewu. Być może odpłynie i nawet nie pomyśli, by ją uwolnić! W Ballybliss sądzą, że już dawno nie żyje. Czy sprawiłoby im różnicę, gdyby... zamiast zginąć w paszczy smoka, zgniła w swoim luksusowym więzieniu? Czy taki czeka ją los - porzuconej na śmierć w sukni po którejś z dawnych kochanek, podczas gdy on wróci do eleganckiego świata przyjęć i salonów, świata, którego ona nigdy nie pozna?

Trzęsącymi się rękami odnalazła pudełko zapałek i zapaliła po kolei wszystkie świece. Uniesiona gniewem na ciemność bez twarzy, czuła wściekłość na samą siebie za głupotę, która kazała jej ulec jego magii.

Rozejrzała się po wieży. Dzięki szczodrobliwości gospodarza nie brakowało w niej przedmiotów, które mogły posłużyć za pociski, gdy następnym razem wkroczy zawadiackim krokiem przez wejście w boazerii. Niestety, zamierzony cel zdawał się unikać jej towarzystwa równie pilnie, jak niegdyś go poszukiwał.

Jej wzrok padł na nietkniętą kolację. Ach, więc Jaśnie Pan Smok uważa, że zaskarbi sobie jej względy kosztownymi podarkami i gładkimi słówkami na wykwinnej papeterii? Cóż,

może nadszedł czas, by Gwendolyn Wilder pokazała mu, że nie da się kupić błahostkami!

Tupper pchnął drzwi do wartowni i postawił tacę na stole. Smok nie podnosił głowy, wypełniając kolumny oprawnego w skórę rejestru równymi rządami liczb, tak odmiennymi od charakterystycznego zamasztyego pisma z welinowych listów. Nie unosząc głowy, odwrócił stronę.

- Mówiłem ci, Tupper, że nie jestem głodny. Natomiast przemarzałem do szpiku kości w przeciągach nawiedzających to stare mauzoleum. Nie widziałeś mojego płaszcza? Gdzieś mi się zawieruszył!

- Pojęcia nie mam, gdzie go rzuciłeś - padła odpowiedź poprzedzona nerwowym chrząknięciem. - Ale chcę ci zwrócić uwagę, że nie tylko ty nie masz apetytu! - podetknął mu tacę pod nos.

Smok długo mierzył spojrzeniem nietknięte półmiski, zanim podniósł wzrok na Tuppera.

- Zachorowała?

- Nie wygląda na chorą - pokręcił głową przyjaciel. - Ale to już szósty posiłek, którego nie tknęła.

- Dwa dni... - mruknął Smok i odchylił się na krześle. - Dwa dni bez pożywienia. Cóż to za gra, u licha?

- Na pewno ryzykowna! Dziś wieczorem zauważyłem, jak zbladła. Raz potknęła się i byłaby upadła, gdybym jej nie podtrzymał.

Smok przecesał czuprynę drżącymi palcami.

Brak snu nie przyczynił się do złagodzenia jego z natury porywczego usposobienia. Wiedziony impulsem, chciał złapać tacę i pobiec wprost do wieży, by zmusić ją do jedzenia,

nawet gdyby miał wypychać jej jądło przemocą do gardła. Chwila namysłu upewniła go, że to najlepszy pomysł, zerwał się od stołu i sięgnął po tacę. Tupper położył mu dłoń na ramieniu.

- Słońce dopiero co zaszło...jeszcze nie zapadła pełna noc - ostrzegł.

Smok zaklął i opadł na krzesło. Cóż, wybrał sobie rolę nocnego drapieżnika, więc musi poczekać na mrok, zanim nawiedzi swoją ofiarę. Tupper podszedł do drzwi wartowni.

- Gdzie idziesz?

- Terroryzować wieśniaków, przecież wiesz! Dzisiaj postanowiłem darować sobie koncerty na kobzie. Wyjdę nieco wcześniej.

- Wyjdiesz wcześniej, a wrócisz później! Ostatnio przykładasz się do swych obowiązków z godnym pochwale entuzjazmem. Wczoraj słyszałem, że wróciłeś dobrze po północy.

Tupper wyszczerzył zęby w uśmiechu filuternego cherubina i otworzył drzwi.

- Znasz to przysłowie: praca szatana nigdy się nie kończy?

- To prawda - mruknął Smok i oczy mu pociemniały.

W roztargnieniu podniósł z tacy biskopka i wsunął do ust. - Nie widać jej końca.

Gwendolyn spodziewała się wizyty Smoka. Mimo to podskoczyła na skrzyp pchniętej gwałtownie boazeryjnej taflii, która uderzyła o ścianę, wrywając dziewczynę z niespokojnej drzemki. Oparła się o zagłówek, czując, że serce podchodzi jej do gardła. Księżyc jeszcze nie pojawił się w zakratowanym oknie. Wszystko, co mogła dostrzec w głębokim cieniu, to

zarys jego sylwetki. Oddychał chrapliwie. Gdyby naprawdę był Smokiem, ogień buchający z jego nozdrzy osmaliłby kosmyki włosów, które wymknęły się spod jej czepka. Stanowczym krokiem przemierzył komnatę i postawił coś na stole, po czym odwrócił się do niej. Nawet w ciemności niemal namacalnie poczuła jego badawcze spojrzenie. Nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że ten człowiek potrafi wzrokiem przewiercić najgłębszy mrok i widzi, jak w świetle dnia, niespokojone pulsowanie żyłki u nasady jej szyi i nierówne wznoszenie i opadanie piersi pod nocną koszulą. Powinna była wiedzieć, że wytrwałym milczeniem zmusi ją, by pierwsza przerwała ciszę.

- Dobry wieczór, Jaśnie Panie Smoku. Czemu zawdzięczam zaszczyt?

- Swojej głupocie. Tupper zawiadomił mnie, że od dwóch dni nic nie jadłaś.

Uniosła ramiona w geście lekceważenia.

- Nie musisz się tym martwić, mój panie. Zapewne widzisz, że trzeba mi więcej, niż kilku dni postu, by stracić obfite kształty.

Podszedł do łoża. Aż do tej chwili Gwendolyn wierzyła, że nie cofnie się przed nim trwożnie, lecz okazało się, jak bardzo się myliła. Nie wiedziała, jakiego haniebnego czynu się po nim spodziewa, lecz tego jednego nie oczekiwała: że zagarnie ją w ramiona, jak gdyby ważyła mniej niż Kicia i zanieśe do stołu. Opadł na fotel i usadowił ją sobie na kolanach.

- Otwórz usta! - rozkazał.

Nie mogła się uwolnić z uścisku jego ramion. Przemknęła jej przez głowę nieskładna myśl, że zamierza ją pocałować mocniej, niż poprzednim razem, lecz to, co poczuła na wargach, to nie były jego usta, tylko gładki metal łyżki.

- Otwórz szerzej... skosztuj nieco, dobrze? - W gardłowym

głosie pojawiła się nuta prośby. Gwendolyn nie pamiętała, kiedy ostatni raz nakłaniano ją do jedzenia. Zazwyczaj słyszała raczej: „Zostaw ten biszkopcik dla Kici, dobrze?” albo czuła piekący ból, gdy Izzy drewnianą chochłą stukał ją po kłykciach, wzbraniając dolewki owsianki. Z miski unosił się aromat cynamonu, przypominając jej, jak bardzo zgłodniała. Z rozdartym sercem oparła się pokusie.

- Nie skosztuję! - wyrzuciła zza zaciśniętych zębów i potrząsnęła głową jak uparta trzylatka.

Oboje dobrze wiedzieli, że Smok potrafi siłą wsadzić łyżkę do opornych ust. Okazało się jednak, że nie taki miał zamiar. Chłodny metal zniknął, zamiast niego poczuła w kąciu ust ciepło jego oddechu i muśnięcie wilgotnych warg. Jej wargi rozluźniły się jakby wbrew woli, a on natychmiast to wykorzystał, wślizgując się do wnętrza gorącym językiem, aż dziewczyna jęknęła w przypiływie rozkoszy.

Zanim zdołała pozbiierać myśli, wsunął jej do ust łyżkę i wlał do gardła łyk ciepłej stawy. Zadławiła się i rozkaślała, ale ponownie przylgnął wargami do jej ust i zmusił, by przełknęła smakowitą papkę. Słodycz chlebowego budyniu nie dorównywała słodyczy języka, który figlarnym drganiem drażnił jej język. Usiłowała odepchnąć go i przerwać pocałunek, ale gdy otworzyła usta do krzyku protestu, on spokojnie wlał jej do gardła kolejną łyżkę stawy, jak pisklęciu, które wypadło z gniazda i znalazło się pod troskliwą opieką miłośnika natury.

Zanim trzecia łyżka pojawiła się przed jej twarzą, zdołała zebrać myśli i odzyskać opanowanie, które tak umiejętnie zburzył.

- Jeśli włoży mi pan do ust jeszcze choć odrobinę tego paskudztwa wbrew mojej woli, wypłuję je wprost na pana!

- Chyba nie zamierzasz ranić uczuć Tuppera? Uważa się za mistrza warząchwii. Powinienem pozwolić mu poczęstować cię *haggis* wedle jego zupełnie nowego przepisu! - poczuła mdłości na myśl o tradycyjnym szkockim smakołyku: owczym żołądku nadziewanym ziołami.

- Może sobie być niezrównanym kucharzem, ale ty, panie, jesteś nieznośnym tyranem!

- Tylko gdy mam do czynienia z upartym dzieciakiem!

Płonąc gniewem, Gwendolyn szarpała się w jego silnych ramionach.

- Czym w końcu jestem, Jaśnie Panie Smoku: rozpieszczanym zwierzątkiem czy upartym dzieciakiem? A może postrzegasz mnie rozmaicie - w zależności od stopnia mojej uległości twym kaprysom?

- Nie masz pojęcia o moich kapryсах! Gdybyś miała, przestałabyś się wiercić jak szalona.

Nieoczekiwanie Gwendolyn posłuchała. Otaczająca ich ciemność zaostriła jej wszystkie zmysły. Wyraźnie słyszała urywany oddech i czuła bicie serca pod dłonią opartą o jego tors. Wciągała powietrze przesycone zapachem drzewa sandałowego i goździków. Sprężyste włoski sterczące z rozchylonej na piersi koszuli łaskotały koniuszki jej palców. Lecz najostrej czuła ciepło przenikające z jego kolan do jej pośladków. Zadrżała w nagłym lęku i zeszywniała jak marionetka w sprawnej dłoni lalkarza. A on odezwał się śmiertelnie poważnym głosem:

- Cóż więc, będziesz jeść, czy mam cię znowu pocałować? - Gorący oddech sparzył jej policzek, ostrzegając, że nie żartuje.

Zrezygnowana, otworzyła usta.

- Wolę jeść!

- Wiesz, jak zdeptać dumę mężczyzny, by oklapł jak przekłuty balonik - usłyszała smętny komentarz i do jej ust powędrowała kopia łyżka budyniu.

Jej znajomość męskiej anatomii ograniczała się do podsłuchanych urywków rozmów między Glynis i Nessą, ale wystarczyła, by mogła stwierdzić z całą pewnością: jego męskie wdzięki nie zachowywały się bynajmniej jak przekłuty balon! Połknęła zawartość łyżki i wykrztusiła:

- Większość mężczyzn nie musi uciekać się do zapowiedzi pocałunku... jako kary!

- Znam damy, które taką obietnicę traktowały jak nagrodę.

- Czy także trzymałeś je w niewoli? A może dopiero od niedawna zabawiasz się w ten sposób?

- Jedno mogę ci zdradzić: żadna nie była ani w połowie tak zajmująca jak ty. - Zebrał łyżką odrobinę budyniu, który został jej na wardze.

Mimo bliskości, nie mogła ujrzeć rysów jego twarzy i to doprowadzało ją niemal do obłędu. Powinna czuć się nieswojo, siedząc na kolanach człowieka, który był do tego stopnia obcy i nieznany... ale w jakiś niepojęty sposób od ich pierwszego spotkania przestał być dla niej kimś obcym. Istniał w jej życiu wyłącznie jako widmo utkane z cieni i dotyku, lecz owa ulotna istota stała jej się równie znajoma, co odgłos oddechu Kici w ciemności sypialni czy miękkość rzadkich kosmyków tatki pod palcami przy porannej toalecie.

- Widziałam statek - oświadczyła, rozpaczliwie szukając tematu, który odwróciłby ich uwagę od dwóch nierównych oddechów mieszających się ze sobą w mroku komnaty.

Znieruchomiał.

- Ach, i to ten widok zepsuł ci apetyt?

- Owszem. Wciąż nie mogę pojąć, czemu człowiek tak majątny chce okraść nędzarzy!

- Być może to, co planuję, nie jest kradzieżą. Może chcę ich po prostu uwolnić od brzemienia, które nigdy nie było ich prawowitą własnością.

- Jeśli masz na myśli ów legendarny tysiąc funtów... zrozum, że on nigdy nie istniał!

W jego głosie ponownie pojawiła się nuta rozbawienia, która doprowadzała ją do szału.

- Czemu miałbym wierzyć pannie Wilder, która jeszcze nie tak dawno nie wierzyła w istnienie smoków?

- Wciąż nie wierzę! A ty wciąż jeszcze mi nie udowodniłeś, że jestem w błędzie.

- Być może więc i ja ci wyjawię, że nie wierzę w istnienie dziewic. Czy zamierzasz teraz mi dowieść, że jestem w błędzie?

Gwendolyn nie znalazła dostatecznie ciętej repliki, odchyliła więc głowę i spojrzała do góry, gdzie w mroku lśniły smocze źrenice. Jej ciemnozyciel ujął złoty lok, który wypadł spod czepka, i okręcił wokół palca. Odezwał się cichym, chrapliwym szeptem:

- Czy masz pojęcie... jak się czuje mężczyzna, mając... kogoś takiego jak ty na kolanach?

Gwendolyn zaryzykowała:

- Pewnie ci nogi drętwieją?

Milczał przez długą chwilę, a potem usłyszała ostry śmiech. Nie przestając chichotać, wstał i zaniósł ją na posłanie. Bardziej rzucił, niż złożył ją na prześcieradłach. Popełzała w kierunku zagłówek, a przez głowę przemknęła jej niesłyszana myśl, że może zamierza do niej dołączyć. Zamiast tego usiadł obok i położył dłonie na zagłówku po obu stronach jej ramion, przygważdżając ją do materaca. Pochylił nad nią głowę.

- Jedz, panno Gwendolyn Wilder, bo jeśli będziesz nadal odmawiała pożywienia, wrócę z *haggis* Tuppera! Wtedy pożałujesz, że nie wybrałaś raczej moich niegodnych pocałunków!

Chwilę później została sama. Leżała w ciemności i zastanawiała się, czy już nie zaczyna żałować.

## 12

Kiedy się nazajutrz obudziła, było niezwykle duszno i pochmurno. Zjadła śniadanie do ostatniego okruszka, świadoma czujnego wzroku Tuppera i pewna, że jej nieszczęsne, obłązione serce nie wytrzymałoby kolejnej nocnej wizyty Smoka.

Tego dnia nawet wesoły zazwyczaj Tupper wydawał się roztargniony i niespokojny. Nie paplał trzy po trzy i najczęściej spoglądał tęsknie w stronę drzwi, jakby to on był więźniem na zamkowej wieży. Gdy nadeszła pora wieczery, Gwendolyn wskrobała do dna miskę duszeniny i wmusiła w siebie udko piezzonego bekasa, po czym odesłała Tuppera, tłumacząc, że chce wcześniej położyć się spać. Czuła, że nie ścierpi ani chwili dłużej jego nieudanych wysiłków podtrzymania beztróskiej konwersacji. Wstała od stołu, by zdmuchnąć świecę, gdy z czeluści kominka dobiegły ją pierwsze dźwięki żalostnej melodii wygrywanej na kobzie. Drżąc na całym ciele, po omacku dotarła do łoża i wsunęła się pod prześcieradła, oparła głowę o zagłówek i przyciągnęła kolana do piersi. Chociaż wiedziała już, że to najzwyczajniejsze ludzkie palce budzą instrument do życia, lament piszczałek wciąż budził w duszy

widma minionych dni i wypełniał ją smutkiem i żalem. Przez chwilę dała się ponieść bolesnemu pięknu pieśni, zapomniała o Smoku i ujrzała przed oczami obraz smukłego chłopca o ciemnych kędziorach spadających nieposłuszną płataniną na szmaragdowe oczy. Ten zamek był jego domem i dziedzictwem; gdyby ktoś nie zdradził Cumberlandowi poczynań jego ojca, pewnie zasiadałby w nim dzisiaj jako pan tych ziem. Podniosła wzrok na nimfy baraszkuje na plafonie i zadała sobie pytanie czy on spędził kiedykolwiek noc w tej właśnie komnacie. Gdyby jeszcze żył, byłaby pewnie zmuszona patrzeć z dworku zarządcy, jak bierze za żonę inną: damę szlachetnej krwi, córkę sąsiedniego klanu lub którąś z miejscowych piękności - może nawet Glynnis lub Nesse? Musiałaby uśmiechać się przez łzy, widząc, jak jego ciemnowłose, zielonooki syn galopuje na kucyku ścieżką pod dębem, który obrała sobie w dzieciństwie za kryjówkę. Ten ból byłby niewielką ceną za radość patrzenia, jak Bernard MacCulloch wyrasta najpierw na jurnego młodzieńca, potem na dojrzalego mężczyznę, nadzieję i dumę klanu.

Otarła dłonią policzek wilgotny od łez. Płakała nie tylko za chłopcem, który odszedł, lecz również za dziewczynką, która go kiedyś kochała. Która biegała po gajach i dolinach i po krętych korytarzach zamku, marząc, że go zobaczy choć przez chwilę. Czasami wydawało jej się, że życie ich obojga zakończył pierwszy grzmot angielskiej armaty, której śmiertelność pocisk wdarł się w serce uśpionej fortecy.

Pieśń kobzy zamarła przeciągłą, żałosliwą nutą. Gwendolyn skuliła się na boku i podciągnęła okrycie pod brodę. Usypiała, zastanawiając się, co sądziłby ów chłopiec o kobiecie, na jaką wyrosła.

Gwendolyn śniła, że jest znów dzieckiem i biegnie przez labirynt zamkowych korytarzy. Słyszała chłopca w oddali, lecz nie mogła go odnaleźć. Pozostając poza zasięgiem jej zdyszanych kroków, tanecznymi susami zbiegał po krętych kamiennych schodach. W jej uszach dźwięczał beztroski, wyzywający śmiech, lecz choć błagała go z całego serca, by się zatrzymał, wciąż biegł przed siebie. Nie chciał uwierzyć, gdy go przekonywała, że tam czeka na niego zagłada.

Obejrzała się za siebie w popłochu, przestraszona głuchym rykiem armatniego działa. Jeśli nie uda jej się go wkrótce dogonić, będzie za późno! Cóż, była grubaską i poruszała się ociężale, zbyt wolno przemierzając nieskończenie długie korytarze. On pomykał naprzód sprężystymi skokami smukłych, silnych nóg. Gdy ona pokonywała zakręt, on zniknął właśnie za następnym.

„Gwendolyn!” - wykrzyczał śpiewnym głosem, zachęcając, by nie rezygnowała z pościgu. Ryk armat stawał się coraz głośniejszy. Od czasu do czasu posadzka drżała pod jej stopami, gdy kolejny pocisk sięgał celu. Czy nie słyszał bombardowania? Czy nie czuł uderzeń kamiennych kul w mury? Pobiegła w dół głównymi schodami. Zdołała zobaczyć, jak śmiga przez obszerny hall. Szkarłatno-czarna krata spódniczki wydymała się za nim jak skrzydło dziwnego ptaka. Serce wezbrało nadzieją. Jeśli uda jej się złapać za kraj tartanu, może zdoła go zatrzymać. Obejmie go mocno ramionami i na zawsze uratuje przed niebezpieczeństwem!

Stopy dotknęły chłodnych kamiennych płyt podestu. W tej samej chwili murami fortecy wstrząsnął ogłuszający łoskot. Upadła na kolana i zakryła uszy dłońmi. Gdy wreszcie odważyła się otworzyć oczy i opuścić ręce, armaty umilkły, a wokół panowała cisza jak nie z tego świata. Powoli podniosła się

z klęczek i powlokła w stronę ziejącego łuku arkad prowadzących w stronę głównego hallu. Wołała załamującym się głosem jego imię, lecz odpowiadał jej jedynie szelest tynku opadającego z sufitu. Z całej siły chciała uwierzyć, że uparty chłopak schował się gdzieś za załomem gruzu i teraz dusi się ze śmiechu, a za chwilę wyskoczy na nią znienacka. Wtem ujrzała kłębek szkarłatno-czarnej tkaniny na posadzce w sieni. Ukłękła i delikatnie przesunęła dłonią po kraciastej wełnie. Prawie oczekiwała, że poczuje pod palcami materię nasiąkłą wilgocią krwi - jak w tysiącach poprzednich snów. Ale tym razem wełna okazała się sucha, a gdy oderwała palce, ujrzała, że nie ma na nich brunatnych plam. Zaczęły drżeć, gdy złapała za róg tartanowej spódniczki i szarpnęła. Tkanina, zamiast stawiać opór, posłusznie uniosła się do góry. Gwendolyn spojrzała w dół i oniemiała ze zdumienia. Tam, gdzie spodziewała się widoku leżącego ciała, znalazła pustkę. Chłopiec zniknął.

Smok poderwał się na swoim spartańskim posłaniu. Miał ciało zroszone potem, chociaż w izbie panował ziąb. Słyszał, jak nadchodzą: tupot końskich kopyt, skrzyp kół wozów w głębokich koleinach drogi prowadzącej do zamku, kakofonia głosów, wykrzykujących rozkazy i przekleństwa, bezładna palba z muszkietów. Skoczył na równe nogi i spazmatycznie łapiąc oddech, naciągnął przez głowę koszulę. Po omacku zaczął się wspinać po schodach. Nie potrzebował świecy ani lampy, by znaleźć drogę do wartowni przy wrotach fortecy. Ze zdumieniem stwierdził, że obszerne pomieszczenie, w którym powinno roić się od żołnierzy szykujących się do obrony, stoi puste i ciche. Przekradł się do kaplicy, modląc się w duchu,

by ktoś tam był, ale nieśmiały okrzyk rzucony w mrok wrócił do niego głuchym echem. Nawet Bóg go opuścił.

Gdy przebiegał przed niszą okienną, oslepił go potężny błysk. Spóźnił się! Zdażyli zapalić pierwszy lont...

Smok zatrzymał się pod łukowatym sklepieniem głównego wejścia do zamku. Pierś unosiła mu się w ciężkim oddechu. Dłonie miał zacisnięte w pięści. Już nigdy nie będzie krył się w ciemnościach, dygocząc z trwogi, czekając na złowróżbny gwizd nadlatującego pocisku. Już nigdy nie będzie bezczynnie wyglądał wybawienia, które nie nadejdzie. Gwałtownym ruchem pchnął wrota i potykając się, wypadł w mrok nocy. Wydłużonym krokiem przeciął dziedziniec i stanął na samym środku. Rozwarł szeroko ramiona w zapraszającym geście. Niech przylecą przeklęte kule, niech roztrzaskają jego kości na drzazgi! Zacisnął powieki i odrzucił głowę do tyłu. Wycie, które wydarło mu się z piersi, zdawało się pochodzić z głębi udreżonej duszy. Ale straszliwszy od przeciągłego krzyku rozpaczy był ogłuszający trzask, który w tejże chwili wstrząsnął brukiem dziedzińca.

Przeraźliwy grzmot ścichł i przeszedł w stłumiony warkot. Smok otworzył oczy i ze zdziwieniem stwierdził, że wciąż stoi na środku podwórca. Deszcz siekł go po głowie. Wilgotna koszula przywarła do ramion i pleców, spodnie oklewały mu uda. Gęste krople ulewy zmywały resztki obłędu, któremu uległ przed chwilą.

- O, Boże! - wyszeptał i osunął się na kolana. Gdyby tylko przewidział nadejście burzy, nie pozwoliłby sobie zasnąć. Gdyby Tupper był na zamku, próbowałby go rozerwać anegdotkami, grą w szachy, szklanicą porto - byle osłabić się dzikiego obłędu, który zagrażał człowieczeństwu jego duszy.

Smok skrył twarz w dłoniach. Niczym było dla niego stać

na pokładzie statku i bez drgnienia kierować salwami armat, lecz w tym przeklętym miejscu nawet niegroźny huk pioruna przywodził go na samą krawędź szaleństwa. Podniósł głowę i w świetle błyskawicy ujrzął, że klęczy u stóp Afrodyty. Ostatnia burza przyniosła mu w darze Gwendolyn. Nieoczekiwana branka potrafiła odwrócić jego uwagę od widm przeszłości o wiele skuteczniej, niż kiedykolwiek udało się to Tupperowi. Uświadomił sobie nagle ze zdumieniem granicznym z szokiem, jak silnie pragnie być teraz przy niej.

Podniósł się, czując ból we wszystkich członkach. Przedarł się przez zasłonę siekącego deszczu i uderzenia wichury do zamku. Podążył tam, gdzie miał nadzieję znaleźć pocieszenie - jedyne, na jakie zasłużył.

Gwendolyn ocknęła się z męczącej drzemki.

Początkowo wzięła bicie własnego serca za widmowe echo armatnich salw ze snu, lecz gdy ujrziała błysk i usłyszała towarzyszący mu głuchy łomot, zorientowała się, że wokół szaleje burza. Wieża drżała pod uderzeniami wiatru, który wył jakby z wściekłości, że kamienne mury opierają się jego szturmowi.

Opasała się ramionami, by powstrzymać drżenie. Prawie żałowała, że nie ma przy niej Smoka, niemal zatęskniła do słodczy pocąłunku, który by zmył z jej ust gorycz sennego koszmaru. W błysku kolejnej błyskawicy przekonała się jednak, że jest w komnacie sama.

Wreszcie wichura zaczęła cichnąć. Gwendolyn przechyliła głowę na ramię, słysząc dziwny werbel uderzeń, zbyt rytmicznych jak na grzmot pioruna. O mało co nie wrzasnęła, gdy Toby z głuchym łoskotem wylądował jej na stopach.

- Skąd się tu wzięłeś, wielki kocie? - pogładziła zmierzwiłone futro. - Przysięgłabym, że Tupper zabrał cię z sobą!

W odpowiedzi rozległo się głośne mruczenie. Gwendolyn wygramoliła się z łoża i zaczęła po omacku posuwać się wzdłuż ściany. Wyciągnęła dłoń tam, gdzie powinna znajdować się tafla ukrytych w boazerii drzwi, ale palce napotkały pustkę. Rytmiczne uderzenia, które przed chwilą słyszała, okazały się odgłosem drzwi uderzających w ścianę. Musiał je otworzyć szczególnie silny powiew wichury!

Drzwi stały przed nią otworem. Była wolna!



## 13

Gwendolyn cofnęła się od drzwi, niepewna, czy wciąż jeszcze nie śni. Jeżeli odważy się przejść przez uchylone skrzydło... czy nie usłyszy widmowego tupotu chłopięcych stóp na schodach? Czy echo drwiącego śmiechu nie zwabi jej w beznadziejną pogoń?

Z całej siły uszczypnęła fałdkę tłuszczu na ramieniu. Piekące żądło bólu uspokoiło ją, zaczerpnęła więc tchu i pochyłona przekroczyła próg.

Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, ile dołożono starań, by jej cela na wieży była ciepła i przytulna. Zadrzała z zimna w wilgotnym, zatęchłym powietrzu za drzwiami. Po omacku odnalazła wąskie, kręte schody, bez powodzenia usiłując uniknąć strumienia deszczu, który wpadał przez szparę w suficie. Koszula nocna zaczęła o ostrą krawędź skalną wystającą z muru. Szarpnęła tkaninę i choć zdołała się uwolnić, straciła równowagę i potoczyła się z trzech ostatnich schodków, stając twarzą w twarz z...

Nicością!

W północnej ścianie wieży ziała ogromna wyrwa, przez

którą rozpościerał się zapierający dech widok na bezkresną toń morza, poprzecinaną białymi pióropuszcami grzywaczy. Księżyc schował się za chmurami. Na mrocznym niebie tańczyły ostatnie ogniki jego promieni, oświetlając poszarpaną skalną perć i urwisko spadające prostopadle w głąb przepaści.

Gwendolyn cofnęła się i przywarła do muru. A więc to takie przeszkody musiał pokonywać Smok, chcąc ją nawiedzić nocą? Początkowo nie sądziła, że zdoła zebrać siłę, by oderwać plecy od ściany, lecz gdy wysiłkiem woli uspokoiła oddech i zacisnęła oczy, odkryła, że potrafi cał po calu przesuwając się wzdłuż zapewniających bezpieczeństwo gładkich obok pustki i przedostać do galerii, która biegła nieco niżej. Na drugim końcu przejścia ujrzała szerokie schody. Wciąż niepewna, czy to nie początek kolejnego koszmaru, postawiła stopę na pierwszym stopniu. Ale w tym śnie jej kroki nie były powolne i ociężałe. Wydało jej się, że bez wysiłku frunie w dół schodów, a obsztytne falbanki rąbek koszuli wydyma się za nią jak tren.

Chłodny, nabrzmiaty wilgocią deszczu powiew dał jej znać, że dotarła do wejścia. Ujrzała połamane drzwi. Skrzydło najeżone drzazgami zwiślało z pordzewiałych zawiasów, ale jak dawnej otwierało się na dziedziniec w zaproszeniu, któremu nie potrafiła się oprzeć.

Próbowała sobie wyobrazić radość na twarzy tatki, gdy rzuci mu się w ramiona, lecz stanęła jak wryta, czując nieopisane zmieszanie, gdyż pamięć nie potrafiła przywołać znajomych, drogich sercu rysów. Przyszła jej do głowy niepokojąca myśl: co będzie, jeśli po jej powrocie odkryje, że nikomu nie brakowało jej obecności? W pierwszych dniach niewoli pocieszała się myślą, że obłęd tatki to ukryte błogosławieństwo, ale teraz nie była już taka pewna. Co pocznie, jeśli tatko po prostu ściśnie jej dłoń, nazwie „grzeczną dziewczynką” i pośle do

łóżka? Nic innego jej nie pozostanie, jak powlec się do sypialni i zakopać między koce z jednym z uczonych pism wielbnego Throckmorta na pocieszenie. I jak dawniej martwić się o los Kici i nasłuchiwać na skrzypiących schodach kroków Nessay, powracającej z nocnej schadzki z najnowszym kochankiem.

Powoli odwróciła się i spoglądała w głąb szeroko otwartej paszczy zrujnowanej sieni. Zdawało jej się, że pokruszone ściany kłonią się i zachęcają, by wróciła. Przypomniał jej się sen. Uczyniła krok, potem następny i jeszcze jeden. Puls bił szybko i nierytmicznie, serce przepełniała mieszanka podniecenia i nieokreślonego lęku.

Wielka sala była niegdyś duszą zamku Weyrcraig. Atak Cumberlanda sponiewierał i unicestwił ducha fortecy: kula armatnia strzaskała większą część dachu. Resztki dachówek zwisały wokół otworu, kołysząc się smętnie na wietrze. Gwendolyn spostrzegła, że ulewa zelżała, a zza grubej pokrywy chmur zerka nieśmiało błydy dysk księżyca. Z masywnych belek sklepienia zwisały przemoczone sztandary: szkarłatny smok tańczył na czarnym polu, choć atramentowa czerń tła spłowiła do odcienia zaschniętej krwi. W tylnej części sali pysznił się olbrzymi kamienny kominek. Pajęczyny spowiły zakurzonym welonem ręcznie rzeźbiony gzyms.

Gwendolyn wsunęła się do wnętrza. Czuła się jak duch, których wiele musiało nawiedzać to miejsce - bezcielesna i nierzeczywista. Niemal łowiła uchem echo śmiechu i głosów złączonych w pieśni, gdy podnosili puchary w widmowym toaście na cześć majestatu i chwały, które były niegdyś udziałem klanu MacCullochów.

Otrząsnęła się z niedorzecznych przywidzeń. Nie prześladowały jej duchy dawno zabitych wojowników, lecz widmo kobiety, która kiedyś rezydowała w kamiennej twierdzy, usiłując

dodać przytulności tej pełnej przeciągów sali. Gwendolyn pamiętała żonę MacCullogha, postawną, dobroduszną kobietę, która lubiła się śmiać i uwielbiała swego syna. Dziewczyna wszędzie dostrzegała ślady jej czulej działalności: sofa o pozłacanych poręczach i takimż oparciu stała obok strzaskanego lustra. Z podartych jedwabnych powłoczek kipiały zwoje bawełnianych szarpi. Zamiast tradycyjnych kobierców o tematyce wojennej ściany tej sali udekorowano tapetą z francuskiego płótna w łagodnych barwach różu i błękitu. W kałuży brudnej deszczówki nurzała się kolumna w korynckim stylu, rozszerzająca się u góry jak wysmukły kielich. Gwendolyn przesuwiała się przez hall, ostrożnie mijając zwały gruzu i rozbitej porcelany. Podniosła ułomek delikatnej filizanki i przesunęła kciukiem po gładkiej powierzchni. Całe życie marzyła o takiej wykwintnej zastawie i ozdobnych drobiazgach, więc nie mogła powstrzymać się od chwili żałoby nad zniszczeniem, które oznaczało również ruinę jej marzeń. Zamyślona obracała w palcach kruchy odłamek. Nagle jej stopa natrafiła na czyjąś głowę pozbawioną tułowia! O mało co nie wybuchnęła przeraźliwym krzykiem, lecz w ostatniej chwili zorientowała się, że znalazła marmurową głowę posagu z dziedzica. Afrodyta wygięła kształtne wargi we wszystkowiedzącym uśmiechu, drwiącym i litościwym zarazem.

Wtedy właśnie dojrzała - jego.

Jak zwykle, krył się w cieniu, lecz tej nocy nawet cień nie był w stanie dostarczyć ochrony przed wzrokiem intruzów. Siedział zgarbiony w mahoniowym fotelu. Głowę skrył w ramionach, a przed nim na długim stole stała kryształowa karafka z resztką whisky na dnie. Obok leżała srebrna puszka z krzesiwem i świeca, której nie pofatygował się zapalić. Nie miał na sobie ani kamizelki, ani surduta. Plecy okrywała jedynie

biała koszula z rękawami zawiniętymi niedbale powyżej łokci. Cienka tkanina przylegała ściśle do skóry, ujawniając rzeźbę mięśni na ramionach. Gwendolyn domyśliła się, że koszula przemokła do nitki.

Mężczyzna nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Mogła oddalić się na palcach i na zawsze uwolnić od niego, ale zanim zdołała zrealizować ten rozsądny plan, po horyzoncie przetoczył się głuchy werbel pioruna i mężczyzna zadrżał boleśnie. Gwendolyn nie zdążyła nawet pomyśleć, co chce uczynić, a już znalazła się przy nim, kładąc łagodnie dłoń na mokrym ramieniu. Podniósł głowę, nie patrząc na nią. Po mokrej twarzy ściekały krople wilgoci.

- Dobry wieczór, panno Wilder.  
- Skąd pan wiedział, że to nie Tupper?  
- Tupper wie, że lepiej nie podkradać się do mnie w ciemności, bo można skończyć z poderżniętym gardłem. - Gwendolyn przełknęła ślinę. - Chociaż... jego grdyka nie jest tak nadobna jak twoja.

Trunek nie spletał mu jeszcze języka, lecz zmiękczył staccato spółgłosek i spłaszczył samogłoski, nadając jego słowom rozbrajający wdzięk, jaki ma seplenienie małego dziecka. Zanim zdążyła cofnąć rękę z jego ramienia, ujął jej palce i przesunął kciukiem po wnętrzu dłoni.

- I dłonie Tuppera nie są takie miękkie... a może zjawiłaś mi się we śnie? - wyszeptał i potarł sobie policzek wierzchem jej dłoni. - Powiedz mi, proszę, czy kaśliwa panna Wilder miałaby w sercu dość litości, by przyjść do mnie w marzeniach i położyć na ramieniu miękką dłoń o skórze pachnącej jeszcze snem?

Gwendolyn czuła, że rozkoszne ciepło jego dotyku wzmaga jej „kaśliwość”.

- Nie sędzę, by mężczyźni otepieni nadmiarem trunków umieli śnić!

Smok wybuchnął szorstkim śmiechem.

- Być może więc nie jesteś zjawiskiem ze snu, lecz duchem? Białą damą tego zamczyska, która przysłała mnie ostrzec, bym opuścił to miejsce, zanim zapłacę za gościnę bezcenną cenę: własną duszę? - odwrócił ku niej głowę, lecz w ciemności nie mogła odczytać wyrazu twarzy. - Ach, lecz czy zawsze praktyczna panna Wilder wierzy w duchy? Zapewne nie, prawda?

Zbita z tropu, że tak dokładnie opisał jej koszmar senny, odpowiedziała cicho:

- Kiedyś tak sądziłam, lecz gdy stoję w takim miejscu jak to... nie jestem już taka pewna.

Puścił jej dłoń i wstał, a ona poczuła się w osobliwy sposób odrażona i porzucona. Smok cofnął się w strefę gęstszego cienia pod kominkową ścianą. Poczuła w kościach przeszywającą wilgoć wielkiej sali. Smok uniósł głowę ku potrzaskanym belkom sklepienia.

- Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, co czuli tej nocy? Zdradzeni przez jednego ze swoich, opuszczeni przez tych, którym ufali, że staną w ich obronie? Mogli tylko skulić się w ciemności, uzbrojeni w nędzny oręż, i czekać na pierwsze uderzenie pocisku ze świstem przecinającego niebo.

- Albo wymknąć się wraz z księciem Karolkiem - przypomniała i po raz setny zadała sobie pytanie, czemu tego nie uczynili. Zachichotał niewesoło.

- Mogli ocalić życie, lecz stracić dumę i godność, która miała dla nich wyższą cenę. - Przesunął palcem po konturach liter wyrytych nad kominkiem. - „Na dobre czy złe...

- ...MacCullogh do ostatniego tchu bije się” - dopowiedziała

Gwendolyn. Nie musiała odczytywać zatartego napisu. Nienawistne słowa były wryte w jej sercu.

- Czy były tu jakieś dzieci? - zapytał lekko i palcem strzepnął warstwę kurzu pokrywającego gzyms.

Teraz Gwendolyn odwróciła głowę i skryła twarz w cieniu:

- Było jedno dziecko: chłopiec.

- Tylko jedno? To dziwne, prawda? Słyszałem, że lordowie ze szkockich gór mnożyli się jak króliki!

Potrząsnęła głową.

- Żona przywódcy klanu nie mogła mieć więcej dzieci, ale on, inaczej niż wszyscy mężczyźni, nigdy nie czynił jej za to wyrzutów. Zamiast tego traktował ją po królewsku, gdyż dała mu najrzadszy i najcenniejszy dar: syna. Dziedzica, który poprowadzi klan po jego śmierci. - Głos dziewczyny ścichł do szeptu: - Nie sądzę, by moi ziomkowie kiedykolwiek odżałowali tę stratę!

Smok prychnął pogardliwie:

- Z twoich opowiadań o mieszkańcach tej osady wnioskowałbym raczej, że poczciwy lud Ballybliss nawet nie uronił jednej łzy po śmierci chłopca!

Gwendolyn odwróciła się do niego.

- Ja uroniłam... niejedną!

Nie mogła znieść jego milczenia. Podeszła do rozbitego okna.

- Byłam tylko dzieckiem, kiedy zginął, ale sądzę, że już wtedy byłam w nim w połowie zakochana. To głupie, prawda? Czy ktoś taki jak on mógł zwrócić uwagę na grubą, niezdatną dziewczuchę? - uśmiechnęła się żałośnie.

- Nie, to nie było głupie... ale głupio jest wyobrażać sobie miłość do kogoś, kto sam był jeszcze pacholęciem.

- Och, ale pan go nie znał! To był niezwykły chłopak, silny, dobry i szlachetny. Nawet wtedy było już widać, na jakiego mężczyznę wyrośnie.

Smok odpowiedział dziwnie zdławionym głosem:

- Uosobienie wszelkich cnót, co? Podnosił z pyłu prześladowanych, bronił niewinnych, ratował damy ze śmiertelnych niebezpieczeństw?

- Mnie rzeczywiście raz uratował! Ale byłam wtedy dumna i uparta. Zamiast mu należycie podziękować, wydrwiłam go i odepchnęłam od siebie. Skąd mogłam wiedzieć, że widzę go po raz ostatni?

Wyjrzała na zrujnowany dziedziniec, lecz zamiast osrebrzonego księżycowym blaskiem bruku widziała przed sobą ścieżkę zalaną słońcem, z obu stron obramowaną rzędem zapłakanych wieśniaków. Poczowała szorstkie ukłucie kory pod palcami, które wbijała w pień dębu. Usłyszała żałobne zawołanie kobzy ogłaszającej śmierć jej marzeń.

- Widziałam, jak ponieśli jego ciało w dół stoku. Ukryłam się na tym samym drzewie, z którego podpatrywałam go jadącego ścieżką tyle razy przedtem... tylko że tym razem jechał przerzucony twarzą do dołu przez grzbiet kucyka. Owinęli go w tartan klanu, który nosił niegdyś z taką dumą.

Nie spostrzegła łez, które zaczęły bezszelestnie spływać po jej policzkach. Nie widziała, jak Smok postąpił dwa niepewne kroki w jej stronę, a palce opuszczonych rąk zwinęły mu się w pięści.

Podniosła głowę, wierzchem dłoni otarła wilgoć z policzka i odwróciła się twarzą do niego. Zatoczył się gwałtownie w tył i podtrzymał rękami o gzyms, by nie upaść.

- Chyba powinna mnie pani teraz opuścić, panno Wilder. Czuję się samotny i pijany. Pijany jestem zaledwie od kilku godzin, lecz samotność towarzyszy mi od dawna, więc dama przyodziana wyłącznie w nocną koszulę nie znajdzie we mnie odpowiedniego partnera do rozmów o duchach.

Szczere wyznanie zaskoczyło Gwendolyn, która sądziła, że samotność dokucza jedynie kobietom obdarzonym pospolitą urodą i pięknymi siostrami.

- Gdzież to mnie pan pośle, Jaśnie Panie Smoku? Z powrotem do mej celi?

- Nie dbam o to, gdzie pójdziesz! - Zazgrzytał zębami. - Proszę jedynie, byś się stąd wyniosła.

Nawet gdyby usłyszała świst nadlatującego pocisku, nie zdołałaby się ruszyć - nie teraz, gdy odkryła szczelinę w zbroi nieprzystępnego ciemności, przez którą będzie mogła ujrzeć kryjącego się pod nią mężczyznę.

- Czy mam wrócić do wioski? - postąpiła krok w jego stronę, chcąc wywabić go w płamę księżycowego blasku. - Mam im wyjawić, że krwiożerczy Smok to tylko człowiek, który stara się wzbudzić lęk przed sobą w innych, ale sam kryje twarz w cieniu, bo boi się siebie bardziej niż oni jego?

- Powiedz im, co ci się żywnie podoba! - warknął.

Widziała biel kłykci zaciśniętych na gzymsie kominka. Przyniosła się bliżej i podniosła rękę, lecz nie ośmieliła się dotknąć sztywno wyprostowanych pleców.

- Czy mam im też powiedzieć, ile mi okazałeś łagodności i dobroci, że zastąpiłeś łachmany, w które mnie ubrali, szatami godnymi księżniczki, że zmusiłeś mnie, bym jadła, gdy z czystego uporu próbowałam zagłodzić się na śmierć? Że odrzuciłeś pokusę odebrania mi cnoty?

Odwrócił się.

- Nie myśl, że nie była nęcąca! Nawet w tej chwili jeszcze ją rozważam.

W jego oczach zalśniło pragnienie, lecz nie próbował jej nawet dotknąć. Właśnie ten powściągliwy bezruch sprawił, że wyciągnęła dłoń i koniuszkami palców musnęła jego policzek.

Oddychał nierówno i łapczywie, gdy powoli, łagodnie poznawała dotknięciem rysy jego twarzy, szukając jakiejś blizny czy oparzeliny, straszliwej deformacji, która zmusiła go, by prowadził nocną egzystencję i w oczach świata i jego samego wycisnęła na nim piętno bestii.

By dotknąć brwi, musiała odsunąć jedwabiste kędziory. Pod nimi odkryła szerokie czoło znamionujące inteligencję i siłę. Gęste brwi rysowały się na czole wdzięcznymi łukami. Pod palcami poczuła miękkie jak puch rzęsy. Przesunęła dłoń wzdłuż kości policzka i odkryła śmiały i harmonijny wykrój nosa. Zgiętymi palcami dotykała szczeciny zarostu na brodzie. Siegała koniuszkami palców do warg, gdy jęknął jak ktoś udręczony ponad miarę i unieruchomił jej przegub w stalowym uchwycie. Spodziewała się, że odepchnie jej rękę, lecz on przywiódł ją do swych ust i wycisnął na niej pocałunek. Miał wargi miękkie, choć sprężyste. Pieszczota kryła w sobie czułość i namiętność, która rozplynęła się po jej żyłach palącą słodyczą. Ścisnął jej ramiona i przyciągnął ją do siebie w ciemności i zapytał:

- Czy poświęciłabyś się dla mnie, Gwendolyn? Czy złożyłabyś mi ofiarę z samej siebie? Czy zechcesz wybawić nie-szczęsną, zdziczałą bestię, którą się stałem?

Gwendolyn spojrzała w gęste cienie, które skrywały jego twarz i poczuła osobliwy spokój.

- Kiedyś mi wyjaśniłeś, co mogę zrobić, by zamienić cię z powrotem w człowieka.

Otoczyła jego szyję dłonią a drugą pociągnęła go do siebie i łagodnie przycisnęła wargi do jego ust.

## 14

Smokowi nie przyszło łatwo zaakceptować pocałunek, którym obdarowała go Gwendolin. Za późno było, by wyznać, że ją okłamał, za późno, by ostrzec, że pieścizna jej warg spotęguje tylko moc niebezpiecznych czarów, które ich omotały. Zamiast bowiem oswoić go i uczłowieczyć, pocałunek obudził w nim dziką namiętność i pragnienie, by przedłużyć tę chwilę w nieskończoność. By ją dotykać. By ją posiadać! Zaczerpnął z wysiłkiem tchu i poczuł, jak jej wargi pęcznieją i rozchylają się w zaproszeniu, któremu nie miał już siły się oprzeć.

Trzymał na wodzy nagłość swej żądz, by nie wystraszyć dziewczyny, lecz czuła niecierpliwość w ramionach, które objęły ją ciasno, i w języku, który wdarł się głęboko w wilgoć jej ust. Smok rozkoszował się smakiem jej niewinności i odkrywanego znienacka pragnienia. Właśnie ta nieśmiała namiętność dziewczęcego pocałunku czyniła z niego pieściznę przewyższającą najbardziej wyrafinowane zabiegi doświadczonych kurtyzan.

- Moja słodka... moja niewinna! - wyszeptał w kącik jej ust. - Jesteś snem, prawda? Snem, który się spełnił.

Gwendolyn nie uwierzyłaby, że Smoka stać na taką czułość. Jego wargi łaskotliwą pieścizną obrysowały kontur jej podbródka. Ucałował dołeczek w policzku i zsunął się niżej, by wyszukać pulsujące zagłębienie w okolicy krtani. Potem powrócił zgłodniałymi wargami do jej ust.

Tym razem to nie było przelotne dotknięcie, w którym oddechy zaledwie musnęły się nieśmiało, lecz pocałunek słodki i mocny jak śmierć. Smok wpił się w jej wargi z taką zaborczością, że Gwendolyn wczepiła się w żabot jego koszuli, by nie upaść. Chociaż przyznał się do upojenia trunkiem, to ona zatoczyła się pod naporem doznań. Jego szorstka czułość oszałamiała mocniej niż smak whisky na jego języku. Pierś unosiła mu się wprawdzie rytmem równie urywanym jak jej zdyszany oddech, lecz smocze serce pod dziewczęcą dłonią biło równym i silnym rytmem. Nie przerwał magicznego pocałunku ani na chwilę, przypierając ją plecami do stołu i drugą ręką zmiatając z blatu zastawę i odłamki gruzu. Gwendolyn przypomniała sobie mgliście, że chciała go zwabić w światło księżyca. Skąd mogła przypuścić, że to jemu uda się wciągnąć ją w głąb swego cienistego świata i że nie stawi oporu, wręcz przeciwnie: podaży za nim ochoczo? Czuła twardą krawędź stołu wrzynającą się w plecy na wysokości krzyża, sprężyste ciało przyciśnięte do wypukłości jej brzucha i twardość, która raz na zawsze przekonała ją, że ma do czynienia z mężczyzną. I to takim, który rozpaczliwie jej pożąda!

- Ty przekłeta mała głuptasko! Czemu nie odeszłaś, gdy miałas po temu okazję? - zamruczał między jednym zdyszanim oddechem i drugim i przyciągnął ją bliżej. Jak zaczarowana sięgnęła dłonią do jego twarzy, bo szorstki wyrzut w jego głosie uwodził mocniej niż pieścizna dotyku. Przesuwał wargami po

jej wargach, drażniąc ich miękkość, aż serce dziewczyny zaczęło bić dwa razy szybciej. Ujął końce satynowych wstążek związanych u szyi. Gwendolyn zamarła, gdy drżące palce rozplątywały węzeł i powoli zsunęły tkaninę w dół ramion.

- Jaka masz miękką skórę! - szepnęła, muskając palcami obnażony obojczyk.

- Grube dziewczęta zazwyczaj ją mają - poinformowała go i przycisnęła zapłoniony policzek do twardego torsu. - To nagroda pocieszenia, zadośćuczynienie za nadmiar tłuszczu.

Otoczył jej twarz dłońmi, a w jego głosie pojawiła się nuta nieoczekiwanej żarliwości.

- Jeżeli nie jesteś boginią wśród kobiet, to czemu ten posąg Afrodyty zzieleniał z zazdrości na samą myśl, że za chwilę twoje wdzięki wyłonią się spod całunu skromnisi?

Gwendolyn zaśmiała się niepewnie.

- To chyba tylko mech!

Smok ukrył twarz w pulsującym ciepłe dziewczęcej szyi, by stłumić chichot sardonicznej rezygnacji nad niepokonanym realizmem swej branki. Gdy tak stał, chłonąc jej żar, był niemal skłonny uwierzyć, że jej bliskość potrafi wypełnić dojmującą pustkę w jego duszy.

- Jeśli nie dowierzasz pochwałom z ust pochlebcy, muszę wykorzystać swoje wargi w inny, bardziej skuteczny sposób!

Z gardła Gwendolyn wydarł się głęboki jęk, gdy Smok spełnił groźbę: wsunął Język pochlebcy" między jej wargi i począł poruszać nim w rytmie starym jak morze szturmujące skały u podnóża fortecy. Przebiegł ją dreszcz podniecenia, gdy ujął dłońmi krągłe piersi. Poczwała drażniący dotyk stwardniałych opuszków kciuków na wrażliwych sutkach, aż uniosły się, napinając pajęczą tkaninę koszuli.

Jęknęła wprost w jego usta, a on odwzajemnił jej się tym

samym. Smoczy oddech zdawał się wypełniać ją po brzegi falą swej płomiennej potrzeby, która wznieciła podobny ogień w jej trzewiach. Przez szum w uszach słyszała, że szepcze jej imię jak prośbą litanie.

Mogła się tylko poddać i dała temu wyraz uległym jękiem, gdy poczuła jego dłoń pod obrąbkiem koszuli. Palce głaskały ulotną pieszczotą skórę w zagłębieniu kolan. Od tamtego ranka, gdy wyratował ją z okiennej pułapki, zawsze pamiętała o nakładaniu majteczek. Zdała sobie jednak sprawę, że warstwa cienkiego płótna nie stanowi dostatecznej ochrony dla jej cnoty. Powinna wiedzieć, że dla Smoka pajęcza tkanina będzie stanowić nie tyle przeszkodę, co dodatkowy urok wyzwania. Nagle usłyszała, że wciągnął ze świstem powietrze i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że majteczki mają dodatkowe rozcięcie w szczelinie między udami. Smukłe palce arystokraty zagłębiły się w kędziory, zdradzające wilgocią siłę pożądania, które próżno starała się dłużej ukrywać. Uda dziewczyny zwiotczały i rozchyliły się w zaproszeniu, w błaganiu, by rozpoczął odprawiać nad nią swe mroczne uroki.

Ach, więc to tak, pomyślała, gdy głowa opadła jej bezsilnie na ramię. Oto grzeszna rozkosz, za którą Nessa i Kicia sprzedały swoją cnotę i godność. Obsypywał ją pocałunkami i nie przeżywał zmysłowej pieszczoty palców, aż spłynęła nektarem gęstszym i słodszy niż miód. Dopiero wtedy musnął sztywnym kciukiem guzek na dnie wzgórka pokrytego kędziarami. Drugi palec wślizgnął się głęboko w pulsującą osobliwym bólem otchłan, która nie zaznała dotąd dotyku mężczyzny. Gwendolyn wygięła się pod palącą pieszczotą. Spłynął po niej dreszcz rozkoszy jak migotliwa kaskada doznań, których nie mogła opisać. Chciała wykrzyknąć jego imię, lecz przypomniała sobie ze skurczem żalu, że nie wie, kim jest Smok.

Był obcym przybyszem, intruzem, który górował nad nią w ciemności sali. Miał twarz zanurzoną w cieniu, a dłonie pod jej koszulą. Nagle Gwendolyn ogarnął taki wstyd, że poczuła mdłość. Odepchnęła go i cofnęła się.

- Nie!

Podążył za nią, lecz zatrzymał się na krawędzi cienia.

- O co chodzi? Czy sądziłaś, że wezmę cię przemocą? Na litość boską, Gwendolyn, nawet ja nie jestem do tego stopnia potworem!

Przytrzymała się poręczy sofy i walczyła ze zdyszaniem oddechem. Nie chciała przed nim płakać. Nie umiała zalewać się łzami tak kokieteryjnie, jak czyniły to Glynnis i Nessa. Zwiesiła głowę.

- Nie rozumiesz? Nie o ciebie chodzi, lecz o mnie! Powinam cię ostrzec... kobiety w mojej rodzinie prześladowały ta straszna cielesna słabość.

Wyrwał mu się śmiech pełen ulgi.

- Tylko to cię przestraszyło? Gwendolyn, moja słodka, mogę cię zapewnić, że twoje doznania były całkowicie naturalne! Nie ma w nich nic nagannego czy wstydliwego dla ciebie, a już na pewno nie dla mnie.

Odwróciła się gwałtownie twarzą do niego i powiedziała:

- Czy wiesz, co powiadają mężczyźni z wioski o mojej siostrze Nessie? Mówią: strzeż się, gdy zadzierasz spódniczkę dziewczusze od Wilderów, bo możesz tam znaleźć szybszego rywala! Mrugają porozumiewawczo i trącają się łokciami, szepcząc: znasz rzecz miłszą od dziewczuchy Wilderów na plecach? To dziewczucha Wilderów na kłęczkach! - Smok stał w ciemnościach w milczącym bezruchu, który przejął ją dreszczem zgrozy. - Nessa oddawała się na prawo i lewo, aż nic nie zostało z dziewczyny, którą niegdyś była. Teraz najmłodsza,

Kicia, wstąpiła na tę samą ścieżkę! Jak jednak mogę je potępić, skoro dowiodłam, że nic się od nich nie różni? Ochoczo oddaję się obcemu, hultajowi o gładkim języku, za całuski i komplementy o gładkiej skórze!

Milczał tak długo, że Gwendolyn przelekła się, iż jej słowa go zraniły. Wreszcie przemówił:

- Ilu już takim hultajom o gładkim języku się oddałaś?

Gwendolyn stłumiła szloch.

- Jeszcze ani jednemu... ty jesteś pierwszy.

- Prawdziwa ladacznica z ciebie, czyż nie? - rzucił żartobliwym głosem.

- Nie zaprzeczysz, że pozwoliłam ci na nieopisane karesy!

- Nie nazwałbym ich „nieopisanymi” - odparł bez wahania, a gniew sprawił, że w głosie zadźwięczał stanowczy, urywany akcent. - Najpierw pozwoliłaś mi się pocałować w usta. Potem dotknąć przepysznych piersi przez płótno koszuli. Potem pozwoliłaś mi wsadzić palce w...

- Przestań! - Gwendolyn zakryła uszy dłońmi, niezdolna znieść okrutnego szyderstwa. - Jak mogłam dopuścić, byś mi to robił, skoro nie znam nawet twojej twarzy? Ani twego imienia?

- Może to prawda, ale przez mgnienie oka, tam przed chwilą, przysiągłbym, że poznałaś na wskroś moje serce!

Pierś Gwendolyn uniosła się w rozpaczliwym wysiłku, by stłumić szloch. Chciała rzucić mu się w ramiona - lecz była uwięziona w płamie księżycowego blasku tak samo, jak on w strefie cienia. Dopóki nie zdecyduje się ujawnić tożsamości, dzieląca ich otchłań pozostanie niezgłębiona jak przepaść między wieżą a morzem. Przejął ją lęk, że może i tak odważyć się spróbować przekroczyć tę zakazaną strefę. Okręciła się na pięcie, by wybiec z sali. Księżyc wsuwał srebrzyste palce przez



uchylone drzwi, nęcąc i przyzywając obietnicą swobody. Po-  
biegła w górę schodów, zostawiając Smoka w jego królestwie  
mroku. Nie widziała, jak mężczyzna wybiega z wielkiej sali,  
oddając się na łaskę światła, byle ją dogonić. Nie widziała, jak  
osuwają się na bruk i zanurza palce we włosach i nie słyszała  
echa rozpaczliwych szlochów, odbijających się od murów  
zrujnowanego zamku.

## 15

Na boski napletek! - ryknęła Izzy i z łoskotem odstawiła  
balię pełną brudnych koszul na kuchenny stół.

Kicia skuliła się trwożnie, a Glynnis chwyciła swoją poranną  
porcję, kilka suchych biszkoptów i kubek herbaty, by uchronić ją  
przed potopem zbrukanej wody, która z chłupotem przelała się  
przez brzegi cebrzyka. Pies, który spożywał swoje śniadanie na  
kominku, obrzucił bystrym spojrzeniem minę służebnej i z pod-  
kulonym ogonem wypadł z izby. Kicia i Glynnis przezornie  
powstrzymały się od komentarza. Izzy wyrzuciła zawartość  
szaflika do gigantycznego żeliwnego kociołka, który wisiał nad  
paleniskiem pełen parującej już wody. Nie przerywając strumie-  
nia wymyślnych przekleństw, chwyciła drewnianą warząchew  
i zamieszała bieliznę. Wyglądała jak dzikooka wiedźma, warzą-  
ca magiczny napój sprowadzający ciężką harówkę i kłopoty.

Nessa wsunęła się do kuchni; miała oczy podpuchnięte  
i mętne z niewyspania, choć wskazówki zegara pokazywały  
godzinę dziesiątą.

- Na miłosierdzie boskie, Izzy! Czy musisz tak się wydzierać  
i hałasować? Obudziłabyś umarłego!

- Umarłaka, owszem, ale nie ciebie - odpaliła Izzy, wyjęła łyżkę z wody i pogroziła leniwej dziewczusze. - Mam prawo wrzeszczeć i hałasować, skoro jestem po uszy w robocie od samego świtu, kiedy to ty i Kicia raczyłyście powrócić na paluszkach z całonocnej rozpusty z chłopami!

Kicia zarumieniła się, lecz Nessa bezwstydnie przeciągnęła się na zydlu i pod przykrywką tygrysiego gestu zgarnęła biskopka z talerza Glynis.

- Jedyne mężczyzna, którym się ostatnio interesuję, to Lachlan, powinnaś więc powiedzieć „z chłopem”.

Służąca przewróciła oczami:

- Jeden naraz, owszem. Ale w kolejce czeka już drugi, a za nim cały ogonek.

- Ja w odróżnieniu od Nesy potrafię być lojalna. Ani razu nie zdradziłam żadnego z mężów - pochwaliła się Glynis.

Izzy odparła:

- To ich najprawdopodobniej zabiło! Dwóch starców, próbujących dorównać pełnym ikry młodym kawalerom!

Nessa zaniósła się piskliwym śmiechem, a obrażona Glynis wzruszyła ramionami i delikatnie skubnęła okrusz ciastka.

- Powinam chyba śniadać w jednym z moich własnych domów, droga Izzy. Nie ma szans na cywilizowaną konwersację z taką grubiańską złościciwą jak ty!

Izzy dziabnęła warząchwą ścianę i krzyknęła.

- I ty byłabyś w złości, młoda panno, gdyby cię zamknąć na cały dzień w dworku z tym przygłupem, waszym ojczulkiem. Nie pojmuję, jak wasza siostra, biedaczka, znosiła opiekę nad nim przez te wszystkie lata! Gdybym była na jej miejscu, błagałabym Smoka, by mnie pożarł!

Uthonorowały minutą zgodnej ciszy ofiarę Gwendolyn. Wreszcie Kicia szepnęła:

~ Tatko wziął mnie wczoraj za mamusię. Chwytał mnie za spódnice i błagał, bym mu przebaczyła.

- Powinien, bo to jego chciwość zabiła nieszczęsną!

Wszystkie trzy dziewczęta odwróciły się i wbiły w Izzy osłupiały wzrok, jakby nie rozumiały jej słów. Nigdy nie słyszały podobnej herezji z ust wiernej służącej! Przez mgnienie oka jej szeroka twarz spłonęła rumieńcem, wywołanym czymś więcej niż ogniem z paleniska. Potem odwróciła spojrzenie i ze zdwojoną energią zaczęła mieszać bieliznę w kotle.

- Chciałam powiedzieć, że wciąż próbował spłodzić syna. Cóż, to rozumiałe: jakież mężczyzna zadowoliliby się bandą takich dzierlatek?

- No właśnie, jaki? - mruknęła Kicia i odsunęła talerz.

Glynis spojrzała na najmłodszą siostrę oczami pełnymi troski.

- Kotku, co cię gryzie? Już tyle dni dąszasz się nie wiadomo na co! To do ciebie niepodobne.

- Może jesteś brzemienna? - wtrąciła Nessa i poklepała Kicię po ręce.

Izzy jęknęła:

- Tylko tego nam tu jeszcze trzeba! Kolejna pupa do podcierania.

Kicia wyrwała dłoń z czułego uścisku siostry. Ciemne oczy zapłonęły gniewem.

- Oczywiście nie jestem brzemienna! Jak mogłabym zająć w ciąży, skoro nauczyłyście mnie, jak jej zapobiegać, gdy pierwszy raz dostałam kobiecej słabości?

Nessa rozsiadła się wygodniej i nalała sobie herbaty. Nie spuszczać z siostry podejrzliwych oczu, powiedziała:

- Powinnaś być nam za to wdzięczna.

- Czemu? Mogłyście mnie nauczyć czegoś pożytecznego,

na przykład cerowania pończoch albo polerowania srebra... albo gospodarowania na włościach męża.

- Zaufaj mi, Kiciu, lepiej wiedzieć, jak kierować mężczyzną, niż jego majątkiem. - Glynnis podniosła modnie wyskubane brwi w łagodnej naganie.

Nessa przytaknęła.

- Masz rację. Mężczyźni wolą, by im polerować coś innego niż rodzinne srebra!

Kicia zapaliła się jeszcze bardziej.

- Może nie każdy myśli wyłącznie o tym!

Glynnis rzuciła starszej siostrze porozumiewawcze spojrzenie, mówiąc:

- Jak długo dycha, nie myśli o niczym innym.

- Nie mów, że spotkałaś już mężczyznę, który oparł się twoim wdziękom! - droczyła się Nessa.

Gniew Kici stopniał. Mruknęła żałośnie, patrząc w swój kubek:

- On chyba w ogóle nie podejrzewa, że mam jakoweś!

Glynnis przechyliła się przez stół i pogłaskała bujne kędziory siostrzyczki.

- Nie bądź śmieszna - powiedziała. - Każdy wie, kto jest najpowabniejszą dziewczką w Ballybliss!

- Nie myśl, że łatwo jej było to wyznać - dodała Nessa i uśmiechnęła się do starszej siostry jak drapieżny kot.

Glynnis odwzajemniła jej się, marszcząc nos w złośliwym grymasie, po czym ponownie zwróciła się do Kici:

- Mam nadzieję, że nie strzeliłaś jakiegoś głupstwa, maleńka? Broń Boże nie zakochałaś się czy coś takiego?

Kicia odsunęła kubek z herbatą i ukryła twarz w złożonych na stole ramionach.

- Och! Czemu to nie mnie wybrano na ofiarę dla Smoka? - jęczała.

Glynnis perswadowała tonem pocieszenia:

- A czemu ten stary chutliwy Smok miałby zechcieć ciebie, słonko? Przecież wiesz, że jada wyłącznie dziewice!

Izzy parsknęła ochryplym śmiechem, a Nessa dołączyła się do perlстого chichotu Glynnis. Widząc to, Kicia wybuchnęła łzami i wybiegła z izby. Siostry gapiły się za nią i ich wesołość stopniowo gasła.

- O co jej poszło, u diabła? - zmarszczyła czoło Nessa.

- Pojęcia nie mam - odpowiedziała ponuro Glynnis i wstała od stołu. - Ale zamierzam się dowiedzieć!

Smok siedział oparty plecami o kamienne blanki wieńczące mury zamku Weyrcraig. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni obserwował, jak wschodzące słońce złoci grzbiety fali i kiedy czuł pieszczotę łagodnej południowej bryzy. Odwrócił twarz ku słońcu i rozkoszował się ciepłem promieni. Nocna burza zmyła świat do czysta. W świetle poranka pachniał świeżością i niewinnością, jakby dopiero co został stworzony. Gdybyż równie łatwo człowiek mógł zmyć swoje grzechy, pomyślał z goryczą Smok.

Nie musiał otwierać oczu, by przywołać obraz Gwendolyn w plamie księżycowego blasku. W aureoli zmierzwionych złocistych loków, z policzkami płonącymi od rozkoszy, jaką jej ofiarował, przypominała półboginkę z fresku wymalowanego na suficie wieży - boską istotę, co raczyła zstąpić na ziemię, lecz pozostawała darem nieosiągalnym dla zwykłych śmiertelników.

Szczególnie takich jak on.

Przypomniał sobie wyraz zranionej dumy w jej oczach, gdy wyrwała się z jego objąć. Podniósł dłonie i przyjrzał im się badawczo - nawet chcąc dawać rozkosz, zadawały ból.

Stłumione stapanie za plecami ostrzegło go, że nie jest już sam. Usłyszał cichy głos Tuppera:

- Kiedy poszedłem sprawdzić, jak się ma Gwendolyn, zastałem uchylone przejście w boazerii. Z początku sądziłem, że...

- ...znajdziesz ją w moim łóżu - dokończył Smok i rzucił przyjacielowi oschłe spojrzenie. - Szkoda, że muszę splamić swą reputację kobieciarza, ale moje uwodzicielskie moce straciły chyba na sile oddziaływania.

- Jeśli to prawda, czemu nie uciekła z zamku?

- O to musisz zapytać ją samą.

- Zobaczyłem policzki mokre od łez, więc nie chciałem jej budzić. Musiała ukołysać się płaczem do snu.

Smok zapłonął gniewem.

- Co się dzieje, Tup?! - zawołał. - Znudziło ci się nękać wieśniaków? Już nie znajdujesz dostatecznej uciechy w szkaradnych figlach?

Tupper oparł stopę w wysokim bucie na kamiennym występie między blankami.

- Prawdę mówiąc - powiedział - ich reakcje szalenie mnie bawią! Babcia Hay skryła się w łóżu i odmawia pacierze, wierząc, że żałosliwe dźwięki piszczałek to zawrodozenie wilkołaka, który przyszedł po jej duszę. Jeden z synów kowala wdał się w bójkę na pięści z synem druciarza, bo obaj są przekonani, że to ojciec ich przeciwnika zdradził MacCullogha za tysiąc funtów w złocie. Mało brakowało, by niejaki łan Sloan zastrzelił swoją połowicę, bo gdy obudził się z pijackiego snu, wziął ją za Smoka... przynajmniej tak twierdzi. - Tupper przewrócił znacząco oczami.

Smok przyglądał się bacznie twarzy przyjaciela.

- Całkiem nieźle poznałeś pocziwy ludek z Ballybliss!

Tupper spłonął rumieńcem.

- A jak inaczej mam się dowiedzieć, kto ukrywa pieniądze?

Zamyślony Smok odwrócił się w stronę morza. Zeszłej nocy przez chwilę czuł, że posępne plany, które uknuł przed przybyciem do Weyrcraig, przestają być ważne wobec czułej słodyczy pocałunku Gwendolyn. Lecz ta chwila okazała się tylko przelotnym złudzeniem, nietrwałym jak rozkosz, którą dzielili. Nie mógł jej zaoferować przyszłości - jedynie przeszłość.

Podążył wzrokiem w ślad za mewą, która spiralnym lotem spadała w dół, ku skałom nabrzeża.

- Statek zakotwiczył w zatoczce tuż za skalnym występem i czeka na sygnał, by przypłynąć i zabrać nas stąd.

- Ale nie m-ma chyba t-takiego p-popołochu? - zaczął się jąkać Tupper. - Wieśniacy dopiero zaczęli się łamać... nie wolno nam przyspieszać biegu wydarzeń. Może powinniśmy dać im jeszcze dwa tygodnie?

Smok porwał się na nogi i krzyknął:

- Nie mam tyle czasu! Nawet nie jestem pewien, czy mogę czekać jeszcze jedną noc.

Niecierpliwym krokiem jął przemierzać bastion. Wiatr nawiewał mu włosy na czoło, a on odgarniał je szybkim gestem dłoni. Jak miał wyjaśnić Tupperowi, że ciemność, która od tak dawna dawała mu schronienie, stała się jego wrogiem? Że już nie potrafi bez lęku poruszać się w królestwie mroku? Że z nadejściem kolejnej nocy może się okazać, iż jego woła kruszeje, a żądza popchnie go do wspinaczki krętymi schodkami na wieżę? Obawiał się, że nie potrafi już zadowolić się śledzeniem śpiącej Gwendolyn z cienistego ukrycia, że jednym susem pokona odległość dzielącą go od łóża i nakryje jej kuszące ciało swoim ciałem.

Nie kłamał, kiedy mówił, że nigdy nie przymusi jej siłą, ale wiedział, że ma na podorędziu wiele zmysłowych forteli, którymi potrafiłby ją uwieść. Okazałby się wówczas jeszcze gorszym potworem!

Spojrzał prosto w oczy przyjaciela i powiedział:

- Dam ci jeszcze jedną noc na to, żebyś strachem wydarł tajemnicę tym zakłamanym góralom... a jeśli ci się nie uda, przyznamy otwarcie, że wdaliśmy się w obłąkańczą grę bez widoków na powodzenie, i opuścimy to przekłętą miejsce nazajutrz o świcie. Nigdy już nie wspomnimy nawet jednym słówkiem Weyrcraig i Ballybliss!

Ramiona Tuppera zwisły żałośnie.

- Zgoda..., -już był prawie na schodach, gdy dodał szeptem: - Możesz jej wyznaczyć, kim jesteś, wiesz?

Smok rzucił przyjacielowi przepęlniony bólem uśmiech.

- Gdybym naprawdę wiedział... pewnie bym to uczynił.

Możesz jej wyznaczyć, kim jesteś, wiesz?"

Brodząc przez zalaną księżycowym blaskiem łąkę, Tupper słyszał echo własnych słów. Potknął się o wystający korzeń i przypomniał sobie, jak często ojciec nazywał go niezdara. Wspomnienie sprawiło mu przykrość, jakby to działo się wczoraj.

„Przestań się garbić! Stój prosto! Nie jesteś nawet w połowie mężczyzną, jakim ja byłem w twoim wieku!"

Może to jego ojciec miał rację? Jaki mężczyzna pożyczka sobie tożsamość drugiego, by zaimponować dziewczuszcze o oczach świetlistych jak rosa? Westchnął na myśl o tym, jak łatwo wyraz uwielbienia w ogromnych źrenicach Kici mógłby zamienić się w pogardę, gdyby odkryła prawdę: że jest tylko

niezbyt rozgarniętym barankiem, który przebrał się w skórę zuchwałego wilka.

Odziany w migotliwe łuski smoczycy opończy, potrafił zdobyć się na elokwencję i dowcip. Wielkopańskim gestem wyciągał zza pleców bukiet polnych kwiatów i patrzył dumnie, jak płoni się świeża twarzyczka Kici. Leżał przy jej boku na łożu słodko pachnących traw i pokazywał gwiazdne konstelacje rozrzucone po niebie niczym diamenty - po raz pierwszy w życiu przydały mu się na coś nauki klasyczne, wyniesione z ekskluzywnej szkoły w Eton. W czasie godzin spędzonych z Kicią przeobrażał się z nudnawego, łysiejącego Anglika, który paple jak najęty i zbyt często się rumieni, w tajemniczego przybysza z nieznanego świata - i ten właśnie obraz widział odbity w jej oczach.

Przeskoczył przez bystry potok, ale źle wyliczył odległość i wylądował jedną nogą w zimnej wodzie. Brnął dalej przez trawę w posepnym humorze, którego nie poprawiła mokra do kolan pończocha. Być może oba wcielenia jego osoby opuszczą jutro okolice Ballybliss, a stanie się to wyłącznie z jego winy. Zamiast podpalać dymne świece na łąkach i zaskakiwać dzikim rykiem wieśniaków, którzy wieczorem nieopatrznie oddalili się zbyt od swoich siedzib, zwodził sam siebie, że spędzając czas na zalotach do Kici, lepiej pozna mieszkańców osady.

Jeżeli nie będzie mu dane zobaczyć jej znowu po dzisiejszej nocy, po co miałyby wyznaczyć jej prawdę o sobie? Czemu niszczyć romantyczne złudzenia młodej dziewczyny? Czemu nie zostawić jej ze wspomnieniem wykradanych nocy chwil, które spędzili razem? Odjedzie, wiedząc, że przynajmniej w jednym sercu pozostawił wizerunek siebie jako bohatera... chyba że Gwendolyn powróci do wioski po odpłynięciu statku i wyjawi siostrze, jak wystrychnął ją na dudka! Tupper zastygł w miejscu i zamknął oczy, gdyż doznał olśnienia. Wiedział, co zrobić!

Kiedy ponownie otworzył oczy, Kicia już czekała, zwiewna jak mgiełka unosząca się ze zroszonej trawy. Smocza opończa spowijała jej ramiona, jak przy każdym spotkaniu po pamiętnej pierwszej nocy.

- Catriona! - powitał ją. - Jestem szczęśliwy, że przyszałaś. Muszę ci coś powiedzieć.

Podeszła do niego, kołysząc wdzięcznie biodrami.

- Znużyło mnie wysłuchiwanie twoich opowieści - odezwała się głosem zduszonym od łez. - Przez cały tydzień nie robisz nic innego! Powiedziałaś mi, jaka jestem powabna, że mam oczy błyszczące niczym krople rosy na wrzosowisku, a moje wargi są jak dojrzałe płatki róż! - Tupper stał nieruchomo, sparaliżowany podniecającym przecuciem, gdy dziewczyna ujęła jego twarz w dłonie i pociągnęła go ku sobie, aż ich wargi dzielił jedynie zdyszany oddech obojga. - Twój przyjaciel miał rację, wielki z ciebie gaduła!

Jęknął, czując pod wargami usta jak pączek kwiatu. Wciągnęła go w pocałunek gorący i nieodparcie zmysłowy, napierając jednocześnie drobnymi piersiami na jego tors. Poczuł, jak cała krew płynęła w dół, do pachwiny, a oczy przesłoniła mgła. Mało brakowało, by pozwolił jej pociągnąć się na słodko pachnący kobierzec ziół i przyjął tak wyraźnie sformułowane zaproszenie! Nigdy nie podejrzewał się o siłę woli, która pozwoliła mu delikatnie rozpleść smukłe ramiona Kici i uwolnić się z jej uścisku. Dysząc ciężko, cofnął się o krok. Teraz na pewno zdążyła się zorientować, że jest oszustem! Prawdziwego Smoka nie wprawiłby w konfuzję zwykły pocałunek.

Kiedy zobaczył łzy na jej policzkach, poczuł prawdziwy wstrząs. Dziewczyna krzyknęła:

- Ach, więc Nessa miała rację? Potrafisz oprzeć się moim wdziękom!

Wyciągnął do niej rękę, lecz teraz ona cofnęła się, jakby się bała uderzenia. Zatrzymał się z obawy, że spłoszona dziewczyna odwróci się i umknie. Parsknął z niedowierzaniem:

- Wierzysz w to? Uważasz, że nie pocałowałem cię, bo nie chciałem?

Gotowa do ucieczki Kicia zawahała się, lecz wilgotne oczy wciąż patrzyły na niego sceptycznie, gdy mówiła:

- Glynnis powiada, że lubujesz się wyłącznie w dziewicach, że nigdy nie poczułbyś ochoty na taką jak ja, bo nie jestem... - przygryzła dolną wargę i spuściła wzrok.

- Glynnis ma rację; właśnie dlatego nie chciałem cię pocałować! - Zaryzykował krok ku niej, zanim mogła się otwarcie rozpłakać. - Nie chciałem cię pocałować, bo zasługujesz na coś lepszego niż całus skradziony w blasku księżycy - opuszkiem palca starł łzę, która powoli toczyła się w dół policzka Kici. - Nigdy nie ośmieliłbym się zhańbić cię w ten niegodny sposób, chyba że zamierzałbym poprosić cię o rękę!

Nieoczekiwana deklaracja zaskoczyła jego samego bardziej niż dziewczynę. Dotąd ani przez chwilę nie wyobrażał sobie powrotu do Londynu ze skrawkiem nieba znad wyniosłych szkockich gór, z pamiątką, którą wolno by mu było czcić przez resztę swych dni. Nie pozwolił sobie marzyć, że melodyjny śmiech Kici i taneczny tupot lekkich kroków zamieni jego miejską samotnię w prawdziwy dom.

Poczuł, że nerwy zaczynają mu drzeć osobliwym napięciem. Kicia stała zapatrzona w jego twarz, jak gdyby przed chwilą ściągnął z nieba świetlistą perłę księżycy i wsunął jej ten klejnot na palec. Tupper wyprostował ramiona i wciągnął brzuch. Nie mógł powściągnąć dumnego uśmiechu.

- Chyba próbuję cię w ten sposób ostrzec, Catriono Wilder,

że jeśli splamisz moją cnotę pocałunkiem, nie będziesz miała wyboru: będziesz musiała uczynić ze mnie uczciwego mężczyznę!

Sądził, że ujrzy w jej oczach odbicie swojej własnej radości, ale zamiast ochoczego błysku, pojawił się w nich wyraz dojrzałego smutku, który sprawił, że wydała mu się starsza, niż naprawdę była. Tęsknym gestem sięgnęła dłonią do jego policzka.

- Ty już jesteś uczciwym mężczyzną - powiedziała. - Dobrym, łagodnym, szlachetnym mężczyzną... i dlatego właśnie nie jestem godna zostać twoją żoną.

Zanim zdołał w pełni pojąć znaczenie jej słów, odwróciła się i pobięła przez wysokie trawy. Prawdziwy Smok byłby zapewne dostatecznie szybki, by ją złapać, lecz Theodore Tupperingham, niezdarny syn pomniejszego wicehrabiego, stał bezradnie na łące i patrzył, jak dziewczęca sylwetka roztapia się w oparach mgły, a on zostaje z opończą, która i tak nigdy na niego nie pasowała.

Kicia biegła przez las, by jak najszybciej oddalić się od Smoka wołającego ją po imieniu. Pewność, że Smok jej nie chciał, bo nie była dziewicą, sprawiła jej wielki ból, lecz okazał się on niczym w porównaniu z cierpieniem, którego doznała słysząc, że on mimo wszystko jej pragnie.

Biegając, strzepnęła dłonią uparte łzy. Przemykała między zwisającymi gałęziami dębów i wiązów. Gwendołyn próbowała ją ostrzec, a ona nie chciała słuchać! Cóż mogła wiedzieć osoba, która całe dni spędzała na zaspokajaniu nużących potrzeb tatki, podczas gdy Nessa cieszyła się nocami wypełnionymi towarzystwem pochlebców i wracała obdarowana

błyskotkami, zarumieniona od uwagi licznych adoratorów. Nie liczyło się, że ich uwaga zmniejszała się zaraz po tym, gdy otrzymali od niej, czego chcieli. W kolejce czekał już następny młodzieniec, żądny zmysłowych pocałunków lub szybkiej pieszczoty za stodołą kowala.

Kicia zmarnowała swoją niewinność w pospiesznych, niezdarnych obłapkach, które pozostawiły po sobie wspomnienie bólu, zamiast przyjemności. Nie mogła już zaferować swej cnoty mężczyźnie, który chciał uczynić ją swoją żoną. Mężczyźnie, którego kochała! Z ust wyrwał jej się rozpaczliwy szloch. Naprawdę go kochała: jego całkiem przeciętną twarz, poczciwe serce i szczere brązowe oczy... i właśnie dlatego nie mogła go poślubić!

Potknęła się i zatrzymała raptownie, przyłgnąwszy do popekanego pnia starej brzozy. Głos Smoka ucichł w oddali. Ciszę lasu wypełniały szelesty nocnych stworzeń i poszum listowia w chłodnej bryzie. Kicia zadrżała. Oślepią łzami, przygnębiona rozpaczą, nie widziała, dokąd biegnie. Miejsce, które powinno być znajome, wydało jej się obcym i wrogim zakątkiem nawiedzonym przez złośliwe duchy. Za plecami posłyszła skrzypnięcie gałązki i odwróciła się gwałtownie, czując, jak serce podskakuje jej do gardła.

- Kto idzie?

Noc szeptała jej w uszko swoje sekrety, lecz choć wyteżała słuch, ten głos był zbyt cichy, by dziewczyna mogła cokolwiek pojąć. Mroczny las jak gdyby drwił z jej bojaźni. Zaczęła wycofywać się w stronę, z której przybiegła, w nadziei, że odnajdzie znajomą ścieżkę, zanim zachodzący księżyc skryje swój blask za drzewami. Nie zdążyła uczynić nawet trzech kroków, gdy poczuła muskularne ramię otaczające ją w pasie. Czyjaś dłoń zakryła jej usta, tłumiąc okrzyk zaskoczenia.

Wbiła paznokcie we włochate kłykcie napastnika i zadrżała, gdy ucho owiał jej gorący oddech.

- Schowaj pazurki, kociątko, albo ci je wyciągnę jedno po drugim!

Kicia zdała sobie nagle sprawę, że to mięsista dłoń Rossa zaciska jej usta. Otworzyła szeroko oczy. Z mroku wyłonili się Nessa, Glynnis i Lachlan i otoczyli ją ścisłym kręgiem. Wszyscy mieli na twarzach niezwykły u nich wyraz powagi. Kicia uniosła stopę i kopnęła Rossa w łydkę, aż zaklął grubiańsko i rozluźnił uścisk. Wyrwała mu się z ramion i okręciła na pięcie. Jej oczy płonęły wściekłością.

- Jak śmiesz brukać mnie łapami, ty przerośnięty gburze?! - zawołała.

Ross ze złowieszczym grymasem zbliżył się do niej.

- Pozwalasz się obmacywać jakiemuś potworowi nie z tego świata, a wzbraniasz pieszczoty uczciwemu kawalerowi?

Oczekiwała, że Nessa i Glynnis staną w jej obronie, lecz siostry poparły Rossa, rzucając jej karcące spojrzenia. Kicia przenosiła wzrok z jednej wrogiej twarzy na drugą, szukając jakiegoś sygnału, że to wszystko jest tylko figlem.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz!

- Wiemy, jak się zabawiałaś - rzuciła Nessa krótko.

- Wiemy, z kim - dodała Glynnis całkiem łagodnie, a nagi smutek w jej oczach stropił Kicię bardziej niż pogrożki Rossa.

- Przez cały czas sądziliśmy, że Smok jest jakąś bestią - wtrącił Lachlan. - Ale dzięki tobie, dziewczeczko, odkryliśmy, że jest tylko mężczyzną! - wykrzywił wargi w sardonycznym grymasie, który nadał jego rysom złowiszczy wyraz. - Zwykłym śmiertelnikiem!

Kicia instynktownie uczyniła krok do tyłu. Myślała wyłącznie o tym, jak uciec, nie po to, by ocalić siebie, lecz by ostrzec Smoka.

- Co chcecie zrobić? - szepnęła w nadziei, że zyska w ten sposób trochę czasu. W odpowiedzi las ożył. Z każdego zakątka wyłoniły się ciemne sylwetki, każdy krzak i każde drzewo zamieniły się w ludzkie postacie tak szybko i bezszelestnie, jak musiało się to dzieć w pradawnych czasach druidów. Lecz zamiast świętych kamieni i uzdrawiających ziół, wieśniacy z Ballybliss dźwigali wszelkiego rodzaju oręż: grubo ciosane pałki, sznury, łuczywa czekające na zapalenie, sztylety i noże, które ukrywali zakopane głęboko na kuchennych podwórkach swoich obejść od czasu, gdy Anglicy zabronili im posiadania wszelkiej broni. Niektóre ostrza wciąż były zbrukane krwią sprzed stuleci, którą ich właściciele wytoczyli wrogom klanu MacCulloghów. Nawet wiekowa babcia Hay dzierżyła widły w żylastej dłoni. Ostrza lśniły w dogasającym świetle księżyca jak śmiercionośne potrójne żądło. Kicia cofała się na oślep, aż oparła się o kościsty tors Ailberta. Ross uwięził jej łokieć w mocnym uchwycie.

- Jak sądzisz, dziewczeczko, co mamy zamiar uczynić? Zapolujemy na Smoka!



## 16

Gwendolyn stała na stole przysuniętym do okna. Kurczowo wczepiona w kraty, śledziła, jak nieustępliwy atak cieni połyka ostatnie promienie światła. Już nie musiała wpatrywać się tęsknie w morze i marzyć o wolności; bezcenny niegdyś dar stał się jej udziałem - tylko po to, by odkryła, że przestała go pragnąć. Być może nigdy go nie pragnęła?

Zeskoczyła ze stołu i zaczęła krążyć po wieży. Toby spał, wyciągnięty wygodnie na poduszkach, jak sułtan, który po nadto sytej uczcie czeka na tańce haremowych branek. Puszysty łeb poruszył się leniwie w ślad za jej krokami. Gwendolyn niemal widziała pogardę w aroganckich złocistych źrenicach.

Przy pierwszym spotkaniu oskarżyła Smoka o tchórzostwo, a sama już cały dzień siedzi skulona w celi, więźniarka z wyboru, ignorując otwarte drzwi. Nie wiedziała nawet, czego się lęka. Jego, czy samej siebie?

Smok ukrywał się w cieniu, lecz to ona spędziła piętnaście ostatnich lat za murem, który własnoręcznie wzniosła wokół siebie. Głazy samotności scementowała zaprawą z obowiązku, dumy i cnoty, Obnosiła zobowiązania wobec ojca demon-

stracyjnie, jak pokutnik swoją ukochaną włosienicę. Czerpała dumę z faktu, iż nie dba o urodę, nie stara się upiększyć jak jej siostry i strzeże dziewictwa, które one tak łatwo oddały. Wykorzystała nawet swoją pozbawioną nadziei tęsknotę za dawno zmarłym chłopcem, by chronić serce od ryzyka, jakie niesie życie... i miłość.

Podniosła traktat Manderly'ego, *Triumf racjonalnego rozumowania* i niedbale wertowała stronicę, ale piekące od łez oczy wnet poczuły się znużone równymi rządkami druku, a pieczołowite objaśnienia i racjonalnie wyciągnięte wnioski wydały się jej dzisiaj stertą bzdur. Tym razem logika ją zawiodła, wydając na pastwę emocji silniejszych nad rozum. Palce rozwarły się bezwolnie, a gruby tom ześlizgnął na podłogę. Gwendolyn przywołała wizerunek Smoka - takiego, jakim go widziała po raz ostatni, stojącego na skraju cienia, samotnego mężczyznę widmo, który pomimo to stał się dla niej bardziej rzeczywisty niż ktokolwiek inny.

„Jak mogłam dopuścić, byś mi to robił, skoro nie znam nawet twojej twarzy? Ani twego imienia?”

„Może to prawda, ale przez mgnienie oka, tam przed chwilą, przysiągłbym, że poznałaś na wskroś moje serce!”

Zacisnęła powieki, broniąc się przed bolesną niepewnością, czy to nie on miał rację. Nie znała jego imienia ani rysów twarzy, a przecież czuła, że wnętrze jego duszy stoi przed nią otworem: pod szorstkim obejściem i pozorami szyderczej obojętności skrywała się łagodna, czuta i wielkoduszna istota. Kto wie, czy nie ten przeblysł człowieczeństwa ukazujący się spod potwornej maski wyzwolił jej obawy? Może to właśnie sprowokowało ją do raniących godność słów, którymi chciała go zmusić, by zwrócił jej wolność?

Teraz wiedziała, że wolności nie odzyska, dopóki jej serce pozostanie jego więźniem.

Powoli obróciła się twarzą do uchylonego wejścia. Mogła przebrać się w nocną koszulę, zgasić świece i wpełznąć na znajome posłanie, lecz instynkt podpowiadał jej, że tym razem nie doczeka się wizyty Smoka. Jeśli chce odzyskać rzeczywistą wolność, musi sama pójść do niego,

.Mleczne opary mgieł unosiły się sponad dolin i górskich przełęczy. Spowijały strzelnicze parapety fortecy jak smocze wyziewy. Morze szturmowało pionowe skały i ryczało bezsłowe groźby. Okrągła tarcza księżyca oświetlała blanki lodowatym blaskiem. Pod dotknięciem chłodnych promieni wszystko zdawało się pokrywać warstwą szronu. Wydawało się, że pradawne kamienie zastygły w czasie.

Gwendolyn posuwała się płataniną korytarzy. Uparcie odrzucała wszelkie myśli, które mogłyby wciągnąć ją z powrotem w grząskie bagno rozważań o przeszłości. Nie była dziewczynką biegnącą za chłopcem, tylko kobietą, która szuka mężczyzny, postaci bynajmniej nie mitycznej, lecz z krwi i kości. Dłonią chroniła płomień świecy przed gwałtownymi przeciągami i tak była tym zajęta, że nie rzuciła nawet jednego spojrzenia na otchłań za wyrwą w północnej ścianie. Okrążyła stos gruzu jak garstkę kamyków na ścieżce. Nie dała się zwabić w pułapkę srebrnych promieni księżyca, które przyzywały przez szpary w potrzaskanych wrotach. Odwróciła się ku cieniem zalegającym ruiny i próbowała odgadnąć, gdzie mógł sobie znaleźć leże smok, który szuka kryjówki przed ludźmi.

Wielka sala recepcyjna ziała pustką. Zamieszkiwały ją już tylko widma dawnych gości, choć na stole nadal stała krysz-

tałowa karafka z resztką whisky na dnie. Gwendolyn z rosnącym zniecierpliwieniem i pośpiechem przeszukiwała liczne komnaty, zanim znalazła kaplicę osnutą wieloletnimi welonami pajęczyn. Jedyne witrażowe okno osadzone wysoko w murze nawy nad głównym ołtarzem przetrwało tu angielski ogień armatni. Gwendolyn ostrożnie stapała między odłankami szkła i połamanymi kłęcznikami, starając się nie poddać rozpacz. Co pocznie, gdy się przekona, że Smok odszedł, że wymknął się na spotkanie ze statkiem, czekającym w pobliskiej zatoce?

- Proszę! - wyszeptwała i utkwiała spojrzenie w świetlistym, wielobarwnym kręgu. Powieki opadły jej na oczy w nagłym przypływie ulgi: gdyby odjechał, wyczułaby to osobliwym szóstym zmysłem. Nie, on wciąż tu jest, kryje się gdzieś za zrujnowanymi ścianami! Otworzyła oczy i wybiegła z kaplicy. Nogi poniosły ją do pochylonej budki, która strzegła niegdyś wejścia do fortecy. Z okien zniszczonej stróżówki przeświecał słaby czerwonawy blask, który potwierdził to, co powinna była właściwie już dawno odgadnąć: Smok wpełznął pod ziemię!

Przesunęła świecę przed twarzą, aż cienie zawirowały w skocznym tańcu, lecz nie mogła wypatrzeć końca stromych schodów, Być może wiodły w samo serce piekła? Zniżyła świecę i niepewnie wciągnęła oddech. Zaskakiwanie bestii w jej norze przedstawiało pewne ryzyko, lecz dziewczyna nie miała wyboru. Nie umiała przewidzieć, jak zareaguje osaczony Smok, modliła się więc gorąco o siłę, która pomoże jej przetrzymać jego gniewne ciosy. Ujęła w dłonie fałdy błękitnej tafty, by uchronić suknię przed zetknięciem z wilgotnym, omszałym murem, i zaczęła opuszczać się w podziemne głębiny. Jakże łatwo było ulec przekonaniu, że zstępuje w serce wielkiej pieczary, gdzie ujrzy Smoka zwiniętego w kłębek na stosie migotliwych klejnotów: szmaragdów, brylantów i rubinów... że stwór pod-

niesie leniwie głowę i błyskając łuskami popełźnie w jej stronę, zionąc gęstymi oparami ognistego oddechu, który strawi jej ciało do kości. Zatrzymała się i surowo nakazała wyobraźni poskromić absurdalne wizje. Zeszłej nocy Smok dowiódł przynajmniej tego, że nie jest okrutny!

Wreszcie dotarła do końca schodów. Czerwonawe światło płonęło coraz jaśniej, przyzywając przez łukowato sklepione przejście do kamiennej wartowni. Tam odnalazła Smoka pogrążonego w drzemce - nie na stercie drogocennych łupów, lecz wśród rozrzuconych koców i poduszek. Zalała ją znieczuła fala czułości. Leżał na plecach, odrzuciwszy na bok jedno ramię, którego palce zwijały się w luźną pięść. Odwrócił twarz od żaru paleniska. Zrzucił przykrycie, choć dogasające płomyki nie miały dostatecznej mocy, by ogrzać wilgotne i chłodne pomieszczenie. Spod koców wyzierało smukłe udo w skórzanej nogawicy związanej pod kolanem na wełnianej pończosze. Rozchełstana koszula odsłaniała tors aż do pasa. Gwendolyn widziała, jak drżą ciemne włoski porastające pierś, która unosiła się w równym oddechu. Ręka trzymająca świecę drgnęła, gdy spadła na nią kropla gorącego wosku. Dziewczynie aż zaschło w ustach na myśl, że teraz oto może poznać jego rysy i prawdziwą tożsamość. Zawahała się jednak, gdyż szpiegowanie bezbronego jak dziecko śpiącego wydało jej się czynem haniebnym. Przypomniała sobie, że on nie miał podobnych skrupułów, osunęła się więc na kolana przy posłaniu i podniosła świecę. Nagle z fałd koca wystrzeliła dłoń i złapała przegub dziewczęcej ręki. Świeca pofrunęła w przeciwną stronę i rozbiła się o ścianę, a Smok i Gwendolyn w mgnieniu oka zamienili pozycje. Ona leżała na plecach, on górował nad nią, oparłszy muskularny tors na miękkich krągłościach jej piersi.

- Czy panna Wilder coś tu zgubiła... zapewne zdrowy rozsądek?

Ach, więc znowu zwracał się do niej oficjalnie? Przypomniała sobie, jak gorącym szeptem wprost w rozchyłone usta powtarzał jej imię w namiętnej litanii i przeszył ją gwałtowny ból utraty.

- Zgubiłam jedynie moją świecę, Jaśnie Panie Smoku!

- Cóż za ulga... skoro zamierzała mnie panna podpalić.

- Teraz zapewne wypomni mi pan, że powinnam mu dziękować za łaskę, gdyż nie zamierza pan poderżnąć mi gardła.

- Jeszcze nie pora na podziękowania. Noc taka młoda...

Przełknęła ślinę, sparaliżowana drapieżnym błyskiem oczu i ciepłym promieniującym z męskiego ciała. W jego oddechu nie czuła odoru whisky, co utwierdziło ją w przekonaniu, że był groźniejszy trzeźwy niż w alkoholowym upojeniu. Smok stoczył się z niej i podniósł ją na nogi. Sam podszedł do paleniska i żeliwnym pogrzebaczem rozrzucił ostatnie uparte ogniki żaru.

- Cóż za irytująca istotka z tej panny Wilder! Gdy chcę ją zatrzymać, próbuje uciec, a gdy ułatwiam jej ucieczkę, nie daje się odgonić!

- Czy chce pan mnie odgonić?

Odwrócił się do niej wciąż jednak ukrywał twarz w mroku izby:

- Nieważne, czego ja chcę... dałaś mi to wyraźnie do zrozumienia zeszłej nocy.

Bolesnie świadoma, że dane jej było zaznać rozkoszy, których on nie dostąpił, Gwendolyn poczuła na twarzy rumieniec, bardziej nawet piekący niż gorączka, która ogarnęła jej ciało. Smok zaś dodał szeptem:

- Powinna się pani częściej rumienić, panno Wilder. Do twarzy pani z rumieńcem!

Dotknęła ręką policzka:

- Skąd pan...
- Smoki widzą w ciemnościach, nie wiedziała pani?

Jeśli widział jej rumieniec, dostrzegł również na pewno, że wreszcie zadbała o swoją urodę. Wiele czasu zabrało jej takie ułożenie włosów, by spadały na plecy migotliwą kaskadą złota. Starannie wybrała suknię, by uwydatniała jej zaokrąglone wdzięki. Mógł sobie wyobrazić, jak bardzo starała się ujrzeć siebie jego oczami.

Opanowała się na tyle, że mogła odpowiedzieć oschłym, równym głosem:

- Podejrzywałam to. Mrok nigdy nie dawał mi ochrony przed pana natrętnym spojrzeniem.
- Czuła więc pani, że potrzebuje przede mną ochrony?
- Bardziej, niż pan sądzi! - odparła ostro, lecz jednocześnie przysunęła się bliżej. Jego oczy błysnęły ostrzegawczo w ciemności.

- Jeśli przyszła tu pani, by mnie pożegnać przed powrotem do swej czarującej osady, mogę pani oszczędzić kłopotu. Sam nazajutrz opuszczam zamek.

Serce zamarło jej w piersi:

- Bez tysiąca funtów, po które pan tu przybył?
- Doszedłem do wniosku, że koszt poszukiwań może przewyższyć wartość znaleziska.
- Kiedyż to zaczął pan tak sądzić?

Spodziewała się, że zbyje ją jakąś kpinką, ale odpowiedział tonem, w którym próżno było szukać śladów humoru.

- Wczorajszej nocy - gdy wyrwałaś się z moich objęć jak z uścisku paskudnej bestii.

Potrząsnęła głową.

- Oboje pomyliliśmy się wczoraj, Jaśnie Panie Smoku! To

nie pocałunek dziewicy ma moc zmieniania potwora w mężczyznę, a dziewczęcia w kobietę... Pocałunek jest słodki, lecz istnieje nieporównanie silniejsze zaklęcie.

- Przestań! - przerwał jej niegrzecznie. - Pragnę mieć cię w moim łóżku, ale nie zniosę, byś ze względu na mnie sprzeniewierzyła się swoim zasadom.

- Czy sądzisz, że właśnie w tym celu przyszedłam tu dzisiaj? - Podeszła jeszcze bliżej.

- Ostrzegam, że jeśli okażesz się do tego stopnia lekkomyślna, nie zdołam ci się oprzeć! Lecz jutro będę zdolny cię opuścić. - Podniósł dłoń, jakby rzucając urok, powstrzymujący ją przed nierozważnym krokiem.

Gwendolyn pochwyliła wzniesione palce.

- Chcę ci zaoferować coś potężniejszego od pocałunku i trwalszego od pieczyoty! - Przycisnęła ich splecione dłonie do piersi, wiedząc, że mężczyzna poczuje zdyszany trzepot jej serca. - Moją miłość!

Gdyby nawet wyciągnęła zza pleców pochodnię i oświetliła jego twarz, Smok wytrzymałby przy niej. Rozumiał, że w tych dwóch słowach sprzeniewierzyła się temu, co było dla niej skarbem cenniejszym niż cnota, strzeżonym zazdrośnie od wielu lat - swej dumie.

- Nie bądź małą idiotką! Jak mogłabyś zakochać się, nie znając czyjegoś imienia i nie widząc twarzy?

- Sama nie wiem. - Podniosła jego dłoń do ust. - Wiem tylko, że wyjeżdżasz jutro, zabierając moje serce... dokądkolwiek się udasz.

Drżące wargi Gwendolyn musnęły z napięcia kłykcie i Smok mimowolnie jęknął, czując, jak pieczyota odrywa z jego serca łuski pancerza, w który je uzbroił. Wciągnął w nozdrza woń jej włosów, wplótł palce w migotliwą miękkość

pukli i zniżył wargi ku jej ustom. Już raz okazał godną pożałowania głupotę, zastanawiając się, kto posiadał większą moc: Smok czy dziewica. Teraz, gdy usta Gwendolyn rozchyliły się pod naporem głodnych warg bestii, błagając o zwrot podarunku miłości, kolana ugięły się pod nim i osunął się na klęczki.

Przeciągły rumor, który doszedł z oddali, nie zdziwił go zbyt. Wziął go początkowo za zwiastuna burzy, bo w uszach szumiało mu tak mocno, że równie dobrze mogła to być krew tętniąca w rozgorączkowanych żyłach, jak i armatnia kanonada...

- Zabić Smoka! Zabić Smoka!

Gwendolyn zadrżała na dźwięk stłumionych odległością krzyków.

- Co u diabła...?- Smok przechylił głowę, nasłuchując coraz głośniejszego zaśpiewu:

- Zabić Smoka!

Zabić Smoka!

Ściąć mu głowę!

Wtedy szczeźnie!

I nie będzie nas już nękał!

Smok zaklął pod nosem, ujął twarz Gwendolyn w dłoń i wycisnął na jej wargach pospieszny, namiętny pocałunek.

- Wybacz, że przerywam naszą randkę, ukochana, ale mam wrażenie, że nadchodzą jacyś nieproszeni goście!

I zanim zdołała złapać oddech, chwycił jej dłoń i pociągnął ją za sobą w górę schodów.

Smok nazwał ją ukochaną!

Gwendolyn, potykając się, biegła za nim po schodach, szarpana na przemian obawą i uniesieniem. Zdrowy rozsądek ostrzegał, że mężczyzna mógł posłużyć się czułym epitetem zdawkowo, a nawet drwiąco, lecz serce nie zważało na umiar i śpiewało z radości.

Tym większa szkoda, że niebawem czeka ich śmierć...

Zanim wybiegli z podziemi na zamkowy dziedziniec, monotony zew nadchodzącego tłumu rozpadł się na pojedyncze okrzyki i wycia. Smok przycisnął plecy do muru i objął ją ramieniem w pasie, uparcie ciągnąc za sobą.

- Nie dotarli jeszcze do zamku! - szepnął. - Jeśli zdołamy się wspiąć na blanki, zanim wtargną na podwórzec, zdążę przesłać sygnał na statek.

Nie musiał więcej wyjaśniać. Gwendolyn wiedziała, że pójdzie za nim wszędzie, do samego piekła, jeśli tak im wypadnie. Ręka w rękę przebiegli wartownię, przemknęli obok drzwi do kaplicy i pod łukowym sklepieniem dostali się na wewnętrzny dziedziniec zamkowy. Nie miała czasu, by zerkać

na jego twarz, choć mignęła jasną plamą w blasku księżyca przeświecającego przez wyłamane drzwi. Musiała oszczędzać siły, by pędząc co tchu w płucach, dotrzymać mu kroku. Pognali w górę schodów. Raptem szara smuga wystrzeliła koło nich. Gwendolyn zatrzymała się jak wryta, lecz wnet rozpoznała Toby'ego, który pierwszy raz pokazał, iż umie biegać. Górną galerią dostali się na kręte kamienne schody prowadzące na wieżę, identyczną jak ta, w której przebywała Gwendolyn. Smok znał każdy zakręt i kamień na ich drodze i prowadził dziewczynę z niezmaconym spokojem przez stopy gruzu i wyrwy w posadzce, chociaż z drapieżyzy zmienił się w ściganą ofiarę. Skręcając na pierwszym podeście, niemal zderzyli się głowami z Tupperem. Jasnowłosa Anglik miał potargane włosy, czarna jedwabna koszula była w strzępach. Stracił jeden but, a ze skroni spływała wąską stróżką krew.

- Zdołałem im się wymknąć i zawiadomiłem statek! - wykrztusił ostatkiem tchu i zgiął się wpół, próbując złapać oddech. - Załoga pewnie spuszcza już szalupy.

W urywanym tonie i rozbieganych oczach Gwendolyn rozpoznała typowe oznaki hysterii i wyczerpania. Oderwała od sukni falbankę i wytarła krew zalewającą mu czoło.

- Nie rozumiem, Tupper! Jak do tego doszło? - spytała.

Smok zmierzył przyjaciela badawczym spojrzeniem.

- Właśnie, mój Tupper. Bądź uprzejmy wyjaśnić pannie Wilder, co narobiłeś... i to szybko! - rzucił spojrzenie przez okno i z powrotem przeniósł wzrok na Gwendolyn. Zdołał ponownie ukryć twarz w cieniu, choć korytarz jaśniał coraz silniejszym światłem licznych pochodni, niesionych przez napastników.

- Wszystko to moja wina... śledzili Kicię, kiedy wymknęła się na schadzkę ze mną i...

- Kicię? - powtórzyła Gwendolyn. Tupper wzdrygnął się boleśnie, gdy wypuściła z ręki prowizoryczny bandaż i złapała go za łokieć. - Moją Kicię?

- Moją- podkreślił z naciskiem Tupper. - Przynajmniej taką miałem nadzieję, gdy ją poprosiłem...

- Nic mnie nie obchodzi, czyj to był kot! - przerwał mu Smok i pokazał palcem za okno. - Powiedz mi tylko, czemu ściągnąłeś nam na głowy wściekłą tłuszcę wieśniaków, którzy domagają się mojej głowy!

Tupper rzucił mu spojrzenie pełne poczucia winy.

- Nie twojej, ale mojej. To mnie biorą za Smoka! - krzyknął. Smok odezwał się śmiertelnie opanowanym głosem:

- Panie Tupperingham, czy może pan wytłumaczyć, jak doszli do tego osobliwego wniosku?

Tupper przybrał wyraz twarzy niewinnego cherubina.

- Naprawdę nie mam pojęcia... ale ścigają mnie już od kilku godzin. Polują na mnie jak na lisa. Już byliby mnie schwytali, gdybym się nie potknął i nie zsunął do skrytego pod liśćmi parowu. Wtedy chyba zgubili trop i postanowili ruszyć na zamek.

Smok przysunął się wzdłuż ściany do okna, wciąż skrywając twarz w cieniu muru. Wieśniacy byli już tak blisko, że można było rozróżnić poszczególne sylwetki. Powietrze przeciął przenikliwy bojowy zew szkockich górali, którego ta dolina nie słyszała od z górą piętnastu lat. Gwendolyn zadrzała. Smok odezwał się głosem przepojonym goryczą:

- Gdyby te psie syny wykazały się równym zapałem do bitwy w obronie przywódcy swego klanu, mógłby żyć do dzisiaj!

Tupper szarpał go za rękaw i mówił gorączkowo:

- Nie ma czasu do stracenia! Musimy się spieszyć. Jeśli

uda nam się dotrzeć do nadbrzeżnej pieczary, zanim tłum wtargnie na zamek, mamy szansę ocalić głowy!

Smok okręcił się na pięcie i położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Słusznie, stary... chodźmy!

Ujął dłoń Gwendolyn, ale gdy uszedł kilka kroków, zdał sobie sprawę, że dziewczyna nie ruszyła z miejsca. Przynaglił ją uściskiem dłoni.

- Chodźże, Gwendolyn!

- Ja nie idę - szepnęła.

- Co to znaczy, nie idziesz? Słyszałaś, co powiedział Tupper! Musimy się pospieszyć! Chyba oszalałaś, jeśli sądzisz, że zostawię cię na łasce tej dziczającej tłuszczy. Już raz omal cię nie zamordowali. Nie pozwolę im zrobić ci krzywdy!

Gwendolyn oparła obie dłonie na jego piersi. Czuła zamęt w głowie, ale gdy się odezwała, w jej głosie brzmiał ton rzeczowej perswazji.

- Tym razem nie polują na mnie, tylko na Smoka. Sądzą, że nie żyję. Być może szok, jakiego doznają, ujrawszy mnie w dobrym zdrowiu, da trochę czasu tobie i Tupperowi, byście zdążyli dobiec do szalup. Mogę nawet próbować ich zatrzymać, podczas gdy wy będziecie wiosłować do statku.

- Nie zostawię cię, do diabła!

- Nie masz wyboru. Jeśli znajdą nas tutaj razem, moje życie będzie równie zagrożone, jak twoje. - Pchnęła go z całej siły: - Idź już, na litość boską! Zanim na nas wszystkich ściągniesz śmierć!

Bernard wyrzął przez okno, po czym zerknął przez ramię na Tuppera, który czekał na trzecim schodku z pochyloną głową. Przyjaciel nie chciał ani słowami, ani żadnym znakiem wpływać na jego decyzję. Za oknem tężało światło wielu

pochodni. Jeśli zmitręży jeszcze chwilę, na marne pójdzie cała maskarada.

Ujął jej twarz w dłonie i przesunął kciuki wzdłuż kości policzkowych, chcąc ostatnim dotykiem utrwalić ich kształt w pamięci. Gwendolyn zrozumiała, że to pożegnanie, ale Smok odezwał się zapalczywie:

- Wróć po siebie! Przysięgam... na własne życie.

Dotknęła jego twarzy i uśmiechnęła się przez łzy, które wypełniły jej oczy aż po brzegi.

- Kiedyś mi powiedziałeś, że przeze mnie żałujesz, iż jesteś człowiekiem dotrzymującym słowa. Cóż... teraz i ja żałuję tego samego!

I zanim mógł złożyć kolejną przysięgę, której nie będzie w stanie dotrzymać, wplotła dłonie w zmierzwione ciemne kędziory i przyciągnęła jego usta do swoich. Pocałunek nie przypominał poprzednich; był całkowitym zjednoczeniem serc, słonym od łez i słodkim wspomnieniem minionych obietnic i żalów, zmarnowanych snów i niespełnionych pragnień.

Wszyscy troje usłyszeli jednocześnie łoskot, gdy ciżba wyrwała z zawiasów i obaliła na ziemię resztki masywnych wrót. Tupper wydał ostrzegawczy okrzyk, a Gwendolyn popchnęła Smoka w kierunku schodów i krzyknęła:

- Idźcie! Zanim będzie za późno!

Rzucił na nią ostatnie spojrzenie i zanurzył się w mroku schodów, depcząc przyjacielowi po piętach. Gwendolyn stała wsłuchana w zamierające echo kroków. Wygładziła włosy i zdziwiła się, że potrafi być taka spokojna. Niech nawet zamek wraz z jej marzeniami stanie w płomieniach i zapadnie się wokół niej! Nic nie miało znaczenia wobec najważniejszej misji: musiała uratować Smoka.

Gdy górale, zgromadzeni na głównym dziedzińcu zamku Weyrcraig, ujrzeli Gwendolyn na szczycie szerokich kamiennych schodów, zastygli z osłupienia. Dziewczyna sądziła, że bierze się ono tylko z zaskoczenia, iż widzą ją żywą i zdrową, lecz było w tym coś więcej. Nie zdawała sobie sprawy, jak porywający przedstawia widok: policzki kwitły rumieńcem od pocałunku Smoka, obcisła suknia podkreślała apetyczne krągłości figury, a pawobłękity odcień tafty wzmacniał barwę roziskrzonych oczu. Rozpuszczone włosy spadały jej na plecy falami złotego przepychu. Ognie pochodni wzniecały w nich iskry żaru, a promienie księżyca osrebrzały je lodowatym połyskiem zimowych sopli. Podniosła głowę wysoko i dumnie.

- Gwennie! - Kicia pierwsza przerwała ciszę i zaczęła się wyrwać z mocnego uchwytu Nessay. - Smok powiedział mi, że żyjesz! Oni próbowali mnie przekonać, że jestem głupią idiotką, wierząc w jego słowa, ale ja wiedziałam, że on nigdy by mnie nie okłamał!

Zaskoczona Gwendolyn zamrugła, ale wnet zdała sobie sprawę, że Kicia nie może mówić o jej Smoku. Nagle mętne wyznanie Tuppera nabrało sensu. Nessa i Glynnis gapiły się na nią osłupiałym wzrokiem, jakby widziały ją po raz pierwszy w życiu. Przebiegła oczyma ciżbę w poszukiwaniu Izzy, ale jej jedyne go poplecznika nie było wśród tłumu. Wierna służąca musiała zostać przy boku schorowanego tatki. Z największej grupki wieśniaków odłączył się Ailbert w eskorcie barczystych synów.

- Odsuń się, dziewczeczko! - polecił. - Do ciebie nic nie mamy.

- Zaskoczy cię więc nowina, że ja mam coś do ciebie! To przecież ty zostawiłaś mnie tutaj na pewną śmierć nie dalej, jak dwa tygodnie temu!

- Nieźle sobie poradziłaś - warknął Ross i jego wzrok powędrował ku piersiom podniesionym wysoko przez śmiały wykrój dekoltu. Gwendolyn nagle pojęła znaczenie pogardy, która płonęła w jego oczach, gdy na nią patrzył. To była żądza cielesna! Ileż to razy podszczypywał ją, podstawił nogę i przewracał na ziemię, prześladował okrutnymi przezwiskami... a wszystko po to, by ją ukarać za żądę, jaką w nim budziła. Zwróciła się do niego łagodnym tonem:

- Owszem, Ross. Chyba radzę sobie lepiej niż ty. Nigdy nie czułam się aż tak bezwartościowa, by dokuczać innym i starać się ich upokorzyć, w ten sposób dodając sobie znaczenia.

Kilka osób wciągnęło ze świstem powietrze. Ross uczynił krok w jej stronę, ale poczuł na ramieniu dłoń młodszego brata, który zaczął perswadować Gwendolyn:

- Nie masz chyba zamiaru bronić tego całego Smoka? Przebierał wedle woli i gustu wśród wszystkich dziewcząt z wioski! Zabawiał się z małą Kicią i Bóg sam wie, ile jeszcze niewiniątek ma na sumieniu!

Kicia zanosła się szlochom.

- Chciał wziąć mnie za żonę!

Nessa prychnęła.

- Gdybym dostała szylinga za każdym razem, gdy to słyszałam...

- Przelicz dobrze zawartość swojej sakiewki! - przycięła jej Glynnis, wywołując nerwowe śmiechki wśród tłumu.

Wzrok Ailberta złągodniał. Kowal patrzył teraz na Gwendolyn z błagalnym błyskiem w oczach.

- Zawsze była z ciebie poczciwa dziewczyna. Dobra i mądra - powiedział. Mięsień w szczęce Gwendolyn zaczął drgać nerwowo na dźwięk znajomych słów. - Chyba rozumiesz, że ten łajdak wystawił nas wszystkich na dudków, łącznie z tobą?



Okradał nas, okłamywał i chciał nas wyzuć z prawowitego mienia!

- Miał swoje powody - odrzekła, żałując, że ich nie poznała.

Ailbert przyznał:

- Owszem, to być może... jak i my mamy powody, by tu dzisiaj przyjść i polować na wredną smoczą głowę. Odstap, kobieto, zanim mnie zmusisz do czynów, których oboje pożałujemy!

Gwendolyn nie miała pojęcia, czy zwlekała dostatecznie długo, by umożliwić Tupperowi i Smokowi dotarcie do szalupy, lecz czuła, że dłużej nie zdoła grać na zwłokę. Gdy Ailbert ruszył do przodu, pewien, że dziewczyna odsunie się i da mu przejść, zbiegła jak błyskawica po schodach i wyrwała widły z rąk babci Hay. Stara kobieta krzyknęła zaskoczona, lecz Gwendolyn, nie zwracając na nią uwagi, natarła orężem na pierś kowala. Mężczyzna rozpaczliwie uchylał się od pchnięć, co wyglądało, jakby uderzył w skoczne tany.

- Niech cię piekło pochłonie, dziewczyno! - dyszał, cofając się w krąg wieśniaków. - Czyś ty naprawdę do reszty rozum postradała?

- Założę się, że nie rozum zaprzedała, lecz duszę! - krzyk Rossa odbił się echem przerażenia wśród poblądłej cizby - Spójrzcie tylko na nią: czy poznajecie słodką Gwendolyn Wilder, która urodziła się i dorastała wśród nas?

W ciszy, która zapadła, Gwendolyn przypomniawszy sobie, że Rossowi zbywało wprawdzie na inteligencji, lecz wynagradzał to lisią przebiegłością. Buńczucznym krokiem wysunął się przed tłum, choć bardzo się pilnował, by nie wejść w zasięg wideł.

- Pamiętajcie naszą Gwendolyn? Gruba dziewczyna o polspolitej twarzy, łąziła wszędzie z głową do ziemi i nosem

w jakiejś księdze. Byłaby kontenta, gdyby przyszło jej dokończyć żywota na opiece nad ojcem półgłówkiem!

- Mój ojciec to bohater! Zapłacił utratą rozumu za tchórzstwo twojego rodzica i wszystkich pozostałych mężczyzn w Bal-lybliss!

Ailbert zbladł jak płótno, lecz nie odezwał się ani słowem w swojej obronie. Ross skrzywił się szyderczo.

- A jaką cenę zapłaciłaś ty, dziewczko, za względy Smoka? Oddałaś mu swoją cnotę czy duszę nieśmiertelną? - Odwrócił się twarzą do gromady. - Spójrzcie na nią! Włosy rozpuszczone, cycki wylewają się z sukni jak u jakiejś ladacznicy. Ośmiela się sprzeciwić sąsiadom, bo wie, że Smok użyczył jej mocy, by mogła rozpalić chuć każdego obecnego tu mężczyzny! - Zniżył głos, zmuszając wieśniaków, by ustawili uszy, a oni słuchali go coraz uważniej i pożerali Gwendolyn oczami. - Sama przyznała, że przebywała tu razem z bestią przez czternaście nocy. Skąd wiemy, jakich niegodnych sztuczek nauczyła ją w tym czasie potwór z piekła rodem?

Lachlan przełknął hałaśliwie ślinę, aż jabłko Adama w chudej grdyce podskoczyło konwulsyjnie. Nawet po stoicku wstrze-mięźliwy zazwyczaj Ailbert wyciągnął z kieszeni chustkę i przetarł spocone czoło, ściągając na siebie wściekłe spojrzenie połowicy.

Gwendolyn krzyknęła:

- Smok nie jest wcale potworem! Żaden z was nie dorasta mu nawet do pięt jako mężczyzna!

Nienawidziła Rossa za to, że ohydnyimi słowami zbrukał czystość chwil, które spędziła razem ze Smokiem. Ross uśmiechnął się triumfalnie i wykrzyknął:

- Widzicie? Właśnie tego się obawiałem! Potwór rzucił na nią urok!

- Jakżeby mógł to zrobić, skoro sam przed chwilą przyznałeś, iż jest zaledwie śmiertelnikiem? - wytknęła mu Kicia. Łzy stanęły w oczach Gwendolyn. Przymknęła sobie, że jeżeli przeżyje, wyściska serdecznie swoją małą siostrzyczkę.

Ross zbył dziewczuskę wzruszeniem ramion.

- Ostatecznie i ja mogłem się pomylić, no nie?
- A może to na ciebie rzucono czar? - podsunęła Gwendolyn.

Wśród tłumu rozległy się nerwowe chichoty, ale ucichły pod kosym spojrzeniem Rossa.

- Mówię wam: trzeba spalić tę dziewczuchę jak wiedźmę!
- Tak jest, spalmy ją! - podjęła wezwanie jego matka i przeszła Ailberta triumfalnym spojrzeniem. Wnet zawtórowali im też inni. Gwendolyn poczuła, jak po plecach spływa jej lodowata strużka potu. Jej wzrok padł na pal, do którego wieśniacy przywiązali ją owej pamiętnej nocy i zostawili na pastwę Smoka. Słup wciąż tkwił mocno między głazami bruku w samym środku podwórca. Będzie im łatwo przywiązać ją do niego, zgromadzić u jej stóp stos drewnianych odłamków i przytknąć smolną pochodnię! Zaczęła się cofać krok za krokiem, gwałtownie zataczając w powietrzu łuk widłami. Jeżeli rzuca się na nią wszyscy naraz, będzie zgubiona! Podniosła głos, by przekrzyczeć zgiełk podnieconego tłumu:

- Smok nie rzucił na mnie czarów i nie jest potworem, tylko człowiekiem! Dobrym, uczciwym człowiekiem...

Wieśniacy napierali coraz ciasniejszym kręgiem. W ostrzach sztyletów i mieczy odbijały się mdłe ogniki pochodni. Glynis i Nessa stały bezradnie na skraju wrzeszczącego tłumu. Kicia wyrwała się wreszcie z uchwytu Nialla i rzuciła się na pomoc siostrze, lecz pochłonęła ją fala atakujących. Gwendolyn cofała się coraz szybciej, aż dotarła do szczytu schodów, skąd miała widok na rozgwieżdżone niebo. Nie rozległ się żaden grzmot,

blasku księżyca nie przysłonił cień skrzydlatego wybawcy, spieszącego na ratunek... Gdyby nie uwierzyła naiwnie w moc Smoka, nie stałaby teraz w sklepionym korytarzu, zdana na pastwę oszalałych wieśniaków. Mimo wszystko nie żałowała niczego: ani jednego pocałunku, ani jednej pieśczoty. Patrzyła, jak Ross podchodzi bliżej, mając u boku ojca i brata. Wcisnęła się w mroczny załom korytarza.

Nagle czyjeś ramię otoczyło ją od tyłu jak ciepły kokon. Poczowała woń drzewa sandałowego i goździków i krew zaśpiewała w żyłach triumfalną pieśń. Smok wrócił po nią! Dotrzymał obietnicy.

Mężczyzna stanął przed nią w kręgu chybotliwego światła pochodni, a wieśniacy na jego widok cofnęli się i zastygli w zbiorowym osłupieniu. Gwendolyn nie była zaskoczona ich reakcją, gdyż dymiący pistolet w dłoni jej obrońcy obrócił antyczny oręż górali -pordzewiałe miecze i sztylety -w zabawki dzieci, które udają żołnierzy. A gdy przemówił, nie usłyszała beznamietnego, odmierzonego akcentu Anglika, lecz rozlewną, kipiącą namiętnością wymowę rodowitego Szkota?

- Jeżeli chcecie zachować życie - powiedział - lepiej bez zwłoki opuśćcie dziedziniec, bo dopóki potomek klanu Mac-Culloghów sprawuje z zamku Weyrcraig rządy nad tymi włościami, nie będzie tu palenia czarownic ani ucinania głowy smokom!

## Część druga

*Tak słodko fruwałam z kwiatka na kwiatek,  
Smakując rozkosze wrzosowisk,  
Aż się natknęłam na Księcia Miłości,  
Gdy w słońca blasku żeglował.*

William Blake

Gwendolyn zamarła w objęciach Smoka, na próżno usiłując otrząsnąć się z szoku wywołanego głosem, którego nie spodziewała się usłyszeć już nigdy w życiu. Bezsenne noce i zbyt wiele cygar pogłębiły chłopięcy tenor, aż nabrał aksamitnej barwy barytonu, lecz intonacja pozostała znajoma, jak bicie własnego serca. Ross zbladł, jakby ujrzał ducha, choć muskularne ramię opasujące Gwendolyn było aż nazbyt realne.

Czas cofnął się do chwili, gdy dwa tygodnie temu znalazła się na zrujnowanym dziedzińcu. Ujrzała Smoka w płaszczu, którego poły wydymały się na wietrze niczym skrzydła. Z nozdrzy płynęły leniwe strużki dymu. Gwendolyn patrzyła, niezdolna oderwać oczu, jak z kryjówki cienia wyłania się twarz znamionująca wewnętrzną siłę i piękno ducha, twarz, która nie mogła należeć do żyjącej istoty! Umysł wyćwiczony w racjonalnym rozumowaniu odrzucał tę wizję, a pamięć zepchnęła ją w otchłań zapomnienia - aż do tej chwili.

Gwendolyn powoli odwróciła się przodem do swego wybawcy.

Natychmiast zrozumiała, że tylko głupiec mógł wziąć Ber-

narda MacCullogha za zwykłego śmiertelnika. Choć w szmaragdowych oczach migotała iskra iście szatańskiego temperamentu, oblicze promieniowało wzniosłą czystością, godną archanioła. Zdradzającą zdecydowanie linię czoła łagodziła burza ciemnych kędziorów, związanych niedbale na karku w aksamitnie czarny warkoczyk. Szczęka należała do człowieka nieprzejednanych zasad, lecz usta upewniały, że ich właściciel poznał wartość rozrywek - i to nie tych pobożnych, lecz wywodzących się z królestwa pogańskich uciech zmysłowych, zdolnych skusić najnotliwszą z kobiet. Żadne znamię, blizna czy deformacja nie szpeciła harmonijnych rysów twarzy, choć żar słońca, chłosta wiatru i lata rozpusty wycisnęły swoje piętno na czystej chłopięcej urodzie. Gwendolyn nie mogła się powstrzymać: powiodła koniuszkami palców po zmarszczkach przecinających czoło, dotknęła promyczków rozchodzących się strzeliście z kącików oczu i bruzd okalających usta. Zmarszczki zdradzały naturę podatną na emocje, lecz to tylko czyniło go droższym jej sercu. Gwałtownie cofnęła dłoń. Poczowała ukłucie bólu, jakby Smok zdradził ją, okazując się pięknocią, zamiast oczekiwanej bestii. Miała się za osobę mądrą i przenikliwą, lecz on wywiódł ją w pole! Nie mogła znieść jego widoku, a jednocześnie nie potrafiła oderwać od niego oczu. Zaczęła wysuwać się z jego ramion.

Nie przypominał smukłego chłopca sprzed piętnastu lat. Zachował szczupłe biodra, lecz był wyższy i bardziej barczysty, niż mogła się spodziewać. Bose stopy i koszula rozchełstana na szerokiej piersi podkreślały jeszcze siłę drzemiacą w napiętych mięśniach. Naładowany pistolet pasował do zagłębienia dłoni, jakby mężczyzna się z nim urodził.

Gwendolyn nie przestawała się cofać, chcąc uciec przed nieuchronym, lecz przybysz ujął jej przegub żelaznymi palcami

i przerzucił uwagę z tłumu na jej zachmurzoną twarz, a ciemne źrenice pomroczyły jeszcze bardziej, gdy zajrzał jej w oczy.

- Nie mógłbym cię zostawić - szepnął z napięciem. - Musiałem wrócić!

Słyszac dobrze znany głos Smoka z ust zdrajcy, poczuła, że nie jest w stanie znieść więcej.

- Przynajmniej tym razem nie musiałam czekać piętnastu lat!

Szarpnęła się, usiłując uwolnić z uchwytu, lecz Bernard przyciągnął ją do siebie niecierpliwym gestem i zasyczał przez zaciśnięte zęby, strzygąc oczami w stronę wciąż oszołomionych wieśniaków:

- Panna Wilder zdaje się urażona faktem, iż przeżyłem kaźń mojego rodu... Szalenie mi przykro, ale wydaje mi się, iż mamy obecnie nieco pilniejsze sprawy do załatwienia. Na przykład ocalenie własnej skóry...

- A jeśli nie jestem już dłużej pewna, czy warto ocalić twoją? Co uczynisz, jeśli cię odstąpię? - Zerknęła na pistolet. - Zastrzelisz mnie?

Nieomal pragnęła, by tak zrobił. Nie czuła się równie głęboko upokorzona od dnia, gdy spadła z owego wiekowego dębu na skraju wioski prosto na niego. Szkoda, że wtedy nie rozkwaśiła go na placek, oszczędzając sobie udręki ponownego zakochania! Ale zanim Smok zdążył znaleźć odpowiedź, z ruin wyłonił się Tupper, pocierając fraszobliwie brodę.

- Jasny gwint, człowiecze! Nie musiałeś ogłuszać mnie znieńacka! Mogłeś grzecznie poprosić, żebym pozwolił ci wyskoczyć z tej szalupy, a ja na pewno nie stawiałbym ci przeszkód!

Gwendolyn spojrzała uważniej na nogi Bernarda, na przemoczone spodnie i wodorosty oplatające bosa łydki.

- Smok! - padł okrzyk z milczącego tłumu i wszystkie

głowy zwróciły się w kierunku ciemnowłosej figurki, która zwinnie wdrapała się na schody i zarzuciła ramiona na szyję Tuppera.

- Kiciu! - policzki młodzieńca zapłonęły rumieńcem, lecz oddał uścisk z rozczulającym zapałem.

Bernard mruknął do ucha Gwendołyn:

- Czy to w końcu twój „kociak”, czy jego?

- Nie jestem już pewna - odszepnęła Gwendolyn sztywno, patrząc, jak Tupper przygładza potargane loki Kici.

- Jak to może być, że ten tutaj mieni się Smokiem? - zapytała zrzędlwym tonem babcia Hay. Kościstym paluchem wskazała Bernarda: - Myślałam, że to ten!

- Nie bądź głupia! - ofuknął ją stary Tavis i przydreptał do stóp schodów. - Wszyscy widzą, że oto sam MacCullogh powrócił z zaświatów, by wziąć na nas pomstę!

Ponure obwieszczenie starca wywarło na zebranych ogromne wrażenie: niektórzy ukradkiem zrobili znak krzyża na piersi, inni zaczęli wycofywać się w stronę wrót. Aż do tej chwili Gwendołyn nie pojmowała do końca, czemu wieśniacy tak się stropili na widok Smoka. Wstrząśnięta, zdała sobie sprawę, że chłopiec o szmaragdowych oczach wyrósł na wierną replikę swego ojca. Ailbert wepchnął Tawisa z powrotem w tłum i zaczął krzyczeć:

- Przestań pleść bzdury, załosny starcze! Byłeś razem z nami, gdy rankiem po ataku Cumberlanda wspięliśmy się na zamkowe wzgórze. MacCullogh wydawał właśnie ostatnie tchnienie.

Gwendolyn zerknęła ukradkiem na twarz Bernarda. Wyraziste rysy były nieruchome i wyprane z wszelkiej emocji. Przeszedł ją chłodny dreszcz.

- MacCullogh nie żyje! - Ailbert zwrócił się do gromady tak żarliwie, jakby próbował przekonać nie tyle ich, co samego

siebie. - Widzieliśmy wszyscy, jak umiera, i słyszeliśmy jego ostatnie słowa.

*Niech smocze skrzydła biją na waszą zagładą  
A oddech płomienisty wasze groby spali,  
Niech pomsta sprawiedliwa zaciąży nad wszystkimi,  
Niewinną krew przeleje odwetu słuszny czyn!*

Głęboki baryton Bernarda przelewał się nad głowami wieśniaków zastygłych w przerażeniu. Wymawiając ostatni wyraz, wzruszył barczystymi ramionami.

- Ojciec uważał się nie tyle za poetę, co uczonego, ale ten poemacik wydaje się wcale niezły - przebiegł roziskrzonym pogardą wzrokiem ucichłe twarze. - Szczególnie z ust kogoś, czyje życie ucieka, a ostatnie krople krwi wsiąkają w ziemię.

- Ach, to nie ojciec... lecz syn! - Babcia Hay kurczowo ścisnęła krucyfiks pod fałdami tuniki.

Ailbert szepnął:

- Ależ twoje ciało też znaleźliśmy, chłopcze! Zwęglone resztki w kącie wielkiej sieni. Tymi oto rękami owinąłem je w całun i przerzuciłem przez grzbiet twojego kucyka... więc jak...?

- Właśnie, jak? - zawtórowała srogo Gwendolyn.

Bernard rzucił jej wielomówiące spojrzenie i postąpił do przodu.

- Pewnie znaleźliście ciało któregoś z nastoletnich zwiadowców Cumberlanda, którego trafił zabłąkany angielski pocisk. Gdy wy uprzętałiście zabitych, mnie już dawno tu nie było. Schwytali mnie Anglicy.

Te trzy zwykłe słowa zamykały w sobie los okropniejszy, niż zrodzony w najgorszym koszmarze. Gwendolyn nawet nie próbowała sobie wyobrazić, jakie udręki musiał wycierpieć zielonooki, niewinny chłopiec z rąk wrogów ojca.

- To prawdziwy cud! - Żona Ailberta porwała się w kierunku schodów, tratując niefortunnych ziomeków, co znaleźli się na drodze jej potężnych stóp. Padła na kolana przed Bernardem, porwała jego dłoń i zaczęła obsypywać ją pocałunkami uwielbienia. - Wreszcie, po tylu latach, Bóg wynagrodził naszą cierpliwość i zesłał nam naszego prawowitego pana!

Bernard wyrwał rękę i otarł ją o spodnie. Wieśniaczka wycofała się, zgięta w kornym pokłonie. Jej występ wzbudził w tłumie ożywione szepty, niektórzy zaczęli wznosić nieśmiało okrzyki powitalne, lecz większość górali wciąż gapiła się na przybysza bardziej osłupiała niż wniebowzięta. Gwendolyn zauważyła z satysfakcją, że wśród wyjątków znalazły się jej starsze siostry. Blask w oczach Glynnis łątko przyszło jej rozszyfrować jako chciwość, podczas gdy Nessa obrzucała Bernarda zgłodniałym spojrzeniem, jakby był soczystym kąsem pieczeni, a ona od miesięcy żywiła się ziemniakami bez okras.

- On kłamie! - Ross zastąpił matce drogę. Szeroki kark nabiegł krwią z nadmiaru emocji. - Wszyscy wiemy, że Anglicy nie brali jeńców pod Culloden ani tutaj! Ten człek to samozwaniec - ot, kim jest naprawdę! A ta dziewczka to jego ładaczniczka, jest z nim w znowie - rzucił na Gwendolyn wzgardliwe spojrzenie.

Jeszcze nie przebrzmiały szydercze słowa, a syn kowala tkwił już rozplaszczony na zamkowym murze, podczas gdy lufa pistoletu Bernarda wrzynała mu się w miękkie ciało tuż pod szczęką. Bernard nie podniósł głosu, lecz jego słowa dotarły wyraźnie do uszu wszystkich obecnych na dziedzińcu.

- Zdumiewające, iż w ciągu piętnastu lat nie zdołałeś się nauczyć, jak należy zwracać się do damy. Ile razy muszę cię

ostrzegać, że nie zapominam krzywdy wyrządzonej żadnemu z moich poddanych?

Oczy Rossa przypominały spodki pełne zdumienia i przerażenia, utkwione w twarzy człowieka, który prawem urodzenia miał absolutną władzę nad jego losem.

- Nie miałem zamiaru... nigdy, naprawdę! Szalenie mi przykro, panie! P-p-przebacz mi, najłaskawszy... - jąkał się i plątał jak tamtego słonecznego poranka przed piętnastu laty. Świadomość, że Bernard pamiętał ów dzień równie żywo jak ona, wstrząsnęła Gwendolyn. Lecz właściwie czemu nie? To były ostatnie godziny jego wolności i dzieciństwa! Ostatni dzień, gdy mógł swobodnie uganiać się po szkockich wzgórzach, ostatnie chwile, gdy był panem swego losu. Serce dziewczyny skurczyło się bolesnym spazmem smutku. Dopóki był dla niej mężczyzną bez przeszłości, mogła wyobrażać sobie, że mają przed sobą wspólną przyszłość... lecz teraz stało się to niemożliwe. Powrót Bernarda oznaczał, że ruiny zamku nie spłoną od ognia zdesperowanych wieśniaków, lecz jednocześnie stał się wyrokiem na Smoka, który wydał ostatnie ogniste tchnienie i szczył na popiół wraz z resztą jej marzeń. Udała, że nie dostrzega pytających spojrzeń Kici i Tuppera. Podeszła do muru i położyła dłoń na ramieniu Bernarda. Odwrócił się powoli, puszczać pobladłego Rossa.

Górował nad nią nie tylko wzrostem, lecz także wewnętrzną siłą. Zmusiła się, by spojrzeć mu prosto w oczy, chociaż lękała się, czy nie dojrzy w nich widmowego wspomnienia chłopca, którego niegdyś uwielbiała.

- Nie musisz bronić mnie, panie - starannie oddzielała każde słowo. - Nie jestem twoja i nigdy nie będę.

Zanim echo jej oświadczenia powróciło odbite od murów

dziedzińca, przepchnęła się przez wciąż milczący tłum i wybiegła przez wrota. Pragnęła znaleźć się od niego najdalej, jak mogła.

Gwendolyn siedziała na skale i wpatrywała się w fale przypływu. Na tym odcinku wybrzeża ich atak tracił na gwałtowności. Woda raczej omywała obłe głazy z cichym szeptem, aniżeli uderzała o nie z rykiem wściekłości. Pył wodny unoszący się w powietrzu osiadał chłodnymi kroplami na skórze, ale zamyślona nie zwracała na to uwagi. Nawet nie była pewna, w jaki sposób znalazła samotną plażę. Pamiętała, że gdy zbiegała w dół zamkowego wzgórza, z rozpaczą zdała sobie sprawę, iż nie ma dokąd uciekać. Wioska stała jej się równie obca, jak niegdyś zrujnowana forteca. Nigdzie już nie należała. Skręciła więc w bok od głównej drogi na wąską ścieżkę, która wiła się wokół zamkowej góry, wiodąc na brzeg. Gdy dotarła na kamienistą plażę, ruszyła przed siebie, byle dalej od wyniosłych fortecznych ruin.

Weyrcraig przemieniło się ze smoczego leża w zwykłą kupę gruzu. Szare światło brzasku obnaży niebawem całą brzydotę wypalonych komnat i zwalonych wież. Noc odejdzie, a wraz z nią skończy się upojny sen, w którym żyła przez ostatnie czternaście dni. Podniosła oczy na chłodny, nieczuły dysk księżyca. Wtem usłyszała ciche stąpanie.

- Wciąż nie umiesz należycie dziękować wybawcy za ocalenie, dziewczyno!

Podniosła się z wolna i odwróciła twarzą ku Bernardowi z klanu MacCullogh. Stał boso wśród piasku i żwiru, o kilka kroków od głazu, na którym przycupnęła Gwendolyn. Wiatr targał poły koszuli i mierzwił ciemne kędziory.

- Dziwię się, że nie wydałeś mnie wieśniakom na stos... nie

musiałbyś stawić czoła niezręcznej sytuacji, kiedy cię zdemaskowano!

- Po pierwsze: nigdy nie zostawiłbym cię na łasce tych pocziwych górali, po drugie zaś: naprawdę nie chciałem, byś w taki sposób dowiedziała się prawdy o mnie. Ale widząc ich gniew, zląkłem się, że mogą skrzywdzić cię bardziej, niż ja niewczesnym pojawieniem, więc musiałem wrócić.

- Czy tylko dla mnie zdecydowałeś się zmartwychwstać? Sądzę, że powinnam czuć się zaszczycona. A gdyby nie ich najście, kiedyż to zamierzałeś poinformować mnie o swojej prawdziwej tożsamości? - Policzki dziewczyny zapłonęły ogniem. - Czy dopiero po tym, jak zaznasz ze mną cielesnej przyjemności?

Potrząsnął bezradnie głową.

- Czasami aż do bólu pragnąłem wyjawić ci wszystko - przy naszym pierwszym pocałunku, a potem tamtej nocy, gdy szalała burza... kiedy opisywałaś pochód górali, znoszących moje ciało ze wzgórza i gdy ujrzałem w twoich oczach łzy żałoby po mnie.

- To były tylko nieliczne z wielu łez, jakie niepotrzebnie wylałam nad twoim losem przez te piętnaście lat! Ale przecież doskonale o tym wiesz, bo otworzyłam przed tobą serce, a ty miałeś czelność w milczeniu słuchać moich zwierzeń o dziecięcej miłości do szlachetnego i dobrego chłopca! - Odwróciła zawstydzoną twarz. - Ależ ci się musiałam wydać śmieszna!

- Nigdy nie wydałaś mi się śmieszna - zaprzeczył i przysunął się nieco bliżej. - Rozmyślałem z obawą nad rozczarowaniem, jakiego musiałabyś doznać, spotykając mężczyznę, który wyrósł z owego wyidealizowanego przez lata tęsknoty chłopca. - Wyciągnął dłoń, lecz odsunęła się gwałtownie. - Nie pojmuję...



zachowujesz się tak, jakbyś bała się teraz mnie bardziej niż wtedy, gdy uważałaś mnie za obcego.

- Wcale się nie boję! - skłamała. - Po prostu nie mogę znieść twojej bliskości.

- Czemu?

- Bo pozwoliłaś, bym zakochała się w mężczyźnie, który nie istnieje. Bo nie jesteś tym, za kogo cię uważałam - zaczęła cofać się w stronę przyboju, a cały żal, który narastał w jej sercu od chwili ujawnienia prawdy, wylewał się niepohamowanym potokiem skarg. - Bo nie jesteś Smokiem! Pachniesz jak on i masz taki sam głos, ale nim nie jesteś, a ja nie mogę znieść tego, że to ty stoisz przede mną, a on odszedł... na zawsze!

Nie mogła również znieść tego, że Bernard MacCullogh widzi jej łzy, odwróciła się więc i pobiegła wzdłuż wybrzeża, zostawiając go samego w plamie księżycowego blasku.

Bernard oparł stopę na głazie, na którym przed chwilą siedziała Gwendolyn. Wbił oczy w widnokrąg, którego lawendowy odcień zaczął zbierać różowością pierwszego brzasku. Niechętnie myślał o tym, że musi odejść i zostawić miejsce, w którym być może widział ją po raz ostatni. Kiedy złapali go Anglicy, na jego usta nie wybiegła ani razu prośba o łaskę czy życie, lecz gdy patrzył, jak Gwendolyn odchodzi z jego życia, mało brakowało, a byłby padł na kolana, zawołał ją po imieniu i błagał, by go nie zostawiała.

Smok byłby za nią poszedł. Gdyby nie dało się inaczej, wzięłby szturmem wioskę i uprowadził ją przemocą! Byłby ją zaniósł z powrotem do wieży i kochał się z nią, aż zapomnieliby własnego imienia... i przestała dbać o to, jak naprawdę nazywa się on.

Cóż, Gwendolyn przestała wierzyć w smoki, a to przecież jej wiara uczyniła ze Smoka istotę realną. Bez tej wiary był zwykłym, pozbawionym sumienia szarlatanem, który posłużył się oszustwem, by go pokochała naiwna kobieta.

Słońce wyłoniło się zza horyzontu i położyło oślepiającą wstęgę blasku na ciemnych wodach morza. Kiedyś wzdrygnąłby się i uciekł od jasności dnia, lecz dzisiaj z radością powitał słoneczne promienie. Oto nadszedł kres mroku, w którym żył przez piętnaście lat. Tak długo odrzucał dziedzictwo przeszłości i swoje prawdziwe urodzenie! Dzisiaj witał Bernarda MacCullogha powracającego ze zmarłych, by wyrwać swoją własność z rąk tych, którzy mu ją ukradli. Jego klan czekał z otwartymi ramionami na zaginionego i odzyskanego w cudowny sposób syna, a on postanowił nie przynieść im rozczarowania. Być może stracił ukochaną kobietę, lecz niech go piekło pochłonie, jeżeli opuści tę ziemię, zanim odnajdzie to, po co tu wrócił - prawdę.

## 19

Do Ballybliss powróciła nadzieja.

Kręte uliczki osady kipiały gorączkową aktywnością mieszkańców. Biegali tam i nazad z twarzami ożywionymi entuzjazmem, jakiego darmo było się doszukiwać, gdy zbierali daninę dla Smoka. Drogą pod górę jechał wóz za wozem, kopiasto wyładowany materiałami budowlanymi i wszelkiego rodzaju towarami. Wieśniacy dawali z serca, z niemal patetyczną gorliwością. Wielu zawiązywało niebogie podarunki w paczuszki ozdobione wyblakłymi wstążkami do warkoczy lub wygrzebanymi z dna kufra pozłacanymi sznurkami, jak dawno zapomniane świąteczne prezenty. Okna zamku Weyrcraig po zapadnięciu zmroku rozświetliły się rzęsiście, lecz tym razem nikt nie wątpił, że to nie widmowe ogniki, tylko ludzie pracujący przy odbudowie, których nawet noc nie skłoniła do przerwania ochotniczego wysiłku. Chcieli jak najszybciej przywrócić siedzibie swego klanowego przywódcy dawną świetność. Pogłoska o niespodziewanej zmianie fortuny rozchodziła się po szkockiej wyżynie z szybkością błyskawicy i już zaczęli wracać pierwsi uchodźcy, którzy dawno temu porzucili wioskę. Na ulicach

było gwarno od powitań, ojcowie obejmowali dawno niewidzianych synów, matki ze łzami w oczach ścisnęły wnuczęta, których dotąd nie było im dane poznać. Pierwszy raz od ponad piętnastu lat Ballybliss zaczęło się dźwigać z upadku, a wszystko to dlatego, że na zamek Weyrcraig powrócił wreszcie przywódca klanu MacCulloghów.

Za każdym razem, gdy spieszonym krokiem wracała z targu, Gwendolyn, nie mogąc się powstrzymać, zerkała w stronę zamkowej góry. \ za każdym razem czuła żal, że nie potrafi uwolnić się od cienia, jaki forteca rzuciła na całe jej życie. Minęły dopiero dwa miesiące od dnia, gdy po raz ostatni widziała pana tego zamku, lecz wyczuwała jego bliskość równie nieomylnie jak niegdyś nocami w komnacie na wieży. Czekał. Obserwował. Czas działał na jego korzyść.

Potrafił dowieść poddanym swej cierpliwości i ani razu w ciągu tych dwóch miesięcy nie uczynił aluzji do owego tysiąca funtów, których tak zajadle poszukiwał jako Smok. Oni ze swej strony przestali przeklinać przebiegłość bestii. Zamiast tego wychwalali spryt młodego pana i nie dawali do poznania, iż pamiętają, jak to im płatał owe „zabawne” figle. Z właściwą sobie naiwną tępotą i brakiem przenikliwości uznali wnet, że pan przebaczył im przewiny. Tylko Gwendolyn znała go na tyle dobrze, by podejrzewać, że chlubna wstrzemięźliwość przypomina spokój słonecznego dnia przed letnią burzą.

Na schodkach wioskowej tawerny wylegiwał się Ross. Gwendolyn skręciła na drugą stronę uliczki, lecz młodzieniec uprzedził ją, zerwał się na nogi i zamiótł pył drogi w kornym ukłonie.

- Panno Wilder, życzę jak najlepszego dnia! Wygląda dziś pani szczególnie nadobnie!

Gdyby nie żarliwie ugrzeczniony wyraz twarzy, Gwendolyn mogłaby podejrzewać, że się z niej naśmiewa. Od dnia powrotu

do osady ubierała się wyłącznie w szarobure suknie o workowatym kroju, które przewiązywała w pasie obszernymi fartuchami skutecznie kryjącymi figurę. Włosy ujmowała w konopną opaskę i upinała w surowy kok na czubku głowy. Tak mocno ścigała niesforne pukle, że głowa ją bolała i oczy zbiegały się w lekkim zezie, ale wołała znosić te cierpienia, zamiast wspominać, jak Smok przegarniał leniwymi palcami miękkie, jedwabiste loki.

- Dziękuję ci, Ross. Jakże uprzejmie z twojej strony, że zwróciłeś na to uwagę - odpowiedziała z kwaśną słodyczą i mijając go, celowo nastąpiła mu na nogę, aż stęknął z bólu. W tejże chwili w drzwiach sąsiadującej z karczmą apteki pojawiła się jego kuzynka Marsali. Z takim zapałem wyciągnęła wierzące się niemowlę ku Gwendolyn, że niemal wepchnęła je dziewczynie w twarz.

- Widziała już pani mojego maleńkiego aniołka, panno Wilder? Prawda, że wyrasta na istną piękność, mój kwiatusek prześliczny?

Gwendolyn wyciągnęła chusteczkę i starła smugę brudu z ziemistego policzka dziecka.

- Owszem, wykapaną z niej mamusia!

Uchyliła się od zetknięcia z zaślinioną buzią, lecz nie zdołała uniknąć spotkania twarzą w twarz ze spieszącą z drugiego końca uliczki matką Rossa. Krępa niewiasta dygnęła tak nisko, że aż jej łupnęło w kolanach, gdy starała się wyprostować.

- Jakże się miewa drogi ojczulek panienki? - spytała uniożonym głosem. - Tuszę, iż świetnie! - A gdy Gwendolyn minęła ją, pochyliła się do jednej z kumoszek i szepnęła tak dobitnie, że usłyszała ją cała ulica: - Szkoda, że dziewczeczka nie jest wolna... doskonale pasowałaby do jednego z moich chłopaków!

Gwendolyn przyspieszyła kroku, trzęsąc się na wpół ze śmiechu, na poły z odrazy. Wieśniacy wciąż nie mogli uwierzyć, że niedoszła ofiara Smoka nie została kochanką ich pana. Zatwardziałe milczenie było jedyną odpowiedzią na niewypowiedziane na głos pytania, co zaszło między nią a jej ciemnym życielem podczas dwóch tygodni niewoli, ale w ten sposób podsycała jedynie ciekawość sąsiadów. Wystarczyło jej wychylić nos z dworku, by któryś z ziomków zaczynał deptać jej po piętach, zabiegać drogę i kłaniać się w pas, za wszelką cenę usiłując odpokutować na grzechy przeszłości. Dosłownie płaszczyli się przed nią i byłoby to nawet zabawne, gdyby nie irytacja, że powodem była pewność, iż kiedyś należała do Bernarda MacCullogha. Oraz że przywódca klanu wciąż o niej myśli.

Zamknęła za sobą drzwi i westchnęła z ulgą.

— Gwennie?

- Tak, papciu, już wróciłam! - Odłożyła pakunki i zawiniątka i wybiegła tylnym wyjściem na podwórko, gdzie ojciec leżał w wygodnym fotelu w cieniu jabłoni. Uklękła przy nim i naciągnęła na jego wychudzone golenie wełniany koc. W ciągu tych kilku tygodni tak bardzo stracił na wadze, że łyż stawały jej w oczach na widok sterczących żeber, które o mało nie przebiły pergaminowo cienkiej skóry. Oczy zapadły się głęboko i pomroczniały rozpaczą. Był teraz lekki jak piórko, więc Izzy z łatwością brała go na ręce i wynosiła na słońce. W ciepłe dni lubił godzinami siedzieć i wpatrywać się w kamienną płytę grobu matki dziewcząt. Widok ten dawał mu ukojenie, jakby nieszczęsny czuł bliskość ukochanej żony. Ujrzawszy Gwendolyn, uniósł się na krzesło, wczepił wychudłe palce w jej ramię i wbił błyszczące gorączką oczy w twarz córki.

- Przyśnił mi się sen, dziecko drogie - powiedział. - Śniłem, że on wrócił po mnie!

Potrząsnęła głową.

- Tatku, tatusiu! Ileż to razy mam ci powtarzać, że Cumberland poszedł sobie precz i nigdy już nie zrobi ci krzywdy?

- Nie, nie Cumberland... Smok! To on wrócił, prawda? Teraz zniszczy nas wszystkich!

Gardło dziewczyny ścisnęło się w przyptywie smutku i lęku.

- Smok też sobie poszedł, papciu, i nie będzie nas więcej nękał!

- Ale jeśli wróci, obronisz mnie przed nim, prawda? - ścisnęła jej dłoń tak mocno, że niemal krzyknęła.

- Tak, papciu. Obiecuję, że cię obronię! - Pocałowała go w czoło i z ulgą zobaczyła, że się promiennie uśmiecha.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Zawsze byłaś moją małą, grzeczną córeczką, prawda?

Nigdy się nie dowie, że w gruncie rzeczy okazała się zdeprawowaną latawicą o grzesznych marzeniach, zdolną do pogańskiej namiętności! Grzeczna córeczka byłaby wdzięczna Opatrzności, że uchroniła ją od haniebnego uległości wobec uwodzicielskiego Smoka. Gwendolyn zaś budziła się często w środku nocy i czuła wilgoć łez na policzkach, a całe ciało płonęło gorączką żalu. Przez chwilę wydawało jej się bowiem, że znowu przebywa w jaskini Smoka. Siadała na posłaniu i wbijała oczy w ciemność, szukając jego cienia. Dopiero szmer oddechu Kici przywracał jej świadomość rzeczywistości.

Gwendolyn poczuła niemal ulgę, gdy z kuchni wyszła Izzy z koszem bielizny do rozwieszenia. Poderwała się ochoczo, by pomóc służącej. Wolała urobić sobie ręce po łokcie w nadziei, że wyczerpanie pomoże jej usnąć, niż spędzać noc na daremnych marzeniach. Zostawiła drzemiącego ojca i zaczęła narzucać

mokre prześcieradła na sznur przytwierdzony jednym końcem do gałęzi drzewa, a drugim do ściany dworku.

Izzy zebrała zakupy i wróciła do kuchni. Przez boczne drzwi wpadły Nessa i Glynnis, przepychając się jedna przez drugą. Gwendolyn jęknęła w duchu, bo hałaśliwe towarzystwo siostr było niema! tak męczące, jak rewerencja wieśniaków. Ilekroć odmawiała odpowiedzi na niedyskretne pytania na temat Smoka, obrażały się i dąsały potem godzinami. Patrząc spode łba na obie filutki, wygrzebała z kieszeni fartucha herbatnika i wgrzyła się w kruchy przysmak. Nessa i Glynnis wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Od czasu powrotu siostry obie zauważyły jej zdrowy apetyt, chociaż miesięczne krwawienie ucięło wszelkie domysły o rzekomej ciąży.

- Powinnaś była pójść z nami, Gwendolyn! - przeciągnęła śpiewnie Nessa. - W zatoce zakotwiczył kolejny statek z flotylli MacCullogha, wyładowany towarami prosto z Edynburga. Wdrapałyśmy się wysoko na klify i stamtąd widziałyśmy, jak ci jego krzepcy żeglarze przewozili cały ładunek szalupą do zamku!

Glynnis przycisnęła dłoń do piersi.

- Och, nie widziałam jeszcze takich śliczności! Pozłacane i kunsztownie rzeźbione portale kominkowe, witraże okienne w kształcie wachlarzy, kanapy z tapicerką z chińskiego jedwabiu. Nasz pan musi być mężczyzną o wykwinnych gustach.

- I rozruttnej duszy! - zgryźliwie uzupełniła Gwendolyn, usiłując wyprzeć z pamięci wspomnienie absurdalnie ekstrawaganckiego łóża, w którym nigdy nie spoczęły wspólnie.

Glynnis wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Czemu miałyby ograniczać wydatki, skoro jest właścicielem całej floty, handlowej? Powiedział mi to jeden z odźwiernych. Czy wiedziałaś, że sam król angielski nadał mu szlachectwo Korony za waleczność w boju, jaką okazał, ratując jakiegoś

admirała czy innego dygnitarza z rąk Francuzów pod Luisburgiem?

- Anglicy mieli szczęście, że postanowili darować mu życie i wcielić do marynarki - oświadczyła oschle Gwendolyn. - Co prawda wydaje mi się osobliwe, że nigdy dotąd nie słyszeliśmy o jego heroicznym wyczynie.

- Przybrał inne nazwisko - wyjaśniła Nessa. - Nazwał się Bernardem Graysonem i nikt w całej Anglii nawet się nie domyślał, że ma do czynienia ze Szkotem!

Gwendolyn potrząsnęła głową, zarzucając na sznur kolejną szaroburą sukienkę.

- Nigdy nie zrozumie, jak szkocki patriota może walczyć za kraj, który zabił mu ojca! - Pomyślała, że to tylko jedna z wielu osobliwości dotyczących Bernarda MacCullogha, których nigdy nie będzie w stanie pojąć.

Nessa rzuciła siostrze spojrzenie spod rzęs i szturchnęła Glynnis pod żebro.

- Matka Maisie słyszała od jednej z pomywaczek na zamku, że nie był rycerzem bez skazy i zmayı. Podobno gdy zakończył służbę morską, przyjmowano go w najlepszych londyńskich domach, lecz większość nocy spędzał na włóczęgach po karcianych spelunkach i zamtuzach.

Jej nieśmiałe pocałunki i niezdarne pieszczoty musiały się wydać niesłychanie zabawne mężczyźnie o takim doświadczeniu! Gwendolyn tak zawzięcie wyżywała tunikę Nessay, że cienka materia rozdarła się z ostrym trzaskiem. Glynnis przybrała nonszalancką minę i zaczęła niedbale wodzić stopą w piasku ogródka.

- Te hulaszcze lata minęły bezpowrotnie! Teraz, gdy zgromadził olbrzymią fortunę i wrócił objąć swoje dziedzictwo, na pewno wnet zacznie rozglądać się za żoną!

Gwendolyn zamaszycie machnęła ręcznikiem, o mało co nie trafiając siostry w nos.

- Niech się lepiej pospieszy - powiedziała - jeśli ma cię dopaść w przerwie między kolejnymi mężami! Z drugiej strony jego sakiewka brzęczy srebrem, które tak lubisz, ale we włosach nie ma tylu srebrnych nitki co twoi poprzedni ślubni, może więc nie byłby ci na rękę związek z mężczyzną, który mógłby cię przeżyć?

- Możesz za niego wyjść, jeśli chcesz, Glynnis - pisnęła Nessa. - Ja bowiem postanowiłam zostać jego kochanką!

Siostry zgięły się wpół w ataku szalonego śmiechu, a Gwendolyn, widząc to, zanurzyła dłoń w kieszeń fartucha w poszukiwaniu następnego herbatnika. Połykała ostatnie okruchy, gdy usłyszała zgrzyt ogrodowej furki. Na widok męskiej sylwetki serce podskoczyło jej do gardła, ale gdy przybysz wyszedł z cienia muru, przekonała się, że to tylko Tupper, uroczyście odziany w czarny frak i spodnie do kolan.

- Witam szlachetne damy! - ukłonił się uprzejmie obu chichoczącym siostram i zwrócił swoje szczerze, brązowe oczy na Gwendolyn. - Miałem nadzieję, że zgodzisz się porozmawiać ze mną w cztery oczy, panno Wilder?

- Oczywiście, panie Tupperingham - zgodziła się równie oficjalnie. Ostatnio był częstym gościem w dworku zarządcy, lecz zawsze znajdował jakąś wymówkę i wychodził, gdy pojawiała się Gwendolyn. Sądziła, że wciąż czuje się winny za współudział w jej niewoli.

Glynnis i Nessa niechętnie wyszły z ogródka, rzucając Tupperowi zaciekawione spojrzenia. Nie mogły pojąć, jakim sposobem ich młodsza siostrzyczka złowiła tak egzotycznego wielbiciela. Tupper zdjął kapelusz i przekładał go w zmieszaniu z ręki do ręki, unikając oczu Gwendolyn.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi panna, iż cię nachodzę, ale do kogóż innego mam się zwrócić? Gdyby ojciec Catriony był przy... - urwał zakłopotany i zarumieniony.

- Był przy zdrowych zmysłach, chciał pan powiedzieć? - dokończyła.

Tupper kiwnął głową z wdzięcznością.

- Właśnie, przy zdrowych zmysłach, poszedłbym do niego. Zdaję sobie sprawę, że nie jesteś najstarsza z jej siostr, ale wydajesz się obdarzona największym...

- ...rozsądkiem? - podpowiedziała, gdy ponownie się zawahał.

- Właśnie, rozsądkiem! Z wielką obawą ośmielam się przeto zwrócić do panny w tej nad wyraz niezręcznej sytuacji, by... choć to nie wedle zwyczaju... prosić o Catriony...

Gwendolyn zdała sobie sprawę, że jeszcze chwila, a Tupper zadławi się swoim jękaniem, znowu przyszła mu więc z pomocą.

- Stopę?

Spojrzał na nią z wyrzutem.

- Ależ skąd! Przyszedłem prosić o jej rękę, by wziąć ją za żonę jak należy, przed obliczem Boga! - Spuścił oczy, jakby przestraszył się własnej śmiałości i począł miętosić w rękach rondo kapelusza. - Naturalnie nie będę cię winić, gdybyś nie uważała mnie za godnego oblubieńca.

- Nie bądźże głupi, Tupper! Zawsze miałam nadzieję, że Kicia wyjdzie za pachołka porywacza!

Młodzieniec miał tak zgnębioną minę, że Gwendolyn pożałowała drwiny. Delikatnie wyjęła mu z rąk kapelusz i wygładziła pognieciony filc, po czym oddała mu go i spojrzała prosto w poczciwe brązowe oczy.

- Cokolwiek myślę o twoim guście w doborze kompanów, ufam, że będziesz doskonałym małżonkiem dla mojej siostry. Kiedy planujecie zaślubiny?

Twarz Tuppera rozjaśniła się uśmiechem szczęścia.

- Mamy się pobrać na szkockiej ziemi, więc nie musimy starać się o specjalne zezwolenie Korony. Jeśli nie miałabyś nic przeciwko temu, mamy nadzieję stać się dla siebie mężem i żoną jeszcze przed końcem przyszłego tygodnia.

- Nie zostało zatem wiele czasu. - Gwendolyn zmarszczyła czoło, rozważając, ile czeka ich przygotowań. - Kicia będzie potrzebowała nowej sukni... ostatecznie zresztą może pożyczyć od Glynnis tę, w której brała ślub ostatnim razem. Izzy musi upiec ciasto imbirowe czy coś innego na przekąskę dla weselnym gości. Nie stać nas na wystawną ucztę, ale jeśli zaciśniemy pasa, uda nam się...

Urwała, bo Tupper sięgnął do satynowej podszewki fraka i wyciągnął złożoną we czworo kartkę pamiętnego kremowego welinu, zapieczętowaną znajomym czerwonym woskiem. Wyciągnął do niej pismo z miną równie zakłopotaną, co na początku rozmowy:

- Jeśli nasz pan potrzebuje świeżego udźca, niechże się raczej uda do rzeźnika - zaproponowała oschle Gwendolyn.

Tupper zapewnił:

- Tym razem to nie żądanie, lecz oferta.

Ulegając błagalnemu spojrzeniu młodzieńca, sięgnęła po list i trzymając samymi koniuszkami palców, jakby atrament mógł być zatruty, rozpostarła arkusz przed sobą. Przeleciała wzrokiem gęsto zapisane linijki i zaciśnęła wargi.

- Więc MacCuliogh pragnie urządzić wesele dla ciebie i mojej siostry i zaprasza całą osadę do udziału w uroczystości! Cóż, wielkoduszna oferta, lecz my nie potrzebujemy jego jałmużny!

- Prosił, by ci przekazać, że to forma zwrotu pierwszej raty długu, jaki zaciągnął.

Jakże pragnęła porwać pismo MacCullogha na tysiąc kawałków, pomaszerować na zamek i cisnąć mu je w arogancką gębę! Pomyślała jednak, ile znaczyłoby dla Kici wspaniałe wesele: stoły uginające się pod ciężarem smakołyków, pieczeni i wetów, beczułki z doborową whisky, śpiewy i tańce aż do świtu. W dodatku całej zabawie patronowałby sam przywódca klanu, cudownie odzyskany syn MacCulloghów! Tę noc panna młoda zapamięta do końca życia, a Gwendolyn nie zdoła zapomnieć, choćby żyła sto lat.

Westchnęła, świadoma, że zawsze była gotowa poświęcić się dla szczęścia Kici. Jej ukochana siostrzyczka będzie miała huczne wesele! Gwendolyn nie zdawała sobie tylko sprawy, jak wysoką cenę będzie musiała zapłacić.

- Może pan poinformować pana MacCullogha, że przyjmuję jego ofertę - powiedziała - lecz niech pamięta, iż są długi nie do spłacenia!

20

Tym razem kobzy w Ballybliss nie zawodziły w żałobie za zaginionym księciem. Zamek Weyrcraig rozjarzył się światłami. Nieszczęsne widma zmarłych mogły wreszcie odejść na spoczynek. Droga prowadząca na zamkową górę roiła się od mieszkańców osady, odzianych w odświętne stroje z tkaniny barwionej w kratę klanu i berety ozdobione buńczucznym pękiem piór. Anglicy mocą niesławnej ustawy po kłęsce księcia Karolka pod Culloden zabronili Szkotom tradycyjnych ubiorów, lecz dzisiaj górale jawnie demonstrowali swój opór. Potok roześmianych biesiadników wlewał się przez szeroko rozwarte wrota na oświetlony pochodniami dziedziniec. Noc dźwięczała śmiechem i przekomarzaniem, Z okna wysoko w murze nad podwórcem samotna postać obserwowała gości, szukając wśród ciżby tej jednej twarzy, której właściwie nie spodziewała się ujrzeć.

Najlepsi rzemieślnicy Szkocji i Anglii trudzili się przez dwa miesiące, by odbudować popękane mury i zatuszować ślady zniszczeń, lecz w oczach Bernarda zamek wyglądał jak ruina większa od tej, w której ukrywał się jako Smok. Brakowało

mu odosobnienia, spokoju i mroku tamtych dni. Brakowało mu... Gwendolyn.

Oparł się o parapet i przymknął na chwilę oczy. Brakowało mu odwagi Gwendolyn, jej śmiałości w oporze i miękkości w dotyku. Odejście dziewczyny pozostawiło pustkę, której nie mogły wypełnić szpachle murarzy. Zbyt wiele słów pozostało między nimi niedopowiedzianych, zbyt wiele pytań wciąż czekało na wyjaśnienia, lecz Gwendolyn nie dała mu szansy, by na nie odpowiedział. Od ponad dwóch miesięcy olbrzymim wysiłkiem woli trzymał się z dala od niej, wma- wiając sobie, że nic się nie zmieniło od tamtej burzliwej nocy, gdy odnalazł ją przy pału wbitym w bruk dziedzińca. Odziewał się teraz jak szlachcic i żył jak księżę, lecz w duszy pozostał bestią, stworzeniem pozbawionym sumienia i zdolności do odczuwania jego wyrzutów. Prześladowało go wspomnienie lęku, jaki dostrzegł w jej oczach na plaży: jakby bardziej obawiała się Bernarda MacCullogha niż Smoka. Właściwie nie dziwił się temu.

Górale wciąż przybywali. Tłoczyli się w sklepionym przejściu na wewnętrzny dziedziniec, nie mając pojęcia, że wchodzą w starannie zastawione sidła. Zanim nadejdzie świt, będą błagać o przywilej wydania mu zdrajcy, który unicestwił jego ród. Gdy o tym myślał, cieszył się, że Gwendolyn nie przyszła na uroczystość. Nie byłaby uradowana tym, co zamierzał uczynić!

Wyprostował się i wprawnym ruchem przegubu strząsnął koronkowe mankiety surduta. Czas wahań minął, nadeszła godzina czynu. Jego pobratymcy, pełni uwielbienia dla przywódcy swego klanu, czekali, by wznieść toast za pomyślność gospodarza - a on zamierzał spełnić ich życzenie.

Gwendolyn siedziała przy łóżku ojca, zdecydowana od- wlekać wyruszenie na uroczystość weselną, jak długo się da. Żałowała, że nie może spędzić wieczoru z nosem utkwionym w najnowszym artykule Towarzystwa Wzbogacania Wiedzy Naturalnej Metodą Badań Naukowych, lecz nie miała serca zostawiać Kici samej podczas tej najważniejszej dla dziewczyny nocy. Gwendolyn westchnęła odruchowo. Już czuła tęsknotę za małą siostrzyczką. Po dzisiejszej nocy nie będzie musiała się więcej budzić z łokciem Kici w swoim uchu, ale...

Przez opuszczone żaluzje przyprłyły z oddali skoczne dźwięki melodii wygrywanej na kobzie. Wiekowe drzewo okiennic nie stanowiło przeszkody dla muzyki i śmiechu, którym rozbrzmiewała cała dolina. Szczodry lord wyprawił swoim poddanym zabawę, jak się patrzy, a w miarę upływu nocy i lania się darmowego trunku, goście będą się bawili coraz huczniej, zapominając o długoletnich zahamowaniach i obawach.

Tatko poruszył się niespokojnie przez sen. Cały dzień marudził, podskakiwał nerwowo na byle skrzygnięcie, szarpał Gwendolyn za rękę i mruczał coś o zemście smoków, aż miała ochotę uciec do własnego łóżka i nakryć głowę poduszką. Szkoda, że ojciec nie ujrzy szczęsnego losu najmłodszej córki, która lada chwila zostanie żoną wicehrabiego!

Drzwi skrzypaneły pod ręką Izzy, zaskoczony widokiem Gwendolyn przy łóżku chorego.

- Czemu zwlekasz, dziewczeczko? Twoje siostry wyszły na zamek już blisko godzinę temu!

Gwendolyn podniosła się i udawała bardzo zajęta poprawianiem narzuty.

- Tatko przez cały dzień był taki niespokojny. Myślałam,



że może powinnam zostać z nim, żebyś ty mogła iść i weselić się z kumoszками.

- Kobieta w moim podeszłym wieku nie ma żadnego interesu się weselić, moja droga! To zajęcie dla młodych, którym krew jeszcze żwawo krąży w żyłach! - Izzy skinęła głową w kierunku drzwi. - Idź, dziewczyno! Ja tu zostanę i popilnuję twego ojca. Siostra nie wybaczyłaby ci, gdybyś opuściła jej wesele!

Gwendolyn wciąż bała się spojrzeć Izzy w oczy, więc chwyciła poduszkę i zawzięcie zaczęła ją spulchniać.

- Gdy powiem Kici, że tatko miał zły dzień, na pewno zrozumie.

Służąca oparła ręce na biodrach.

- Kicia może i zrozumie, ale niech mnie diabli porwą, jeżeli ja pozwolę ci kwasic się tutaj!

Gwendolyn spuściła głowę i ręce.

- Nie wiem, czy potrafię tam wrócić... nie jestem gotowa stawić mu czoła.

Izzy pokręciła głową,

- Znam cię tyle lat, dziewczeczko, i nigdy dotąd nie widziałam, byś unikała otwartej bitwy. Nie wiem, co ci uczynił ten młody hultaj, ale czuję wstyd na myśl, że ktokolwiek - człek czy zwierzę - miałoby nad tobą moc, by powstrzymać cię od stawienia się u boku siostry w najważniejszym dla niej dniu!

Gwendolyn powoli uniosła głowę, rozważając słowa Izzy. Służąca miała rację. Zostając w domu, dowodziła tylko egoizmu i pozwalała, by jej obawy rzucały cień na szczęście Kici. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na łóżko, gdzie ojciec zasnął wreszcie głębokim snem, pierwszym, tego dnia. Poczwała, jak krew zaczyna żywiej krążyć w żyłach i sięgnęła po szal.

- Dobrze już, Izzy, pójdę!

- Ależ nie w tym stroju - sprzeciwiła się służąca, mierząc

krytycznym spojrzeniem burą suknię Gwendolyn. - Nie dopuszczę, by na weselu twojej siostry ktoś wziął cię za podkuchenną!

Wybiegła z izby i po chwili wróciła, niosąc szatę z tafty przerzuconą przez ramię. Fałdy cieniutkiej tkaniny lśniły i migotały w półmroku sypialni. Gwendolyn wzięła głęboki oddech. To była ta sama błękitna suknia, którą miała na sobie ostatniej nocy spędzonej na zamku! Pamiętała, że gdy wróciła do domu i wdrapała się na swój stryżek, niebo jaśniało pierwszymi zwiastunami brzasku. Zwlekła z siebie przemoczoną suknię i cisnęła ją w kąć z nadzieją, że nigdy już jej nie zobaczy. Szata zniknęła i Gwendolyn zakładała milcząco, że została wyrzucona, lecz teraz pojęła, że Izzy zabrała ją, starannie wyreperowała rozdarcia w delikatnej tkaninie, uprała i przywróciła do dawnej świetności.

- Twoja matka miała równie piękne suknie, zanim wyszła za twego ojca. - Izzy stwardniała od pracy dłońią wygładziła pajęczę fałdy. - Co prawda nigdy o nie nie dbała... Lady Leah miała piękną duszę, której blask rozświetliłyby najgorsze łąchmany... Ty jesteś do niej podobna! - Oczy zaszyły jej mgłą wzruszenia. Milcząco wyciągnęła suknię do Gwendolyn. Dziewczyna poczuła pieczenie pod powiekami. Stara służąca ofiarowała jej dar większy, niż sama sądziła. Gwendolyn zapragnęła odpłacić równie szczodrym sercem. Wspięła się na palce i cmoknęła pomarszczony policzek. Rumiane oblicze Izzy poczerwieniało jeszcze bardziej. Służąca z udawaną nonszalancją popchnęła Gwendolyn w stronę drzwi.

- Idź już, dziewczyno! Nie trać czasu na takie czułości, bom za stary ptaszek, by się na nie nabrać! Rusz tyłek, bo inaczej ten lubieżny Anglik zadrze halkę twojej siostrzyczki i ściągnie jej majtki, zanim dowleczesz się na weselną biesiadę!

Gwendolyn szła szparko kamienistą ścieżką, przyciągana zawrozczeniem kobz. Pogańska melodia burzyła krew w żyłach dziewczyny, jakby namawiając, by odrzucić wszelkie zahamowania i tańczyć do upadłego w zimnym blasku księżyca wędrującego po północnym niebie. Mrok szeptał jej imię, jak ciemności w celi na wieży fortecy Weyrcraig, wabił i przyzywał urokiem niezgłębionej tajemnicy. Śliska tafta szeleściła, ocierając się o czubki satynowych pantofelków. Gwendolyn dotknęła dłonią włosów, w które zatknęła dwa szylkretowe grzebienie. Spod nich spływała na plecy kaskada złocistych loków.

Przed wrotami zamku czekała karoca. Konie przystrojone wstążkami i kwiatami stały cierpliwie, pobrzękując srebrnymi dzwoneczkami uździenic. Na zakończenie wesela Kicia i Tupper mieli się udać do Edynburga na miesiąc miodowy. Gwendolyn po trosze zazdrościła siostrze wspaniałej podróży. Jakaż dziewczyna nie pragnęła wyrwać się choć na krótko z odciętej od świata górskiej doliny?

Okna zamku jarzyły się blaskiem, choć uroczystości odbywały się na dziedzińcu. Pochodnie zatknięte na murach broniły dostępu ciemności. Tańcom i swawolom patronował posąg Afrodyty. Bogini patrzyła na uciechę gości z wszystkimowiedzącym, nieco drwiącym uśmiechem na przywróconej twarzy. Przez rozgadana ciżbę przeciskali się służący i kelnerzy z tacami ciężkimi od jadła i trunków. Górale dziwowali się wyszukanymszkarłatnym liberiom i pudrowanym perukom lokajów. Tu i ówdzie za ich plecami rozlegały się szydercze chichoty.

Stary Tavis przygrywał ochoczo na kobzie, aż podskakiwały zebra sterczące pod odświętną tuniką. Dyszał ciężko, jakby każda nuta miała być ostatnią. Lachlan towarzyszył mu na harfie, a akompaniamentu dopełniały skrzypki, bębenek i pisz-

czka. Wielebny Throckmorton w czarnych spodenkach i takimże surducie zapiętym wysoko pod szyję krążył wśród barwno odzianych gości jak posępny kruk pośród stadka krzykliwych papug, lecz tej nocy nawet on przymknął oko na niewinną rebelię swych owieczek. Przebiegły uśmiezek nadawał jego twarzy wyraz psotnego chochlika. Przyklaskiwał do rytmu, choć częściej się mylił, niż trafiał w takt. Gwendolyn błyskawicznie odnalazła wzrokiem rozpromienioną z dumy i radości siostrę. Tupper trzymał Kicię za rękę i oboje prowadzili podwójny szereg tancerzy w żywym galopie. Na ciemnych puklach Kici kołysał się wianuszek spleciony z dzikich różyczek i pędów wrzosu. Dziewczyna jeszcze bardziej niż zwykle przypominała górskiego cherubina. Dołeczki w policzkach panny młodej pogłębiły się na widok starszej siostry. Wyłamała się z tanecznego kręgu, ciągnąc za sobą Tuppera.

- Już się bałam, że nie przyjdiesz! - puściła dłoń narzuczonego na krótką chwilę, by mocno objąć przybyłą. Siostra odwzajemniła jej się równie krzepkim uściskiem.

- Za nic w świecie nie opuściłabym cię w tej cudownej chwili, koteczku... a może powinnam zwracać się do ciebie „kocie”, skoro niedługo będziesz już zupełnie dorosłą i poważną mężatką?

Tupper rozpromienił się, wpatrzony w oblubienicę jak w obraz.

- Za niewielką chwilę będzie ją panna mogła zwać panią Tupperinghamową!

- Sądziłam, że Kicia będzie wołała miano „pani Smokowej” - odcięła się Gwendolyn z filuternym uśmiechem. Kicia stuliła wargi w pocieszny dzióbek i szturchnęła młodzieńca w bok.

- Nie dokuczaj mi! Wciąż jeszcze nie przebaczyłam mu do końca tej maskarady.

- Po dzisiejszej nocy będziesz miała całe życie, by wyegzekwować ode mnie odszkodowanie - zaproponował Tupper i podniósł jej dłoń do ust.

Kicia zamruczała zmysłowo.

- Nie myśl, że tego nie zrobię!

Już mieli przejść od zalotów do otwartych pieścizot, gdy tuż obok przegalopował taneczny krąg i weselnicy porwali młodych w środek. Kicia zdążyła jeszcze rzucić siostrze przepraszający uśmiech.

- Nie odchodź! Ja zaraz wrócę! - zawołała i odpłynęła w takt skocznej melodii.

Gwendolyn westchnęła, śledząc ich swawolę. Tak, ona była tą rozsądną, poważną siostrą, czemu nie mogła się zakochać w człowieku równie prostolinijnym i pełnym niewinnej słodyczy co Tupper? Ta myśl sprawiła, że rozejrzała się ukradkiem po dziedzińcu, ale nigdzie nie dostrzegła MacCullogha. W ciemnym kącie murów jakaś para stopiła się w namiętym pocałunku. Gwendolyn nie zdawała sobie sprawy, że przypatruje się całującym, dopóki dziewczyna nie podniosła głowy i nie spojrzała prosto na nią. Zmieszana i zaczerwieniona z zażenowania Gwendolyn odwróciła się do najbliższego biesiadnego stołu. Muzykanci przyspieszali tempo, zagrzewając tancerzy do żywiołowych podskoków, aż ona też poczuła szybsze pulsowanie krwi. Pomyślała, że za dziewięć miesięcy w wiosce przyjdzie na świat gromadka niemowląt. Niektóre będą owocem zgodnej swawoli, inne skutkiem przymuszenia przez weselników kobiet oszołomionych nadmiarem trunku lub tych, które nieopatrznie oddaliły się z oświetlonego dziedzińca. Gwendolyn zaczęła żałować, że nie została na straży snu ojca, ale wnet

dała się skusić widokiem maślanych bułeczek z rodzynkami i sięgnęła po ciastko. Jeśli się roztyje i będzie zbyt gruba, by precyzyjnie się przez drzwi dworku, nikt nie będzie się dziwił jej nieobecności w czasie podobnych rozrywek! Zanim zdążyła zagłębić zęby w pulchnym cieście, usłyszała za plecami znajome piskliwe śmiechki. Nessa i Glynnis zbliżyły się z minami pełnymi niesmaku. Nessa zmarszczyła zadarty nosek.

- Gwendolyn, na litość boską! Czy nigdy nie przestaniesz obżerać się jak prosię?

- Przez te dwa miesiące zjadła tyle, że można przypuszczać, iż MacCullogh odmawiał jej stawy przez cały czas, gdy pozostawała u niego w gościnie! - dodała Glynnis.

Gwendolyn zacisnęła palce nam bułeczce, zgniatając ją w garść okruczów. Och, jakże miała dosyć przycinków sióstr!

- Ach, nie, karmił mnie jak należy... stoły ugięły się od ambrozji i nektaru, a ja w czasie tych niebiańskich uczt spoczywałam na poduszkach z czystego jedwabiu.

Nessa i Glynnis równocześnie pochyliły się do przodu, zahipnotyzowane nieznanym im dotychczas, gardłowym tonem głosu Gwendolyn. Niektórzy ze stojących w pobliżu wieśniaków też nastavili zaciekawione uszy.

- Wsuwał mi do ust dojrzałe, soczyste winne grona i scąłowywał każdą kroplę rosy, która skapnęła z nich na moje drżące uniesieniem piersi.

Nessa wstrzymała oddech, a Glynnis zakryła usta dłonią, lecz Gwendolyn zbyt była pochłonięta obserwowaniem ich reakcji, by zdać sobie sprawę, że oczy mają utkwione nie w niej, lecz w czymś lub kimś tuż ponad jej prawym ramieniem.

- A gdy oblizałam resztki nektaru z jego palców - uśmiechnęła się zmysłowo - kładł mnie z powrotem na miękkie po-

duszki, zrywał ze mnie szaty i kochał mnie jak szalony... aż do świtu.

- Nie musi mi pani tak schlebiać, panno Wilder! - usłyszała głos za plecami. - Sądzę, iż pani siostry znajdują w sercu miłosierdzie, by nie okazać rozczarowania na wiadomość, że nawet mężczyzna o moim wigorze musi uciąć króciutką drzemkę między tak żywiołowymi... hm, nazwijmy to „akrobacjami”.

Aksamitny baryton otrzeźwił Gwendolyn jak zimny prysznic, aż zadrżała z przerażenia. Z nadzieją w duszy zaczęła, czy Bóg nie spełni jej modlitwy i nie sprawi, by ziemia pod jej stopami rozstała się i pochłonięła ją bezpowrotnie, lecz w końcu musiała się odwrócić i spojrzeć prosto w rozbawioną twarz Bernarda MacCullocha.

- Czy zawsze musi pan się podkradać i wyskakiwać na ludzi zniemacka? - zapytała ze złością.

Gdyby uważała go za zdolnego do odczuwania wstydu, pewnie zwiódłaby ją skruszona mina i spuszczone kornie oczy pod ciemnymi rzęsami.

- Zdaję sobie sprawę, że moje nieokrzesane maniere służą na najwyższą naganę, lecz gdybym zawsze uprzedzał o swoim nadejściu, nie miałbym okazji podsłuchać tak soczystych rozmówek, prawda? - Podniósł brwi w uwodzicielskim uśmiechu, który przywiódł Gwendolyn na myśl opisaną przed chwilą siostrą niefortunną scenę wyimaginowanej rozpusty. Obrzuciła szybkim spojrzeniem gibką sylwetkę w kraciastym stroju klanu i tradycyjnym pledzie w takież szkarłatno-czarny wzór, zarzuconym na śnieżnobiałą koszulę. Pokaz patriotyzmu nie zdołał jej wzruszyć, nie obeszła jej też moc męskiej tężyzny, drzemiąca w szerokim torsie, którą, o dziwo, podkreślały jeszcze wymuskane koronkowe mankiety i żabot. Krótka spódniczka odsłaniała kolana i łydki obciążone kracias-

tymi pończochami. Na stopach miał skórzane buty. Ciemne włosy spadały na wyprostowane dumnie ramiona. W chybottliwym świetle pochodni wydało jej się nagle, że widzi jednocześnie zaginionego chłopca, którego kochała przez ponad pół życia, i mężczyznę, na którego wyrósł - dokładnie takiego, jakim go sobie wymarzyła w czasie długich lat żałoby. Poczuli się ponownie dziewięciolatka tęskniącą za losem, który nigdy nie stanie się jej udziałem.

- Dobry wieczór panu! - ówierknęła Nessa i wraz z Glynnis zamiotły ziemię spódnicami w ukłonie, jak marionetki kierowane zręcznymi palcami kuglarza.

- Dobry wieczór paniom! - odpowiedział machinalnie, nie spuszczać oczu z Gwendolyn. W tejże chwili ktoś wyjął kobzę z rąk starego Tawisa, a flecista z harfiarzem zaintonowali czarowną melodię dobrze znanej wszystkim ballady. Opisywała żalostny los oszukanej dziewczyny, która w swej naiwności oddała serce pierwszemu kawalerowi, co spojrział w jej stronę. Bernard wyciągnął dłoń, a oczy pociemniały mu uczuciem, którego Gwendolyn nie zdołała rozszyfrować:

- Zatańczy pani, panno Wilder?

Tłum ucichł, a oni stali naprzeciw siebie, owiewani nutami owej tęsknej, słodkiej, niebezpiecznie uwodzicielskiej melodii. Gwendolyn spuściła wzrok na męską dłoń trzymającą jej palce. Niegdyś powierzyła mu nie tylko dłoń, lecz ufnie serce. Niegdyś... była głupia! Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy:

- Czy to zaproszenie, czy rozkaz, panie?

- Co byłoby ci miłsze?

- Od pana? Żadna z tych rzeczy! - odwróciła się na pięcie, zamierzając zostawić go na łasce tych szczebiotek, swoich sióstr.

- Uważaj więc to za rozkaz. Trudno, jestem w końcu twoim panem i władcą.

Gwendolyn okręciła się zamasyżście, aż spódnica smagnęła ją po kostkach.

- Myli się pan w tym względzie, panie Bernardzie MacCullogh! Żaden mężczyzna nie będzie moim panem i władcą!

Weselnicy nie ukrywali spojrzeń już na w pół zaciekawionych, na poły przestraszonych tą bezprzykładną zuchwałością.

Na jego ustach powoli pojawił się uśmiech.

- Tego, moja dziewczeczko, nie byłbym taki pewien...

Chwycił jej dłoń, lecz zamiast w krąg tancerzy, pociągnął ją za sobą do zamku. Gwendolyn nie miała wyboru. Potykając się, szła za nim, a przez głowę przemknęła jej myśl, że oto znowu znalazła się w niewoli Smoka.

## 21

Co za paskudny, podstępny... - Gwendolyn krztusiła się z wściekłości, maszerując wbrew swej woli za Bernardem. - Choćbyś się przebrał od stóp po czubek głowy w tartan klanu MacCulloghów, pozostaniesz nędzną kreaturą i brutalnym tyranem!

- A ty rozpaskudzoną smarkułą! - odciął się, nie zwalniając tempa marszu.

- Co masz teraz zamiar ze mną zrobić? Znowu mnie zamkniesz na wieży?

- A jeśli nawet, to co poczniesz? - prychnął. - Żaden z twoich ziomków nie przyjdzie ci z pomocą, bo uprowadzanie dziewczek z wioski dla własnej przyjemności to prerogatywa przywódcy klanu, uświęcona prawem ludzkim i boskim!

Lokaje z tacami pełnymi zakąsek i goście, którzy przypadkowo zabłąkali się pod arkady wiodące do wnętrza zamkowych komnat, widząc ich, odwracali obojętne twarze i przyspieszali kroku na dziedziniec, jak gdyby chcąc potwierdzić pyszałkowate pogrożki swego pana. Gwendolyn poczuła ogromną ulgę, gdy minęli kręte schodki i poszli korytarzem do wielkiej sali. Gdy

przekroczyli łukowate wejście, zdumienie dosłownie odebrało jej dech. Usłużne duszki Smoka znowu dały o sobie znać, pracowicie upiększając zrujnowane wnętrza. Księżyc nie mógł już szpiegować lokatorów przez dziurawy dach, potraskane belki sklepienia zostały wymienione, sufit wytynkowany i pomalowany. Z centralnej podpory zwiślał żyrandol z mosiądzu, dźwigając na rozłożystych ramionach dziesiątki woskowych świec, których płomyki rzucały miękkie światło na obszerny stół stojący na środku sali. Nad mahoniową obudową kominka wisały dwa skrzyżowane miecze bojowe szkockich górali. Drewniane kolumnienki i gzyms wypolerowano do ciepłego blasku. Aksamitne draperie w kolorze soczystej zieleni zasłaniały widok przez wysokie okna od strony dziedzińca. Bernard pociągnął ją przez całą salę. Gdy mijali stół, wszystkimi siłami starała się wyprzeć z pamięci wspomnienie tamtej nocy, kiedy zuchwale sądziła, że uda jej się oswoić dziką bestię pocałunkiem.

Przed ogniem na kominku stały dwa skórzane fotele. Bernard popchnął ją łagodnie na jeden z nich. Na rozgrzanych kamieniach paleniska wygrzewał się oczywiście Toby, rozciągnięty na całą długość płyty jak puszysty futrzak. Uniósł leniwie głowę na powitanie i mrugnął senną powieką. Najwyraźniej odnosił wrażenie, że nie było jej tu przez dwie krótkie minuty, nie przez całe dwa miesiące. Dziewczyna przysiadła sztywno na brzeżku siedzenia, a gospodarz podszedł do bufetu pod ścianą i nalał dwa kieliszki porto. Wyciągnął jeden z nich do Gwendolyn.

- Ten skromny poczęstunek musi wystarczyć, bo akurat zabrakło mi świeżej krwi niewinnych kociąt.

Urażony Toby zeskoczył majestatycznie z paleniska i z zadartym ogonem wymaszerował z komnaty.

- Dziękuję, nie mam ochoty na trunek, natomiast mocno zgłodniałam. Nie ma pan pod ręką jakichś przekąsek?

- Nektaru i ambrozji nie znajduję na zawołanie, chociaż jakieś winne grono powinno tu gdzieś być! - odpowiedział niewinnym tonem.

Gwendolyn przyjęła kieliszek w nadziei, że łyk mocnego wina uspokoi jej rozedrgane nerwy. Wypiła duszkiem i poczuła, jak zwodnicze ciepło rozchodzi się po żyłach i rozluźnia język.

- Ach, więc szlachetni panowie mają w zwyczaju ciągnąć kobietę za włosy, by ją zmusić do zgody, jeśli odmówi tańca? Tak właśnie postępuje się w londyńskich salonach? - bawiła się nonszalancko pustym kieliszkiem. - Oczywiście doszły mnie słuchy, że najczęściej gościłeś pan w przybytkach innej natury!

Bernard spokojnie upił maleńki łyk wina.

- Gdy będziesz musiała sama przebijać się w życiu, wnet odkryjesz, że bardziej rozsądnie jest płacić za rozrywkę z góry. W ten sposób unika się wielu rozczarowań i nieporozumień!

Gwendolyn podniosła się z fotela, chcąc odstawić kieliszek na gzyms kominka. Szukając pretekstu, by uniknąć jego wzroku, ujęła w palce złociste frędzle zdobiące pochwę jednego z mieczy i zaczęła je splatać i rozplatać. Gospodarz odstawił swój kieliszek tuż obok i zauważył:

- Jeśli chcesz, zgaszę świece, by ci oszczędzić tortury patrzenia na moją twarz w pełnym blasku.

- Nie! - okrzyk, który jej się wyrwał, mimo woli zdradził, jak jest wzburzona. Bernard stanął tak blisko niej, że poczuła gorący oddech we włosach. Wiedziała, że nie powinna zamykać oczu, ale znajoma woń drzewa sandałowego i goździków uderzyła jej do głowy bardziej, niżby to uczyniła stuletnia szkocka whisky.

- Gwendolyn, spójrz na mnie!  
 - Nie mogę - odszepnęła przez ściśnięte gardło.  
 - Czemu? Bo nie jestem twoim wymarzoną Smokiem? - głos Bernarda zmiażdżył. - Mylisz się, Gwendolyn! Stoi przy tobie ten sam mężczyzna, który cię niegdyś tutaj całował - Poczują muśnięcie warg w kąciku ust, ale uparcie odwróciła głowę. - Ten sam, który trzymał cię w ramionach, którego...

„...którego kochałaś”.

Oszczędził jej ostatnich słów, ale miała niemal namacalne poczucie, że zawisły między nimi. Zacisnęła desperacko powieki.

- Nie, nie jesteś nim! Jesteś Bernard MacCulloch, lord na zamku Weyrcraig, przywódca klanu MacCullochów.

- Chłopiec, który dziedziczył te tytuły, jest od dawna martwy. Co do tego od samego początku miałaś rację. Wyzionął ducha piętnaście lat temu w tej sali, padł ofiarą własnej naiwnej ufności w wierność swoich towarzyszy. Umarł, lecz ja ocalałam. - Ujął jej podbródek palcami i przechylił twarz ku sobie. - Spójrz na mnie, Gwendolyn! Otwórz oczy i sprawdź, kogo widzisz!

Umiałaby stawić opór, gdyby zachował się brutalnie, gdyby próbował ją zmusić przemocą, ale dotknięcie jego palców było - jak dawniej - delikatne i prosiące... i jak dawniej nie mogła mu się oprzeć. Powoli gęste rzęsy uniosły się, odkrywając błękitne oczy.

Twarz, pozbawiona osłony cienia, była otwarta i bezbronna. Spłoszone spojrzenie odnajdywało to samo szerokie czoło, które poznawała uważnym dotknięciem opuszków palców w ciemnościach celi na wieży, i te same czułe usta, które ją całowały. Oblicze było znajome, a przecież należało do kogoś obcego! Wycofała się z jego ramion, szepcząc:

- Masz rację, nie jesteś Bernardem MacCullochem, bo chłopiec, którego znałam, nie byłby zdolny walczyć pod sztandarem Anglików i w ich interesie! Nie zaprzedałby oręża i duszy wrogom ojców i dziadów.

Przez długą chwilę nie spuszczał z niej oczu pociemniałych goryczą.

- Myślisz, że celnie wbiłaś sztylet prawdy, moja droga? - Smukłymi palcami pogłaskała rozgorączkowany policzek. - Owszem, Anglicy zdolni są strzelić ci prosto w serce, ale nie ugodzą cię zza węgła w bezbronne plecy. Mojego ojca zabił pocisk „czerwonych mundurów”, ale w ich ręce wydała go zdradziecka intryga ziomka, członka własnego klanu! - Stanowczym krokiem podszedł do bufetu, by nalać sobie drugi kieliszek portu.

Gwendolyn poczuła, że serce w niej zamarło.

- A więc nie wybaczyłeś i nie zapomniałeś! Czekasz tylko na odpowiednią chwilę, by odebrać zapłatę za zło wyrządzone twemu rodowi.

Bernard dopił resztę wina.

- Ach... właściwie już nie czekam!

- Nie wiem, co masz zamiar uczynić - rzuciła niespokojne spojrzenie w stronę szczelnie zasłoniętych okien. - Błagam cię jednak, nie kalaj gwałtownym czynem tej nocy, tak ważnej dla mojej siostry!

- Czy sądzisz, że zepsułbym Tupperowi jego weselisko? - rzucił jej spojrzenie pełne wyrzutu. - Nie jestem aż takim potworem... postanowiłem zaczekać, aż Kicia i Tupper znajdą się na dziedzińcu, ruszając do Edynburga i dopiero wtedy wystąpić z obwieszczeniem.

- Jakim obwieszczeniem?

Bernard nalał sobie kolejny kieliszek i uniosł go w pompatycznym toaście.

- Jeśli członkowie mojego klanu do jutrzejszego świtu nie dostarczą owego tysiąca funtów, który był zapłatą za życie mego ojca... wypędzę ich z domostw i wyzuję z ziem.

Przez długą chwilę Gwendolyn nie była zdolna wydusić z siebie głosu. Słyszała co prawda, że ten i ów bezlitosny Anglik, obejmując włości po szkockim baronie, wyrzucał tubylczych poddanych z osad, w których od wieków gospodarowali, ale nie mogła pojąć, że jej rodak mógłby zdobyć się na taką zbrodnię.

- Nie ośmielisz się... nie możesz...

Bernard z rozmachem odstawił kieliszek, aż podstawka stuknęła głucho o dębowy blat.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli nie mogę! To moje ziemie i mam prawo nimi rozporządzać, jak mi się podoba! - W miarę, jak narastało jego wzburzenie, w jego głosie brał górę szkocki akcent. Gwendolyn ujrzała nagle zapalczego chłopca, który groził, że wdrapie się na drzewo tylko dlatego, że mu tego zabroniła. Im lepiej pojmowała sens jego słów, tym większa ogarniała ją groza.

- Ależ... ci ludzie całe życie spędzili w Ballybliss, a przed nimi mieszkali tu ich ojcowie... przodkowie od tylu pokoleń! Nie znają nic innego, gdzieś pójda? Co poczną?

- Jeśli zwrócą judaszowe złoto, nie będą musieli się tym martwić!

Gwendolyn spojrzała na twarz skamieniałą w wyrazie zawziętości i poczuła, że przebiega ją chłodny dreszcz.

- Tobie wcale nie zależy na złocie, prawda? Nigdy ci nie zależało! Chcesz dopaść człowieka, który ukrywa je od tamtych czasów. Ty... wcale nie chcesz sprawiedliwości, lecz zemsty!

- Moja wiara w sprawiedliwość umarła tamtej nocy, kiedy patrzyłem, jak matka dławi się krwią wytoczoną z jej gardła

przez angielskich żołdaków. Moja ufność w siłę zemsty narodziła się z uchwytu Cumberlandowych zbirów, którzy oderwali mnie od wszystkiego, co znałem i kochałem: ojca, który walczył o ostatni oddech, patrząc, jak pętają jedyne go syna i poganiają go jak bydło.

Gwendolyn spuściła głowę.

- Widzę, że nic, co mogłabym powiedzieć, nie zmieni twojego postanowienia. Wobec tego pozwól, panie, że pójde spakować manatki.

Bernard zastąpił jej drogę.

- Nie musisz odchodzić!

Wzdrygnęła się z widoczną odrazą i cofnęła od jego dotknięcia.

- Jesteś chyba szalony, oczekując, że będę siedziała spokojnie przy twoim kominku, wznosząc toast za sukces twoich planów, podczas gdy ty będziesz wypędzać ludzi, których egzystencja zależy od dobrej woli ich pana!

- Chciałem powiedzieć, że ty nie musisz opuszczać Ballybliss... - zrobił krok w jej stronę. - Ani mnie.

Powoli uniosła twarz i spojrzała mu prosto w oczy.

- Czy pan mnie o coś prosi?

- Proszę, żebyś została... tutaj, na zamku Weyrcraig. Ze mną. Gwendolyn z trudem łąpała oddech.

- Wieśniacy uwierzyli, że byłam pańską kochanką, ale ani pan, ani ja nie powinniśmy ulegać złudzeniom!

- Nie proszę, byś została moją kochanką, tylko żoną.

Początkowo myślała, że to jakiś bezduszny kawał, lecz w oczach Bernarda nie było ani śladu wesołości. Patrzył na nią z bezbronną, niemal bojaźliwą powagą - nie jak mężczyzna, który poprosił kobietę o rękę, lecz jak skazaniec, który ma wypić truciznę. Pod Gwendolyn ugięły się kolana. Osunęła się



na fotel, licząc w pamięci, ile razy śniła o chwili, w której usłyszy go mówiącego właśnie te słowa. Kiedy miała zaledwie siedem lat, Nessa wyszpiegowała ją, gdy przebrała jednego z kuchennych kundli w szkarłatną opończę uszytą ze strzępka klanowego tartanu, usiadła przed nim i udawała, że akceptuje jego oświadczenia. Siostry wyśmiewały się z niej potem przez całe miesiące i uparcie przezywały ją „Milady Szczęniara”. A teraz... mogła im cisnąć w twarz, że marzenie stało się rzeczywistością, mogła zostać żoną MacCullogha! Mogła co wieczór zasypiać w jego łóżu i budzić się co rano w jego ramionach. Mógł dać jej ciemnowłose dzieci z oczami koloru szmaragdów i bez najmniejszej skłonności do tycia. Razem władałoby, a potem przekazali w spadku wspólnemu potomstwu opustoszałą, zamarłą dolinę, która niegdyś rozbrzmiewała głosami i śmiechem członków klanu MacCullogh. Dźwignęła się na nogi i stanęła tuż przed nim.

- Dobrze, panie. Jeśli taka jest twoja wola, wyjdę za ciebie... - i zanim zdążył uśmiechnąć się zwiyciesko, dodała: - ...ale pod jednym warunkiem: porzucisz plany zemsty i pozwolisz mieszkańcom osady zostać w Ballybliss.

Długo wpatrywał się w nią oczami pełnymi rozdrażnienia i podziwu.

- Czy mam rozumieć, że oferujesz mi swoje ciało w zamian za odpuszczenie im win?

Starła się nie przejmować rumieńcem, który stopniowo ogarniał jej szyję i wspinał się po same czoło.

- Oferuję ci sposobność, byś z góry opłacił swoją rozrywkę. Unikniesz późniejszych rozczarowań i żalów.

- Panno Wilder, podnieciła pani moją ciekawość. A gdybym nie proponował pani małżeństwa - czy nadal z równą gotowością oddałaby się pani w szlachetnym usiłowaniu wykupienia ich od kary?

Zaczerpnęła oddechu i odpowiedziała pewnym głosem:

- Owszem, uczyniłabym to!

Zaczął się zbliżać - jak sądziła, w zamiarze odebrania zapłaty... - lecz zamiast wziąć ją w ramiona, otoczył jej policzki stulonymi dłońmi.

- Skłamałbym, gdybym zaprzeczył, że jestem gotów niemal na wszystko, byle cię zdobyć. Ale chociaż twoja oferta jest niebywale kusząca, obawiam się, że muszę ją odrzucić. Piętnaście lat czekałem na tę chwilę i nic ani nikt mi jej teraz nie odbierze! Nawet pani - wsunął palce w gęstwinę złotych loków i przez mgnienie oka ujrzała cień żalu w pełnych determinacji oczach. Cofnął dłoń i ruszył w kierunku drzwi.

- A jeśli powiem ci, kto wydał twojego ojca Anglikom? - rzuciła ku jego plecom niemal niedosłyszalnym szeptem,

Bernard zatrzymał się jak wryty.

- Kto? - pojedyncze słowo wibrowało w znieruchomiałym powietrzu jak dzwon śmierci. Gwendolyn podniosła ku niemu oczy i stwierdziła, że nie może powstrzymać łez, które jęły spływać po policzkach.

- To byłam ja!

Bernard zawrócił gwałtownie od drzwi, ukazując twarz pełną niedowierzania. Gwendolyn usiadła w fotelu wyprostowana i wbiła wzrok przed siebie. Złożyła dłonie na kolanach i ciągnęła martwym głosem, nawet nie próbując ocierać policzków z łez:

- Czy pamiętasz, jak spadłam na ciebie z dębu i omal cię nie zabiłam?

- Oczywiście, że pamiętam! Byłaś taką śmieszną istotką, niedostępną i kłującą jak oset. Sam nie mogłem się zdecydować, czy wołałbym cię zbić, czy pocałować! Na dobrą sprawę wciąż nie jestem tego pewien - powiedział, marszcząc czoło.

- Gdy odjechałeś, pobiegłam na wrzosowiska i natknęłam się na obozowisko „czerwonych kurtek”. Taka byłam wściekła, że nie patrzyłam, dokąd biegnę... Nagle jeden z nich złapał mnie za warkocze, a jego towarzysz szturchnął mnie w brzuch i zarechotał: „Zdaje się, żeśmy upolowali tłuściutką kuropatwę ze szkockich gór! Jak sądzisz, weźmiemy ją na rożen czy pozwolimy odlecieć?” - Roztrzęsionej samym opowiadaniem dziewczynie wyrwał się drżący śmiech. - Wyznam, że wtedy

uwierzyłam bez zastrzeżeń, iż naprawdę chcą mnie upiec i zjeść! To dlatego, że Ross mówił, iż Cumberland i jego zbiry zajadają się „szkockimi berbeciami”. - Rzuciła Bernardowi zawstydzone spojrzenie. - To było głupie, ale jeszcze głupsza była moja wiara, że lada chwila przybędziesz mi na pomoc.

Bernard, nie patrząc, sięgnął za siebie i wymacał oparcie fotela. Osunął się nań, jak gdyby nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

- Jeden z żołdaków powiedział: „Ta mała przybiegła tu na przespiegi, wystarczy popatrzeć jej w oczy, by się domyślić!” - Gwendolyn mimowolnie naśladowała złowieszczy grymas żołnierza. - „Może trzeba poddać ją torturom, żeby wydała wszystkie sekrety?” Pewnie chcieli tylko zabawić się moim kosztem, ale ja potraktowałam to jako prawdziwą groźbę... a miałam tylko jeden sekret. - Spojrzała Bernardowi prosto w oczy. - Twój!

Nie zmienił obojętnego wyrazu twarzy, więc podniosła się z fotela i zaczęła niespokojnym krokiem krążyć przed kominkiem.

- Nie myśl tylko, że wydałam im go, bo się bałam! Wciąż byłam na ciebie wściekła za to, że mnie nazwałeś „berbeciem” i „smarkulą”. Postanowiłam cię ukarać za to, że nie chciałeś mi zaufać i zdradzić nazwiska owego tajemniczego gościa, że...

Pochyliła głowę. Łzy zdławiły jej głos. Po chwili zmusiła się, żeby kontynuować.

- Powiedziałam im, że syn lorda ma tej nocy zaprowadzić na zamek kogoś wielce szanownego, prawdziwego bohatera...

- Księcia pośród mężczyzn - dokończył Bernard i przeciągnął dłonią po twarzy.

- Zbiry w czerwonych kurtkach wymieniły między sobą

znaczące spojrzenia, a ja skorzystałam z ich nieuwagi, wyrwałam się i pobiegłam do domu. Nie zdawałam sobie nawet sprawy z wagi mojej niedyskrecji, zanim było za późno. Widzisz więc, że nie było żadnych haniebnych knowań z Cumberlandem i żadnego tysiąca funtów wytargowanego w zamian za zdradę. Jeśli chcesz znaleźć winnego rzezi dokonanej na twojej rodzinie, nie musisz dłużej szukać.

Emocje bolesnej opowieści wyczerpały Gwendolyn. Dziewczyna zwiotczała w fotelu jak balon, z którego uciekło powietrze. Skrywany przez lata wstyd był tak silny, że nie zdobyłaby się na więcej niż cichy szept protestu, gdyby Bernard zdjął ze ściany oburęczny miecz i zamierzył się, by uciąć jej głowę. Ale on siedział z pochyloną twarzą, zasłoniwszy oczy dłonią. Gdy Gwendolyn nie mogła dłużej znieść brzemiennego potępienia ciszy, odważyła się zerknąć spod rzęs. Ramiona mężczyzny drgały spazmatycznie, policzki były mokre od łez. Już się podnosiła, by podejść do niego, lecz kiedy opuścił rękę, zorientowała się, że to nie płacz wstrząsa jego plecami, lecz niepohamowany śmiech. Gapiła się na niego zmieszana, lękając się, że niesłychane wyznanie sprawiło, iż postradał zmysły. Nigdy przedtem nie widziała, by zanosił się tak żywiołowym śmiechem. Wesołość zmieniła jego rysy, jakby magiczna gąbka starła z nich linie goryczy i znużenia. Wyglądał jak chłopak, który lada dzień wkroczy w wiek męski, lecz nie utracił jeszcze młodzieńczych marzeń i wiary w jasną przyszłość. Bernard potrząsnął głową i uśmiechnął się do niej jak do osoby, która została stworzona wyłącznie po to, by go setnie ubawić.

- Jak na dziewczeczkę, którą miłosierny Bóg obdarzył zarówno urodą, jak i rozumem, nie popisałaś się bystrością, panno Gwendolyn Wilder! Dotąd nie byłem w stanie pojąć, czemu

tak zawzięcie bronisz mieszkańców Ballybliss, choć to oni wydali cię na pastwę Smoka, a potem chcieli spalić na stosie. Teraz wszystko jest jasne: czujesz się winna, że przez ciebie wplątali się w kłopoty, prawda? Byłaś nawet gotowa poświęcić bezcenną cnotę diabłu w ludzkiej skórze, czyli mnie! Nic też dziwnego, że tak cię wzburzyła nowina o mojej prawdziwej tożsamości: uważałaś, że z powodu twej dziecięcej „zdrady” nie mamy przed sobą przyszłości - otarł łzy wesołości z twarzy, przypatrując się z ujmującą czułością jej oszołomieniu. - Widzę, miła, że ciebie to nie śmieszy.

Wciąż szczerząc zęby jak wioskowy głupek, ukląkł przed nią i nakrył jej lodowate palce swoją ciepłą, dużą dłonią. Kiedy odezwał się znowu, wymawiał każde słowo powoli i dobitnie, jakby kierując je nie do dorosłej kobiety, lecz do małej dziewczynki, którą niegdyś była.

- Cumberland długo i starannie przygotowywał atak na zamek Weyrcraig. To była poważna kampania wojenna... zrozum, nie mógłby wszystkiego zorganizować w jedno zaledwie popołudnie!

- Ale ci żołnierze... „czerwone kurtki”...

- ...byli już na ziemiach MacCulloghów, gdy natknęłaś się na ich obozowisko. Mieli ze sobą armaty, których użyli tej nocy do ostrzału fortecy. - Pogładził zbiegłe kłykcie zacisniętych dziewczęcych dłoni. - Wpadłaś w łapy dwóch złośliwych żołdaków. Bawiło ich znęcanie się nad dzieckiem, któremu napędzili strachu. Wciąż nie rozumiesz, Gwendolyn? Nie powiedziałaś im niczego, czego by już od dawna nie wiedzieli!

Zmarszczyła czoło, usiłując pojąć znaczenie niebywałych nowin.

- Chcesz powiedzieć, że i tak wiedzieli, iż twój ojciec zaproponował azyl księciu Karolkowi?

- Ni mniej, ni więcej! - Ujął jej twarz w dłonie, starając się włożyć w dotyk i uśmiech całą czułość i pocieszenie, na jakie go było stać. - Zdrajca należał do mieszkańców wioski, moja miła... ale nie ty nim byłaś!

Pochylił się i złożył na miękkich dziewczęcych wargach uroczysty pocałunek, jak gdyby rozgrzeszając ją z win, które nigdy nie były jej udziałem. Dotknęła jego policzka drżącymi palcami.

- Och, Bernardzie! Przez te wszystkie lata tak bardzo się wstydziałam, sądząc, że jestem odpowiedzialna za twoją śmierć! - Zarzuciła mu ramiona na szyję, niezdolna myśleć o niczym innym niż o cudowności nagłego ocalenia. - Z własnej woli nie zrobiłabym nic, przez co mógłby ci spaść choć jeden włos z głowy... przysięgam! Choćbyś był sto razy bardziej arogancki i niezdolny, niż byłeś.

Zachichotał, wtulając twarz w jedwabiste loki.

- Chciałaś chyba powiedzieć: „choćby to ja była sto razy bardziej arogancka i niezdolna”?

Gwendolyn odsunęła się nieco, lecz wciąż trzymała go obiema garściami za kłapy surduta.

- Och, mój tatko... mój biedny tatko!

Bernard przyglądał niesforny pukiel, który opadł na wilgotny policzek dziewczyny.

- Co cię trapi?

Serce Gwendolyn ścisnął dobrze jej znajomy bolesny żal.

- Tamtego wieczoru tatko usiłował przedostać się na zamek. On jeden miał dość odwagi, by próbować ostrzec MacCullogha o nadejściu Anglików. Ale wpadł na oddział „czerwonych kurtek”, a żołdacy pobili go tak dotkliwie... - Przygryzła wargi. - Zawsze winiałam się za jego mękę...

Tak była pochłonięta wyrzucaniem z siebie długo skrywanych wyrzutów udęzonego sumienia, że nie widziała, jak z twarzy Bernarda powoli spełza uśmiech, a z objęć ucieka czułe ciepło.

- Czy pamiętasz dokładnie, kiedy twój ojciec opuścił tego wieczoru dworek?

Zmarszczyła czoło.

- Tuż po zmierzchu. Zaraz potem usłyszeliśmy pierwszy wystrzał z armaty.

Przez całą minutę Bernard milczał jak zakłęty, po czym bez słowa wyjaśnienia delikatnie odsunął ją od siebie i wstał, by zdjąć ze ściany ciężki miecz. Poruszał się jak automat, powoli i z chłodną matematyczną precyzją. Zaskoczona Gwendolyn poderwała się na nogi.

- Co czynisz?

Odrzucił się do niej i popatrzył jej w oczy.

- Owszem, twój ojciec przeszedł przez pewnego rodzaju mękę, ale to były spóźnione wyrzuty sumienia!

Z zaciętą miną wypadł z sali. Gwendolyn siedziała jak przygwożdżona w fotelu przed kominkiem. Gorączkowo usiłowała sformułować jedyny możliwy wniosek: nieprawdopodobny, lecz przecież nieunikniony.

- Tatko? - to jedno słowo zabrzmiało w jej ustach jak błagalna modlitwa i kłątwa zarazem.

Nagle zorientowała się, że już zmarnowała kilka drogocennych minut. Ujęła fałdy obszernej spódnicy i co tchu pobiegła za Bernardem.

I o nie pan zamku Weyrcraig wkroczył na rozbawiony dziedziniec. Wtargnęła nań groźna bestia zrodzona z ognistych szczątków fortecy. Potężnym pchnięciem otworzyła kute wrota

i zaczęła zbiegać w dół urwistą ścieżką. Góralom wystarczyło jedno spojrzenie na twarz płonąca zwiastującym grozę pięknem, by podążyli za nim, posłuszni wezwaniu milczącego autorytetu. Niektórzy zachowali przytomność umysłu na tyle, by wyszarpnąć pochodnie z żelaznych uchwytów w murze. Inni ruszyli na oślep, depcząc po piętach swemu klanowemu przywódcy. Nikt nie miał pojęcia, dokąd zmierzają, lecz od tak dawna tęsknili do wodza wydającego rozkazy, że gdy się wreszcie pojawił, nie dbali o ich treść. Poszliby za nim nawet do piekieł. Z drzwi zamku wypadła Gwendolyn, lecz ścieżka była tak zatłoczona, że dziewczyna musiała zwolnić kroku.

- Bernard! - wyteżyła głos, próbując przekrzyczeć tumult. Podskakiwała nerwowo, chcąc dojrzeć choćby czubek jego głowy wśród falujących czupryn ziomek. Mignął jej skrawek szkarłatno-czarnego tartanu, więc ze wzmocnionym zapałem jęła przepychać się do przodu. Szturczała z całej siły łokciami i drapała do krwi plecy wieśniaków, którzy blokowali jej drogę, ale ciżba zbiła ją z nóg i porwała ze sobą na fali ludzkiego przypływu. W przelocie ujrzała zaciekawioną twarz Nussy, oszołomione oczy Kici, pobladłe i zatroskane oblicze Tuppera, ale nie miała czasu zatrzymać się i wyjaśniać im cokolwiek. Nie mogła stracić ani sekundy na tłumaczenia i prośby o pomoc, jeśli chciała ocalić życie jednego człowieka i duszę drugiego.

Bernard tygrysim krokiem pędził przez uliczki Ballybliss i nie zwolnił, dopóki nie dotarł do drzwi dworku zarządcy. Wieśniacy wciąż otaczali go zbitym kręgiem, lecz widząc, gdzie ich przywiódł, cofnęli się nieco, a podniecone szepty zamarły na pobladłych ustach. Gwendolyn precyzyjnie się przez stłoczone szeregi. Nastąpiła niechęć na stopę Rossa, a choć rozdarł się na całe gardło z bólu, nie spojrzała nawet

za siebie. Dopadła Bernarda w chwili, gdy odrzucił głowę do tyłu i krzyknął z głębi gardła:

- Alastairze Wilder!

Wczepiła palce w ramię zbrojne w miecz, lecz Bernard z łatwością je strząsnął.

- Zostaw nas, dziewczyno! To sprawa między mną a twoim ojcem! Tobie nic do niej!

- Czy nie rozumiesz, że mój ojciec nie jest tym samym człowiekiem, jakiego znałeś? Cięgi angielskich żołdaków zmieniły go nie do poznania. Od tamtej nocy nigdy nie był sobą.

- Ani ja! - rzucił Bernard przez zaciśnięte szczęki i odwrócił się do okien dworku, ignorując jej obecność. - Alastairze Wilder!

W jednym z frontowych okien poruszyła się zasłona. Gwendolyn modliła się z całej duszy, by to była tylko wierna służka. Błagam, niech to będzie Izzy, powtarzała w myśli. Ponownie złapała Bernarda za ramię. Tym razem tak mocno wbiła palce, że nie zdołał się jej wyrwać, a choć wyczuwała w naprężonych mięśniach drzemiącą w nich moc, wiedziała, że jej nigdy nie uderzy.

- On oszalał, Bernardzie! Jest całkowicie, dogłębnie szalony. Postradał rozum tamtej nocy, gdy wywieziono cię z Ballybliss! - Rozluźniła nieco uchwyt. Wierzyła, że jeśli tylko zmusi go, by spojrzał jej w oczy, zdoła przywołać go do opamiętania. - Cokolwiek uczynił w przeszłości, obecnie jest bezradnym starcem, który nawet nie zrozumie twojej zemsty!

Powoli oderwał wzrok od okna i wbił oczy w twarz dziewczyny. Zanim jednak mogła pogratulować sobie zwycięstwa, drzwi dworku rozwarły się z głośnym skrzypnięciem i stanął w nich Alastair Wilder w spłowiałej koszuli, dzierżąc w dłoni wiekowy miecz, starszy nawet od miecza Bernarda.

~ Czekałem na ciebie, Ianie MacCulloghu! -zasyczał, a w jego głosie zadrgało ożywienie, jakiego brakowało w nim przez wszystkie minione lata. - Wiedziałem, że nawet diabeł nie utrzyma w piekle takiego łajdaka jak ty!

## 23

Alastair Wilder wystąpił chwiejnym krokiem na ulicę, z trudem ciągnąc za sobą miecz. Prastary oręż włókł się koniuszkiem po ziemi. Starzec popatrzył na Bernarda zmrużonymi oczami.

- O tak, wiedziałem, że w końcu się zjawisz! Podjęcie decyzji zabrało ci aż piętnaście lat, ty uparty, stary mule... ale ja nigdy nie przestałem oglądać się za siebie.

Gwendolyn usiłowała pogodzić ze sobą dwa skrajnie odmienne wizerunki. Czyżby ów nastroszony sęp o zjadliwym języku był tym samym pełnym słodyczy staruszkiem, który drzemał spokojnie, gdy go zostawiła zaledwie przed godziną?

- Tatku? - szepnęła niepewnie. Glynnis i Nessa zawtórowały jej ze łzami w głosie. Kicia pobladła jak prześcieradło i lękliwie przytuliła się do Tuppera. Z mroku przedsionka wyzierała zasępiona twarz Izzy.

Jeśli Bernard poczuł zaskoczenie, stając twarzą w twarz z wrogiem, którego ścigał niezmordowanie przez długie lata - chociaż nie znał nawet jego twarzy - to ukrył swoje uczucia pod maską kamiennego spokoju. W nieruchomym ciele nie

drgnął żaden muskuł, gdy były zarządca zwrócił się do niego imieniem jego ojca. Zrobił krok w stronę starca. Dłoń Gwendolyn zsunęła się bezwładnie z jego ramienia.

- Jak mogłeś? Byłeś jego zarządcą, byłeś kimś więcej: przyjacielem! Ufał ci tak, jak nigdy nie zaufał nikomu innemu!

Alastair pokiwał mu kościstym paluchem.

- Gdybyś naprawdę mi ufał, Ianie, posłuchałbyś mojej rady. Nie mogłem dopuścić, byś swoimi szlachetnymi mrzonkami przyczynił się do ruiny całego klanu. Te romantyczne zachcianki, by przywrócić na tron Szkocji prawowitego króla! Próbowałem przemówić ci do rozsądku. Błagałem, byś przynajmniej nie ofiarował gościny zdrajcy angielskiej Korony, lecz byłeś głuchy na moje argumenty. Gdybym nie nakłonił Ailberta, by odwiódł klan od zamiaru stanięcia w twojej obronie, wszyscy padlibyśmy z rąk angielskich żołdaków, jak ci biedacy spod Culloden!

Ailbert pobladł tak, że twarz Kici wydała się w porównaniu z nim wprost rumiana, lecz Bernard nie poświęcił mu nawet przelotnego spojrzenia.

- Przynajmniej zginęliby jak mężczyźni!

- „Na dobre czy złe, MacCulloch do ostatniego tchu bije się”, co? - Alastair potrząsnął głową ze smutkiem. - Któż pozostał, by bić się w imieniu rodu, gdy już Cumberland rozprawił się z tobą?

Bernard zacisnął palce na gardzie miecza. Przez jedną pełną napięcia chwilę Gwendolyn sądziła, że usiecze jej ojca na ich oczach w pyle wiejskiej uliczki. Opanował się jednak i rzekł:

- Jestem wzruszony, słysząc, że to nie chciwość, lecz troska o ziomek kierowała twoimi zradzieckimi krokami, stary człowieku.

Tatko wzruszył wychudłymi ramionami.

- Cumberland i tak miał już wystarczające dowody twojej nieojalności. Twój los był tak czy inaczej przesądzony, nawet gdybym nie wziął tego złota.

- Ach, więc jednak je wziąłeś?

W oczach Alastaira pojawiły się pierwsze oznaki zmieszania, dzięki czemu stał się bardziej podobny do schorowanego tatki, tak dobrze jej znanego i ukochanego.

- Nie wziąłbym złota, gdybym nie pomyślał o mojej Leah! - zawodził starzec żałośnie. - Chciałem jej wynagrodzić chude lata, otoczyć ją wygodami, na jakie zasługiwała. Z jej warg ani razu nie padła skarga na niedostatek, ale ja cierpiełem, nie mogąc dać jej więcej. Zawsze była taka szczodra... nie myślała o sobie. Zmarła, próbując wydać na świat upragnionego przeze mnie syna. - Przeciągnął dłonią po oczach, jakby chciał zmasać dręczące wspomnienie.

Izzy weszła w plamę żółtawego światła pochodni. Spojrzała prosto w oczy Wildera i skrzyżowała na piersi muskularne ramiona.

- To nie poród przyczynił się do jej śmierci, ty stary głupcze! Owszem, utrata dziecięcia wyczerpała jej siły, ale naprawdę moją panią zabił wstyd! Hańba, jaką okrył imię rodziny jej własny małżonek, zaprzędając przywódcę swego klanu za judaszowe srebrniki! Kiedy zwierzyłeś się jej ze swoich niecných postępów, zmusiła cię, byś poszedł ostrzec MacCullogha... ale było już za późno, a ty powróciłeś jako obłąkaniec, mamrocząc coś bez ładu i składu!

Alastair wypuścił miecz ze zmartwiałej dłoni. Ostrze rzucało mdłe błyski w pyle ulicy. Po policzkach Gwendolyn popłynęły ciche łzy. Patrzyła bez słowa, jak starzec osuwa się na kolana. Buńczuczność uleciała bez śladu, a spod maski zuchwałego pyszałka pojawił się ten, kim naprawdę stał się Alastair Wilder:

znużony życiem starzec złamany na ciele i umyśle. Gwendolyn odepchnęła Bernarda i uklękła na ziemi obok ojca.

- Tatku, wszystko w porządku... jestem przy tobie.

- Gwennie? Gwennie, czy to ty? - zaczął nieporadnie macać koło siebie, szukając jej dłoni, a kiedy ją znalazł, przywarł do niej jak przerażone dziecko. - Miałem taki straszny sen... o tym, że Smok przyszedł po mnie! Nie pozwolisz mu mnie porwać, prawda?

- Nie, tatku. Nie pozwolę, żeby mi cię zabrał! - zerknęła przez ramię, lecz trudno jej było rozszyfrować wyraz twarzy Bernarda, który bacznie obserwował córkę i ojca. Odwróciła się do starca i powiedziała łagodnie, lecz dobitnie: - Tatku, proszę cię, żebyś się bardzo skupił i pomyślał. Gdzie ukryłeś złoto? Muszę to wiedzieć!

- Zrobiłem to dla niej! - wyszeptał, a oczy powlekła znajoma dziewczynie mgła oszołomienia. - Wszystko tylko dla niej... Chciałem, żeby je miała, żeby stać ją było na szykowności i wygody!

Gwendolyn zadrzała, gdy dotarło do niej pełne znaczenie ojcowskiego wyznania. Zaczepnęła głęboki oddech.

- Och, tatku! Przecież mama nigdy nie dbała o szykowne stroje ani luksusy. Jedyne, czego pragnęła, to była twoja miłość!

Starzec począł kołysać się w tył i w przód, siedząc w kucki w ulicznym kurzu. Gwendolyn starannie otarła twarz z łez, zanim zwróciła się do Bernarda:

- Mam nadzieję, że teraz jesteś zadowolony, panie. Sądzę, że znajdziesz swoje złoto zakopane w ogródku za domem... w grobie mojej matki.

Bernard potrząsnął głową, a w jego oczach pojawił się wyraz prawdziwego żalu.

- Gwendolyn, przecież wiesz, że nie wróciłem po złoto, tylko po niego - po zdrajcę!

- Jego ci nie oddam! - krzyknęła - Nie widzisz, że spotkała go już dostateczna kara?

- Jestem jego panem - odpowiedział spokojnie, lecz nie-ustępliwie. - To do mnie należy decyzja.

- Naprawdę sądzisz, że cokolwiek naprawisz, ścinając głowę temu pożałowania godnemu starcowi? Czy zmażesz w ten sposób złoto, jakie niegdyś wyrządził? Czy zawrócisz bieg czasu i zamienisz się w chłopca, którym byłeś? Czy odzyskasz rodziców?

Przez twarz mężczyzny przebiegł skurcz bólu. Gwendolyn zrozumiała, że dotknęła obnażonego nerwu, lecz nie miała wyboru. Musiała ciągnąć dalej.

- Spójrz na swoich pobratymców, na członków twojego klanu, Bernardzie! Cóż, popełnili błąd, jak mój ojciec... straszny, nieodwracalny błąd. I od tamtej nocy wciąż zań płacą. Nie spowodowała tego klątwa twojego ojca, lecz ich własny wstyd. - Zebrani poczęli szurać nogami, nerwowo drepzcząc w miejscu, niepewni, czy uciekać, czy wytrwać. - Powracając do Ballybliss, zwróciłeś im dumę z ich rodowego miana, a wraz z nią nadzieję na lepszą przyszłość. Masz zaś moc dać im coś jeszcze cenniejszego niżeli duma czy nadzieja: możesz ofiarować im przebaczenie!

- Niech cię diabli porwą do siódmego kręgu piekła, kobieto! - zaklął Bernard. Maską kamiennego spokoju opadła z twarzy, odsłaniając rysy wykrzywione żalem. - Nie ma we mnie siły przebaczenia!

Gwendolyn podniosła się i stanęła między dwoma mężczyznami, których kochała.

- Dobrze więc. Jeśli chcesz okupu z ludzkiej krwi, będziesz miał krew - moja!



Bernard zmrużył oczy.

- Co przez to rozumiesz?

Wzruszyła ramionami:

- A cóż innego, jak nie zemstę, której tak pragniesz? Życie za życie, krew za krew!

Zaczął iść ku niej z obosiecznym mieczem w ręku. Glynnis wydała zduszony dźwięk, a Kicia ukryła twarz na ramieniu Tuppera. Izzy rozłożyła ramiona, lecz Gwendolyn potrząsnęła ostrzegawczo głową. Ognik gniewu w oczach wiernej służki zgasł. Izzy, jakby nie mogąc znieść widoku tego, co miało nastąpić, odwróciła się i zniknęła w mroku sieni. Na ganku pozostała sama Gwendolyn. Bez drgnienia obserwowała Bernarda. Ona jedna w całej osadzie znała pewien sekret - na wskroś przejrzała serce Smoka.

Mimo ufności w jego dobroć, nie do końca udało jej się powstrzymać drżenie podbródka. Uniosła dumnie głowę, by ukryć ten znak bojaźni. Poczła się znowu jak wtedy, gdy przywiązana do pała na dziedzińcu czekała na fatum, które czaiło się w mroku.

Bernard rzucił miecz w ręce zaskoczonego Lachlana i wyciągnął dłoń. Gwendolyn już chciała ją ująć, gdy poczuła, jak stalowe palce zaciskają się wokół jej przegubu. Spojrzała osłupiała na swoje ramię, uwięzione w jak kleszczach.

- Cóż czynisz?

- Biorę cię za słowo, panno Wilder! - przycisnął ją do siebie z całej siły i pochylił twarz, aż jego usta znalazły się tuż nad jej wargami. - Jeśli nie mogę dostać twojego ojca, chcę mieć ciebie!

## 24

Bernard ruszył pod zamkową górę, nie pozostawiając oszołomionej Gwendolyn innego wyjścia, jak pójść za nim. Drogę zagroziła im Nessa, trzepocząc jedwabistymi rzęsami.

- Wybacz, szlachetny panie! Jeżeli pragniesz zemsty, to ja jestem odpowiednią ofiarą... nasza droga, słodka Gwennie już dość wycierpiała z twoich rąk.

- Jakże to miło, że o nią dbasz - rzucił Bernard.

Obok siostry pojawiła się nie wiadomo skąd Glynnis.

- Nessa, nie ośmieszaj się! Do mnie, jako najstarszej z sióstr, należy obowiązek odkupienia win tatki - położyła płasko dłoń na piersi Bernarda. - Mogę cię zapewnić, mój panie i władco, że jestem gotowa zaspokoić twoje pragnienie odwetu.

Bernard delikatnie oderwał jej palce od swojej koszuli, uściśnął szarmancko i odsunął wyrozumiale.

- Cóż za wzruszająca troska o los siostry... jestem naprawdę oczarowany, aczkolwiek obawiam się, że wasza ofiara jest zbędna. - Pożegnał każdą z sióstr krótkim skinieniem głowy i zaczął się wspinać urwistą ścieżką, ciągnąc za sobą Gwendolyn. Nie zdążyli zrobić nawet trzech kroków, gdy pojawiła się

kolejna przeszkoda: napuszony człowieczek, którego siwiejąca głowa sięgała Bernardowi zaledwie do pól torsu. Kapłan uzbroidł się w oręż świętego przekonania o własnej słuszności i opasły tom Biblii w rękach. Bernard zatrzymał się i spytał z poważną miną:

- Czy mam posłać po sekundanta i pistolety? Jeszcze kilka godzin brakuje do świtu, lecz możemy wykorzystać je zanie, śpiewając psalmy!

Wielebny Throckmorton drżącą dłonią poprawił okulary na nosie, lecz odezwał się głosem pewnym i tnącym jak bat:

- Niepotrzebne nam pistolety, chłopcze - chyba że będziesz się upierał przy tym bezprzykładnym szaleństwie! Jako duchowy opiekun tej wioski, przysłany tu przez brytyjską Koronę i przez samego Boga Wszemmocnego, muszę się przeciwstawić twoim niecnym poczynaniom. Nie wolno ci zabierać tej nieszczęsnej dziewczeczki na powrót do zamku i czynić z niej obiektu zbrodniczych knowań. Już i tak spędziła dwa tygodnie w twoim towarzystwie - bez przyzwoitki lub błogosławieństwa Kościoła. Jej reputacja została bezpowrotnie splamiona, lecz można jeszcze uratować jej duszę!

Bernard odpowiedział tonem tak jedwabście łagodnym, że przysłuchujący się wieśniacy wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Zapewniam wielebno, że w tej wiosce nie znajdzie ksiądz duszyczki, która mogłaby rywalizować czystością z nieskazitelną duszą panny Wilder!

Kapłan okazał się na tyle przyzwoity, że oblekł twarz w wyraz skruchy.

- Właśnie dlatego nie mogę dopuścić, byś ją porwał... chyba że wasz związek zostanie pobłogosławiony przed boskim ołtarzem!

Dwaj mężczyźni skrzyżowali ostro jak szpady wzrok. Na czole pastora pojawiły się kropelki potu, lecz to Bernard okazał się przegranym w pojedynku woli. Przyciągnął Gwendolyn do swego boku.

- Widzi panna determinację pocziwego księżulka? Czy chcemy, czy nie, zamierza nas pobłogosławić w imieniu swojego Kościoła. Co ty na to, kochanie? Zechcesz mnie poślubić?

Głos Bernarda przywołał Gwendolyn do przytomności. Cały gniew skierowała na nieszczęsnego pastora.

- Jak możesz żądać ode mnie podobnej hańby? Miałabym wyjść za tego aroganckiego lubieżnika bez krzty miłosierdzia czy współczucia w sercu, które nie zna przebaczenia?

- Kapłanie, słyszałeś, co powiedziała dama. Jej decyzja zamyka sprawę. Teraz wybac, bo nam spieszno... - Zręcznie wyminał pastora, który gapił się za nimi znad przyciśniętej do piersi Biblii. Bernard i Gwendolyn mijali opłotki wioski, gdy na ścieżkę padł kolejny cień. Młody MacCulloch zmierzył uważnym okiem wzrost i szerokość barków nowego przeciwnika i przybrał zamyślony wyraz twarzy. Lata spędzone w Królewskiej Marynarce nauczyły go, że rzadko spotyka się naprawdę godnego siebie adwersarza, ale gdy już miało się to szczęście, należy podejść do niego z respektem.

Izzy przerzuciła bojowy topór szkockich górali z ręki do ręki, aż nastroszone kędziory zatrzęsły się jak gniazdo grzechotników.

- Chłopcze, jeśli wolisz zachować głowę na tym wątłym karczku, posłuchasz wielebno i uszanujesz cnotę mojej dziewczynki. Może i nie opiekowałam się nią tak, jak powinnam, ale niech mnie diabli porwą, gdybym stała spokojnie i patrzyła, jak taki powsinoga, rozparzony cap, zabierają i nawet nie pyta o zgodę!

Bernard obejrzał się przez ramię i ujrzał tuż za plecami wielebnego, który szczyrzył zęby w isticie wniebowziętym uśmiechu. Zgiął się wpół i zamiótł ścieżkę przed Izzy w dwornym ukłonie.

- Niech nikt nie odważy się rzec, iż czegokolwiek odmówię damie dzierzającej topór! Chodź, słodka Gwendolyn! Wygląda na to, że jednak zostaniesz mi poślubiona!

Dłoń dziewczyny pod jego łokciem była zimna jak lód.

Nie minęła godzina, a Gwendolyn i Bernard wzięli ślub we dworku zarządcy. Wieśniacy, nie chcąc stracić najdrobniejszego szczegółu nieoczekiwanej ceremonii, stłoczyli się w zadymionej kuchni. Kolejno zmieniali się przy drzwiach prowadzących do bawialni, gdzie przywódca ich klanu i chmurna oblubienica wypowiadali słowa przysięgi. Na żadnym szkockim ślubie nie popłynęło jeszcze tyle szczyrych łez wzruszenia.

- To miało być moje wesele! - Kicia szlochała tak, że łzy plamiły jedwabny fontaż Tuppera.

- To miał być mój mąż! - jęczała Glynis. Schowała zasmarkany nos w chusteczkę i zatrabiła donośnie.

- To niesprawiedliwe! Czemu Gwendolyn przypada cała jego fortuna? - krzywiła się Nessa i gwałtownie pociągała nosem, uważając, by nie przybrał mało twarzowej makowej barwy.

Wtem jej oczy pojaśniały.

- Cóż, ma już żonę... ale przecież będzie potrzebował kochanki!

Wielebny Throckmorton z trudem odczytywał słowa modlitwy przez zamglone od łez okulary. Jego głos i odpowiedzi młodej pary zagłuszył krzepki ryk berbecia, którego tuliła do piersi Marsali. Nawet stoicko usposobiona Izzy, która przez

cały czas ceremonii stała za oblubieńcem na wypadek, gdyby w ostatniej chwili próbował się wymknąć, odłożyła topór, by otrzeć z policzka samotną łzę. Tylko narzeczona miała suche oczy. Powtarzała z dobitną precyzją słowa, które wiązały ją dozgonnym węzłem z Bernardem MacCulloghem. Ktoś zdjął różany wianek z głowy Kici i nasadził go na złote pukle Gwendolyn, ale ozdoba przekrzywiła się i wciąż spadała na jedno z błyszczących gniewem oczu. Dwa razy trzeba było przerywać ceremonię: raz, gdy Lachlan przyłapał starego Tawisa, jak wymyka się do ogródka w nadziei na odkopanie złota; i wtedy, gdy ojciec Gwendolyn drugi raz tej nocy wygramolił się z łóżka i wmaszerował do bawialni z nieprzytomnym uśmiechem na ustach, odziany jedynie w beret z piórami.

Ktoś okazał się przezorny i posłał na zamek z poleceniem, by przyprowadzono powóz weselny, którym Kicia i Tupper mieli udać się do Edynburga. Do tej karocy wsadzono Gwendolyn i Bernarda po kulminacyjnej chwili, gdy pan młody złożył na wargach swej oblubienicy cnotliwy pocałunek i dołożył do niego obietnicę, że będzie bezgranicznie wielbił jej wdzięki. Potem rozsiadł się na miękkich poduszkach naprzeciw niej i zastukał w dach, dając stangretowi sygnał do odjazdu. Karetą potoczyła się naprzód przy akompaniamencie okrzyków gratulacji i zachęty. Radość na twarzach wieśniaków świadczyła niedwuznacznie, iż uważali swój dług wobec głowy klanu za ostatecznie spłacony i mogą zająć się wreszcie swoimi codziennymi sprawami.

Powóz skrzypiał na stromym kamienistym podejździe. Gniew Gwendolyn zelżał nieco i przeszedł w niepokój. Zerknęła spod rzęs na Bernarda, nie mogąc uwierzyć, że patrzy na męża. Przedtem mógł tylko rabunkiem zabrać jej to, czego pożądał.

Teraz należała do niego ciałem i duszą. Mimo to był dla niej wciąż obcy, bardziej nawet, niż ów człek bez twarzy, który niegdyś zakradał się nocą do jej sypialni. Wyjrzała przez okno karety, walcząc z paraliżującą nieśmiałością, ale blask księżyca za firanką uświadomił jej, ile jeszcze godzin dzieli ją od zbawczego świtu.

Bernard widać zauważył, że dziewczyna drży na całym ciele, gdyż odpiął broszę z godłem MacCulloghów, spinającą tartanowy pled i owinął nim ramiona Gwendolyn. W czasie małżeńskiej przysięgi kurczowo trzymał jej dłoń, lecz teraz niemal cofał się przed najbliższym kontaktem ich ciał. Kiedy z powrotem usiadł po swojej stronie powozu, Gwendolyn przerwała ciszę.

- Cóż, gratuluje, Jaśnie Panie Smoku! Będzie pan miał tę dziewczicą ofiarę!

Utkwił spojrzenie w oknie, zwracając ku niej jedynie profil - stężały, jak wycięty z kamienia.

- Nie powinnaś nigdy ofiarować mężczyźnie daru, który wolałabyś zatrzymać dla siebie. Szczególnie...

- ...mężczyźnie takiemu jak pan? - dokończyła szeptem. Nie zdążył przytaknąć, gdyż przed nimi wynurzył się z mroku zamek Weyrcraig w całej okazałości. Kareta zwolniła i zatrzymała się przed wrotami. Odźwierny rozchylił kute żelazne skrzydła i powóz wjechał na podwórzec. Bernard pomógł jej wysiąść. Gdy prowadził ją do zamku, przypomniała sobie tamtą burzliwą noc, gdy niósł ją na wpół zemdloną przez dziedziniec. Oto wracała - nie jako więzień, lecz jako panna młoda. Przy drzwiach powitał ich odziany w czerń mężczyzna.

- Dobry wieczór, milordzie. Czy mam powiedzieć Cookowi, żeby przygotował późną wieczerzę dla pana i dla... -

patrycjuszowski nos wydłużył się odrobinę, gdy pompatyczny kamerdyner niepewnym wzrokiem obrzucił Gwendolyn -...dla tej lady?

Bernard odmówił ruchem głowy.

- Nie trzeba, Jenkins. Zwalniam ciebie i całą służbę na resztę nocy. Weźcie szalupę i popłyńcie na statek.

Mężczyzna zaprotestował.

- Ależ, milordzie... a jeśli będzie pan nagle czegoś potrzebował?

Bernard otoczył zaborczym ramieniem plecy Gwendolyn.

- Zapewniam cię, że umiem zaspokoić wszelkie potrzeby mi lady.

Jego słowa sprawiły, że dreszcz niepokoju przebiegł jej po plecach. Przedtem był tu przynajmniej jeszcze Tupper, teraz będzie zdana wyłącznie na łaskę mężczyzny, który wyznał już przecieź, że nie ma w sercu ani szczypty litości. Bernard łagodnie, ale stanowczo popchnął ją w kierunku głównych schodów, jeszcze zanim kamerdyner ruszył, by wypełnić polecenie pana.

Kamienne stopnie zostały oczyszczone z gruzu i już nie tonęły w mroku, bo oświetlały je dwa rzędy świec w mosiężnych lichtarzach. Potrzaskana drewniana balustrada zniknęła, a na jej miejscu pojawiła się kunsztownie rzeźbiona mahoniowa poręcz. Gwendolyn spodziewała się, że i wyżej natknie się na podobne oznaki komfortu, lecz gdy wspinali się krętymi schodkami na wieżę, kraciasty pled Bernarda na jej ramionach wydał się pod chłodnym uderzeniem wiatru. Brnęła wśród odłamków i belek, które świadczyły dobitnie, że tej odległej części zamku nie odwiedziły ekipy naprawcze. Na pierwszym podejściu skręcili i Gwendolyn stanęła twarzą w twarz z pamiętną wyrwą w północnym murze. Pozostałe partie zamku poddawały się

stopniowo procesom cywilizacyjnym, lecz ten zakątek uparcie bronił swego dzikiego i nieokiełzanego piękna. Mrowie gwiazd migotało na atramentowo czarnym niebie jak roziskrzone okruchy lodu. U stóp klifu, jak w kipiącym rozszalałą bielą piany kotle czarownic, burzyły się morskie fale. Ręka Bernarda na jej ramieniu stężała i przez krótki jak mgnienie oka, lecz przerażający moment Gwendolyn myślała, że mężczyzna pchnie ją w otchłań w odwecie za grzechy ojca. Ale muskularne ramię wślizgnęło się za jej plecy i otoczyło ją w pasie mocnym uchwytem. Gdy Bernard odciągnął ją od skraju przepaści, zamknęła oczy i wyczerpana emocjami oparła się o niego. Nagle usłyszała koło ucha jego szept:

- Patrz pod nogi!

Ostrożnie przesuwając stopy obok wyrwy. Na szczycie schodów usłyszała znajome skrzyknięcie i boazeria odchyliła się pod jego dłoń. Przez zakratowane okno do celi wpadały księżycowe promienie, osrebrzając sennym blaskiem wypalone do połowy kolumnienki świec i skłębioną pościel na łożu. Spod uniesionego wieka kufra w kącie wylewały się zwoje koronek i wstążek. *Triumfacyjnego rozumowania* mości Manderly'ego wciąż leżał grzbietem do góry na posadzce. Od odejścia Gwendolyn nic tu się nie zmieniło.

- Zostawiłeś ten pokój specjalnie dla mnie, czy miałeś nadzieję, że poddani podrzucą ci na progu zamku inną dziewicę?

Bernard oparł się plecami o ukryte drzwi i skrzyżował ramiona na piersi.

- Raczej liczyłem tym razem na doświadczoną rozpustnicę. Dziewice wymagają zbyt wiele zachodu!

Podeszła do kufra i wyłowiła ze stosu ozdób długą wstążkę.

- Skoro już o rozpustnicach mowa, spodziewałam się, że zwrócisz strojne szmatki kochanicy, od której je wypożyczyłeś.

- Obawiam się, że to niemożliwe. - Zamilkł. Gwendolyn ujrzała, że jego wysunięty zaczepnie podbródek tężeje w nagłym skurczu. - Widzisz, należały niegdyś do mojej matki.

Wstążka wyslizgnęła się z jej zmartwiałych palców. Od ruchowo wygładziła plisę taftowej spódnicy.

- Moja matka była praktyczną osobką i trudno byłoby znaleźć w niej choćby odrobinę próżności, lecz ojciec lubował się w obsypywaniu jej takimi darami. Zwoził bele kosztownych tkanin prosto z najlepszych sklepów bławatnych Paryża i Londynu. - Bernard podniósł z posadzki zakurzony tom i zaczął przewracać złocone na brzegach stronicę. - Książki natomiast należały do niego. Nie tracił nadziei, że i ja zacznę wykazywać zainteresowanie wiedzą, lecz zbyt byłem zajęty polowaniem i sokolnictwem. Uważałem się za wojownika, nie uczonego.

- Był z ciebie bardzo dumny. Wiedziałeś o tym?

Bernard rzucił książkę na stół.

- Tamtej nocy, gdy do zamku wtargnęły zbiry Cumberlanda, nie dowiodłem specjalnego męstwa ani kunsztu wojennego.

- Ale udało ci się uratować życie!

- Tylko dlatego, że jeden z oficerów w armii Cumberlanda okazał się sprytnym sukinsynem, który serdecznie nienawdził wszystkiego co szkockie, żywiąc jednocześnie przeciwne naturze skłonności do gładkich pacholąt.

Gwendolyn nie mogła złapać tchu przez tak długą chwilę, że zaczęła się obawiać, iż się udusi.

- Ale... czy on...?

- Bardzo chciał. Och, z początku wysyłał subtelne sygnały: dwuznaczny żarcik, zawołaną groźbę, przelotne i jakby przypadkowe dotknięcie. Dopiero pewnego dnia w czasie marszu do Edynburga przyłapał mnie samego w lesie. - Bernard pochylił głowę. Gwendolyn zdążyła jednak zauważyć,

jak sposepniała twarz powleka się cieniem. - Rzucił mnie na ziemię i trzymał mocno. Próbował mnie macać tymi tłustymi, wstrętnymi łapskami!

- Co zrobiłeś?

Unióś głowę i posłałej śmiałe, niemal wyzywające spojrzenie.

- Zabiłem go! Wypatroszyłem go jego własnym sztyletem. A kiedy wyzionął ducha, stałem nad nim z dłońmi ociekającymi jego krwią... i nie czułem nic. Ani wstydu, ani wyrzutów sumienia, ani żalu.

Jeśli oczekiwał, że dziewczyna okaże odrazę, to się srodze pomylił. Gwendolyn poczuła jedynie dziką satysfakcję, że zdeprawowany dręczyciel doczekał się śmierci.

- Byliby mnie ścięli, ale wreszcie doszli do wniosku, że rzucą mnie na pożarcie machinie Marynarki Królewskiej, która o wiele skuteczniej złamie we mnie opornego ducha. Załadowali mnie na pokład jednego ze statków kotwiczących w Edynburgu. Kapitan natychmiast zamknął mnie w jednej z komórek używanych do transportu murzyńskich niewolników. Była nie większa niż grobowa nisza. Do jedzenia dostawałem tyle chleba i wody, by pozostać przy życiu jeszcze długo potem, gdy udęczony zacząłem się modlić o śmierć jak o wybawienie.

Przymknęła oczy, starając się wyrzucić z wyobraźni obraz dumnego, bystrookiego chłopca, którego dzieciństwo wypełniały swobodne włóczęgi po wrzosowiskach i górach Szkocji, zamkniętego w mroku okrętowej celi tak małej, że więzień dusi się odorem własnych wydzielin.

- Jakim sposobem pozostałeś przy zdrowych zmysłach?

Wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien, czy zachowałem wszystkie klepki. Kiedy wreszcie dopłynęliśmy do Anglii, przypominałem raczej zwierzątko niż chłopca. Sam siebie nie rozpoznawałem. Okręt

zakotwiczył i wtedy przyszedli po mnie, wyciągnęli z celi i cisnęli na pokład u stóp admirała marynarki. Początkowo sądziłem, że to taki sam krwiożerczy zbir, jak wszyscy inni Anglicy, więc rzuciłem się na niego i gdyby nie osłabienie wielodniowym więzieniem, może udałoby mi się rozerwać mu gardło zębami. Za ten pokaz gwałtowności mógłby mnie kazać powiesić na rei, ale zamiast tego wydał rozkaz, by wszystkich członków załogi obnażyć do pasa i wymierzyć po dwadzieścia batogów za znęcanie się nad dzieckiem. - Bernard potrząsnął głową. - A mnie po głowie tłukła się tylko jedna myśl: „Jak ten królewski łajdak śmie nazywać mnie dzieckiem?”

Na drżące wargi Gwendolyn wypełził cień uśmiechu. Bernard mówił dalej:

- Admirał Grayson okazał się naprawdę pocziwym Anglikiem. Owszem, był raczej rogi w obejściu, ale miał dobre serce. Jego żona umarła, wydając na świat martwego syna, więc zwrócił na mnie szczególną uwagę. Kiedy osiągnąłem odpowiedni wiek, kupił mi patent oficerski, a gdy skończyłem służbę w marynarce, namówił swoich wpływowych przyjaciół, by zainwestowali w moją kompanię handlową. Od samego początku zamierzałem kiedyś powrócić do Ballybliss, lecz w tych okolicznościach sądziłem, że przyzwolicie będzie czekać z tym aż do jego śmierci.

Teraz dopiero Gwendolyn pojęła, czemu Bernard okazywał lojalność w stosunku do tych, których powinien uważać bez wyjątku za zaprzysięgłych wrogów. Zrozumiała, czemu nauczył się ich akcentu, czemu ubierał się na ich modłę i walczył po ich stronie. Wyprostowała ramiona, aż kraciasty pled zsunął się na podłogę, i ruszyła ku niemu. Bernard patrzył spod czujnie przymrużonych rzęs, lecz nie uczynił nic, by ją zatrzymać, nawet wtedy, gdy wyciągnęła dłoń i zaczęła głaskać go po

twarzy. Kiedyś też gładziła ją tak opuszkami palców, starając się odkryć straszliwą deformację czy bliznę, lecz dopiero teraz pojęła, że ten człowiek prawdziwe blizny ma wryte głęboko w duszy.

- Moje biedaczysko, mój Smoku! - wyszeptła, wodząc dłonią po twardym łuku podbródka. Czuła pod palcami stężące mięśnie szczęk zaciśniętych aż do bólu. - Traktowali cię jak bestię, nie miałeś więc wyboru: musiałeś się nią stać.

Uwięził jej dłoń w żelaznym uchwycie.

- Niech piekło pochłonie twoją litość, Gwendolyn! Nie tego od ciebie pragnę!

- Czegóż więc? - przechyliła głowę i spojrzała na niego wyczekująco.

- Tego... - wyszeptał ochryple i jego zgłodniałe spojrzenie ześlizgnęło się z oczu dziewczyny na jej wargi. - Tego od ciebie chcę!

25

Poczuła usta Bernarda. Twardy język wciskał się pożądliwie między wargi. Jego szybkie dotknięcia wzniciły w niej płomień namietności. Wczepiła palce w ciemną czuprynę, a gorące, szybkie muśnięcia języka w głębi jej ust oplatały ją jak zaklęcia czarnej magii. Pokonana, dobrowolnie wydała się na jego pieśczoły, choćby miała spłonąć w ich ogniu i zamienić się w szarą kupkę popiołu. Powinna może odczuwać lęk... ale miejsce, czas i mężczyzna rzuciły na nią urok tak mocny, że wszystkie obawy i zahamowania rozplynęły się w nicość. Odsunął wargi, a dziewczynie wyrwało się mimowolne westchnienie żalu. Wnet jednak przeszło w jęk rozkoszy, gdy poczuła żądła zmysłowych ukąszeń biegnące od kącika ust po krągłość policzka.

- Boże, jakże ja kocham te dołeczki! - mruknął z ustami wtulonymi w ich miękkość. - Tej nocy nie spocznę, póki nie zasmakuję ich do syta.

Przycisnął usta do bezbronnego wgłębienia u podstawy szyi i lizał delikatnie miejsce, w którym czuł szybkie uderzenia pulsu. Powoli wędrował coraz wyżej, aż ujął między wargi

płatek małżowiny i posłał ruchliwy język na bój w głąb samego ucha, które odpowiedziało silnymi do utraty zmysłów doznaniem.

Łono dziewczyny eksplodowało falą namiętnego pragnienia, tamującego oddech. Jęk zmysłowej skargi zatonał w jeszcze głośniejszym okrzyku Bernarda. Gwendolyn myślała, że mężczyzna będzie zaspokajał swój głód zmysłów na jej ciele; okazało się, że jest odwrotnie. Każde muśnięcie języka, dotknięcie opuszków ruchliwych palców sprawiało, że czuła się coraz bardziej nasycona. Zatopiona w pocałunku nie zauważyła, kiedy zręczne męskie dłonie rozpięły haftki stanika. Dopiero powiew chłodnej nocnej bryzy na skórze uświadomił jej, że jest naga po pas. Natychmiast podniosła ręce do piersi, lecz Bernard był szybszy. Objął weszbrane półkule i uwięził tętniące sutki między kciukami i palcami wskazującymi obu dłoni. Delikatnie masował i szczypał, aż z gardła dziewczyny wydarł się przeciągły jęk rozkoszy.

- Nie wierzę, byś rzeczywiście nie zdawała sobie sprawy z własnej urody! - szepnął jej do ucha. - Jesteś taka... miękka, słodka, kragła wszędzie tam, gdzie najbardziej lubi dotykać mężczyzna.

Jakby chcąc dowieść swoich słów, przesunął dłonie z piersi na jej pośladki, przycisnął jej biodra do swoich i zaczął się kołysać, wprawiając jej ciało w wahadłowy ruch. Jednocześnie na jej usta spadła lawina pocałunków. Czuła nabrzmiałą sztywność jego organu napierającego na fałdy tartanowej spódniczki w dążeniu do miejsca, które obiecywało miękkość większą niż wełniana tkanina. Podniecający napór wzbudził w dziewczynie tak silne doznania, że niemal zabrakło jej tchu, a głęboko w trzewiach narodziła się iskra tak dzika i parząca, że Gwendolyn poczuła zdziwienie, iż całe jej ciało nie płonie jak

pochodnia. Wsunęła dłonie pod jego koszulę i palcami lekkimi jak piórka przebiegła po naprzężonych mięśniach brzucha. Rozgrzana skóra zdrzała pod jej dotknięciem.

- Jeśli sięgniesz palcami centymetr niżej, nasze weselisko skończy się, zanim jeszcze miało szansę porządnie się zacząć! - syknął przez zaciśnięte zęby.

Gwendolyn posłusznie przesunęła dłoń wyżej i pogłaskała szeroką pierś, pokrytą miękkim meszkiem.

- Pół życia czekałam na tę noc... chciałabym, żeby trwała wiecznie!

- Zrobię więc wszystko, by nigdy nie nadszedł świt.

Zebrał fałdy powiewnej sukni i przerzucił je nad głową dziewczyny, a ona zamknęła oczy i poczuła wdzięczność do losu, że nie ma upodobania do gorsetów i krynolin, dzięki czemu Bernard nie napotkał wielu przeszkód na drodze do rozkoszy. Musiał tylko zsuwać obszyte fałbanką majteczki wzdłuż dziewczęcych nóg, aż dotarł tak nisko, że jej pozostało zrobić mały kroczek i już stała przed nim naga, jak ją Pan Bóg stworzył. Bernard klęczał u jej stóp, a w uniesionych ku górze oczach płonęło pożądanie. Przez chwilę spodziewała się, że weźmie ją natychmiast tam, gdzie się znajdowali - na chłodnych płytach posadzki.

Poderwał się na nogi i zgarnął ją w ramiona, by zanieść na posłanie. Gwendolyn większość swego życia spędziła, stojąc obiema stopami mocno na ziemi, więc kiedy niósł ją w powietrzu, poczuła zawrót głowy, tak upojne było to nowe doznanie. Bernard złożył ją na puchowym materacu i położył się na niej. Zamiast umrzeć, przygniecioną ciężarem, drżała z uniesienia, gdy twardy i parzący język wdierał się w jej usta, a równie gorąca i wyprężona męskość napierała na jej brzuch.

Kiedy odchylił się do góry, by zdjąć koszulę i odwinąć



spódniczkę, zadygotała z tęsknoty do ciepła dotyku, którego ją chwilowo pozbawił. Na skłębione prześcieradła padały równoległe cienie prętów okiennej kraty, wyrzeźbione przez księżycowe promienie. Tkwiła uwięziona między nimi - ponownie w niewoli, skąpana w srebrzystym blasku, podczas gdy jego ciało kryło się w mroku. Wyobraźnia podpowiadała jej, jaki obraz przedstawia jego oczom: rozrzucona na satynowym prześcieradle jak jedna z owych rozpustnych, zmysłowo pulchnych półboginek, podglądających ich z plafonu. Choć ukrył oczy w cieniu, wiedziała, że chłoną zachłannym spojrzeniem jej ciało, aż czuła podniecające mrowienie. Z ciemności odezwał się głos, z którego zniknęły wszelkie naleciałości lat spędzonych w Anglii:

- Czy wiesz, że to była moja chłopięca sypialnia? Wiele bezsensownych nocy spędziłem na plecach, wpatrzony w ten przeklęty fresk. Marzyłem, że kiedyś zdarzy się cud i jedna ze zmysłowych nimf czy bogiń spłynie z niebieskich obłoków wprost w me ramiona. - W ciemności słyszała jego ciężki oddech. - No i proszę: stało się!

Zapłonęła się po szyję, a piersi nabrzmiały i zaczęły ją poboławać z napięcia, domagając się przysługującej im części męskiej uwagi. Dziewczyna leżała rozpostarta na łożu słodkich tortur: nie wiedziała, gdzie spadnie dotknięcie z ciemności. Mogła tylko czekać i drzeć.

Bernard pochylił głowę i czubkiem języka dotknął jednego z tętniących sutków, a ją przeszedł dreszcz pożądania tak potężny, że całe ciało zadrgało spazmatycznie. Wygięła się w łuk, wychodząc naprzeciw niemu. Paznokciami przeorała śliską gładź prześcieradła. Czuła, jak delikatne kąsanie zębów wyzwala kaskadę płynnego nektaru pomiędzy udami. Zanim zdołała nabrać powietrza w zdyszane płuca, sięgnął ustami do

zagłębienia w wewnętrznym łuku kolana. Szczecina zarostu załaskotała ją w łydkę, lecz dotknięcie warg było wilgotne i ciepłe. Zaczął powoli przesuwać usta wyżej, z każdym nowym pocałunkiem rozwierając jej uda szerzej, aż ogarnęło je gwałtowne drżenie. Przesunął dłoń po mlecznobiałej, dziewiczo gładkiej równinie brzucha:

- Nie musisz się obawiać, mój prześliczny aniele! Tej nocy bestia odeszła, pozostawiając zwykłego mężczyznę, który niczego na świecie nie pragnie tak mocno, jak ukochać swoją oblubienicę!

„Oblubienica...”

Gwendolyn niemal zapomniała, że sam Bóg półbogostawił ich igraszki. Te doznania były tak rozkoszne, iż wydały jej się grzeszne. Z dreszczem zaskoczenia przyjęła kolejną niespodziankę, gdy dłonie Bernarda objęły półkule jej pośladków, unosząc ją i otwierając na przyjęcie najsłodsze i najbardziej świętokradczego pocałunku. Skuliła się w przypływie niewyobrażalnej rozkoszy i palcami wczepiła kurczowo w jego czuprynę. Podniosła oszołomione oczy na boginki na plafonie, zastanawiając się, czy owa zakazana ekstaza była udziałem tych zmysłowych stworzeń? Persefona posłała jej spojrzenie osoby znającej się na rzeczy, a rozchylone wargi zapłonionej Psyche zdawały się poruszać potakująco. Wtem Bernard dotknął językiem istoty jej kobiecości i sprowadził ją z powrotem na ziemię. Wciąż dygotała w spazmie rozkoszy, gdy podźwignął się wyżej i odnalazł ustami jej usta. Poczowała smak ambrozji - swojego własnego pożądania.

- Gdybym wiedziała, jak słodko jest być pożeraną przez Smoka, sama przywiązałabym się do tego pala! - wyszeptwała w dyszące gorącym męskie usta.

- Teraz, kiedy cię zakosztowałem, mój apetyt wzrósł po

stokroć! - odmruknął i zaczął kasać jej szyję. Natarczywe palce dały jej niedwuznaczny sygnał, jaka potrawa zaspokoi spotęgowany głód. Dwa z nich zanurzyły się głęboko w jej szparę. Krople rosy, która wystąpiła na płatki jej kwiecica pod dotknięciem jego ust, posłużyły mu teraz, by ją przygotować na przyjęcie mężczyzny. Uniósł się nad nią, rzucając cień na osrebrzone księżycem ciało. Gwendolyn zaczęła drżeć z napięcia oczekiwania. Ujął jej twarz w złożone dłonie.

- Niegdyś dowiodłaś odwagi, gdy zstąpiłaś do nory Smoka i stawiałaś mu czoło w jego własnym leżu... nie mów mi, że teraz się boisz?

- Nie, nie boję się. Jestem tylko przerażona! - czułymi palcami odsunęła z wilgotnego męskiego czoła kosmyk włosów.

Bernard spojrzął jej głęboko w oczy.

- Wiesz co? Ja też!

To niechętnie przyznanie dodało Gwendolyn odwagi. Rozłożyła nogi. Zanurzył się w nią z urywanym jękiem ulgi. Jego rozkosz była tak wielka, że dziewczyna zdusiła chęć krzyku, a ból penetracji minął niemal natychmiast, wyparty pierwotnym uniesieniem kobiety, którą mężczyzna wypełnia aż po nasadę tętniącego organu. Z tego pala nie było ucieczki! Bernard począł rytmicznie wynurzać się z niej i ponownie zagłębiać, z każdym pchnięciem wchodząc nieco dalej - a Gwendolyn zrozumiała, że nie ma najmniejszej ochoty uciekać.

Owinęła go ramionami i zawisła wczepiona w niego, jakby od tego zależało jej życie. Już nie zdoła się od niej uwolnić - ani chłopiec, którego uwielbiała dziecięcą miłością, ani mężczyzna, którego pokochała jako kobietą. Podała się ku niemu z zapałem, chcąc wchłonąć jego istotę we wszystkich wcieleńiach, w jakich dał jej się poznać: anioła i demona, pacholęcia i dojrzałego mężczyzny, męża i obcego. Nie próbowała już się

buntować przeciw pełnemu czułości ujarzmieniu. Poddała się zabiegom mistrza i czerpała rozkosz z niewoli w okowach rozkoszy, którą tak szczerze ją obdarzał.

Bernard oparł dłonie po obu stronach jej głowy i wahadłowym ruchem wchodził coraz głębiej. Nie spuszczał z niej oczu, ożywionych pradawnym pragnieniem. Kołysał się w rytmie starym jak świat, wspinając się crescendo zmysłów po łuku jej ud.

Wydyszał:

- Wyznałaś mi, że kiedyś byłaś prawie we mnie zakochana... Cóż, jestem zachłanny i nie zadowolę się niepełnym uczuciem. Kochaj mnie do końca!

Jednocześnie zmienił pozycję ciała, tak wymierzając pchnięcia, by z każdym ruchem drażnić wrażliwy pączek zakwitający u szczytu trójkąta wilgotnych kędziorów. Usłyszał słowa, których zażądał, wydarte z jej trzewi na fali wszechogarniającego przypływu rozkoszy. Zesztywniał cały w skurczu tej samej ekstazy, która szarpała jej łonem. A w górskiej dolinie kilku wieśniaków przeżegnało się znakiem krzyża, bojaźliwie przysięgając, że znowu posłyszeli ryk Smoka.

Gwendolyn stała na stole pod zakratowanym oknem. Bezpieczna w objęciach Bernarda, śledziła księżyc dryfujący po niebie. Promienny dysk zniżał się ku morskiej toni. Okręt, który przywiózł tutaj młodego MacCullogha, by mogła go odzyskać i pokochać, kołysał się zakotwiczony w zatoczce. Nagie maszty przecinały srebrzystą, tarczę kreską cienia. Kobieta i mężczyzna wiedzieli, że nie sposób zatrzymać nocy na wieki.

Pofalowana linia horyzontu wchłonęła ostatnie księżycowe promienie. Ramię Bernarda wokół niej stężało, a ona pochyliła

nań głowę i westchnęła z mimowolnego żalu. Oboje byli nadzy, a choć Gwendolyn pojmowała, że nie jest to powód do wstydu, ciemność ośmielała ją tym bardziej. Odwróciła się przodem do Bernarda i osunęła na kolana. Poczul na brzuchu miękkie dotknięcie warg i wsunął dłoń w złociste sploty.

- Co ty wyrabiasz, kobieto? Chcesz mnie przywieźć do szaleństwa?

Żadne słowa nie wyraziłyby tego, co miała w sercu, poniechała więc i za jedyną odpowiedź dała mu pieściznę. Palce wplecione w jej włosy stuliły się w pięści. Odrzucił głowę do tyłu, a mięśnie szyi zadrgały, gdy z gardła wydarł mu się jęk najwyższej rozkoszy, Gwendolyn, pragnąc odkupić winy ojca, odkryła, że zamiast pokuty odprawia zmysłowe misterium. Zarówno ona, jak i Bernard doświadczali mieszaniny władzy i bezbronności i to uczucie wyniosło ją na szczyty ekstazy. Już nie była niewolnicą, lecz ochoczą ofiarą na ołtarzu jego przyjemności. Odpuszczenie było słodsze, niż mogła się spodziewać... lecz najśłodsza okazała się chwila, gdy Bernard padł na kolana przy niej i przycisnął jej policzek do ciężko walącego serca.

Różane promienie świtu dawno już poczęły ogrzewać komnatę, lecz Bernard wciąż siedział w cieniu obok łóża, wpatrzony w śpiącą Gwendolyn. Złotowłosa i jasnoskóra, wydała mu się istotą utkaną ze światła. Samo jej istnienie rozpraszało najgłębszy mrok.

Odchylił się w fotelu i poprawił tartanową spódniczkę, którą nakrył się jak kocem. Kiedy indziej poczułby w takiej chwili ochotę na szklaneczkę porto i korzenne cygaro, lecz nie dzisiaj. Wolał zatrzymać w ustach smak jej ciała i warg. Leżała zwinęta w kłębek na zmierzwiionych prześcieradłach. Policzek oparła na stulonych dłoniach, ukazując wargi wciąż nabrzmiałe

od pocałunków. Jego męskość drgnęła i uniosła się na samo wspomnienie, jak szczodre okazały się te usta o brzasku...

Wyciągnął rękę, by pogłaskać kosmyk jasnych włosów na jej czole. Pierwszy raz od piętnastu lat pragnienie chronienia wzięło w nim górę nad pragnieniem niszczenia. Chciał i musiał ją osłonić - nawet jeśli niebezpieczeństwem był on sam!

Nie mógł dłużej omijać spojrzeniem zaschniętych plam na prześcieradle ani rdzawych smug na obnażonych udach Gwendolyn.

Niech pomsta sprawiedliwa zaciąży nad wszystkimi,  
Niewinną krew przeleje odwetu słuszny czyn!

Ciężar ojcowskiej klątwy przygiął głowę Bernarda w złożone dłonie. Rzeczywiście przelał niewinną krew - tylko po to, by się przekonać, iż niczego to nie zmieniło. Ostrzegał Gwendolyn, że uwielbiany przez nią chłopiec nie żyje... lecz aż do tej chwili nie poznał smaku prawdziwej żałoby po jego śmierci.

Tamten nie szukałby na niej pomsty za przewiny ojca. Nie przymusiłby dziewczyny do groteskowo pospiesznego małżeństwa... urządziłby jej porządne, huczne wesele i prawdziwą noc poślubną! Dostałaby łóżę zasłane czystymi prześcieradłami i kwiaty w wazonach, a pokojówka pomogłaby jej zdjąć suknię i przebrać się w dziewiczo białą koszulę nocną. Usiadłaby potem na stołeczku przed lustrem i patrzyła na swoje odbicie, a służebna wyszczotkowałaby jej włosy i może odpowiedziała przy tym na pytania, dręczące kogoś, kto nie wie, czego się spodziewać po takiej nocy.

On zaś nie przyszedłby do niej w ciemnościach, lecz w pełnym blasku kandelabrow i zaproponował kieliszek wina dla ukojenia nerwów. Potem ukradłby jednego czy dwa niewinne

całusy... dopiero potem zaniósłby ją na łożo, łagodnie złożył wśród spiętrzonych poduszek i kochałby ją z rozwagą i wstrzeźliwością, na jaką zasługiwała. Na pewno nie powinien wchodzić w nią raz po raz, nie pozwalając jej ciału dojść do siebie po każdym zespoleniu. Zamiast tego rzucił się na nią z ferworem wygłodniałego celibanta i pokalał ją brutalnymi pieszczotami! Podniósł głowę i powiódł zrozpaczonym spojrzeniem po wdzięcznym łuku jej pleców. Tak, chłopiec, który już nie żył, obdarowałby ją sowicie: domem, dziećmi, sercem. Bernard chciał uwierzyć, że i teraz jest zdolny dać jej to wszystko, lecz za każdym razem, gdy na nią spoglądał, przypominał mu się pakt, który jej ojciec zawarł z diabłem, i cena, jaką on sam zań zapłacił.

Powróciły wspomnienia, które przegnał precz piętnaście lat temu: ciepły, słony zapach kuca mokrego od ulewy... głęboki turkot ojcowskiego śmiechu... czułe dotknięcie matczynych palców wygładzających loki nad czołem. Alastair Wilder okradł go z przeszłości, a teraz zamierzał go jeszcze obrabować z przyszłości!

Nareszcie poznał oblicze wroga. Należało do człowieka, którego nigdy nie szanował i poważał, któremu jego ojciec ufnie złożył w ręce wszystko, włącznie z życiem swoim i swoich najbliższych. Alastair Wilder sprzeniewierzył się temu zaufaniu, zaskarbiając sobie wieczną nienawiść Bernarda. Lękał się, że z upływem czasu ta nienawiść zatruje wszystko, czego się tknie - nawet Gwendolyn.

Obawy okazały się uzasadnione. Jej dobrowolnie darowany pocałunek skazał go na wieczną wędrówkę w krainie cieni. Tyle że teraz musiał odejść, dźwigając dodatkowy ciężar: świadomość, iż ciemność to wyrzeczenie się nie światła, lecz jej.

We śnie przyszedł do Gwendolyn Smok. Drzemała zwinięta w kłębek na łożu z drzewa sandałowego i zapachu goździków, gdy padł na nią jego cień.

Jak długo mogła, odwlekała chwilę przebudzenia. Nie podnosiła powiek, lecz wyciągnęła ramiona, szepcząc jego imię. Początkowo myślała, że znowu wsunie się między jej uda i wypełni uczucie pustki, które odczuwała z dala od niego. Zamiast tego zgarnął ją w ramiona, musnął wargami czoło, dołek w policzku, kącik ust.

- Czy to już ranek? - wymamrotała z ustami przy jego szyi. Mięśnie jego ramion stężyły, gdy odszepnął:
- Nie dla mnie!

Wcisnęła się głębiej w znajome ciepło.

- Czy to znaczy, że mam się obudzić?
- Nie, aniele... śpij, jak długo zechcesz.

Złożył jeszcze jeden pocałunek na rozluźnionych wargach i położył ją z powrotem na pościeli. Otulił ją miękkim kraciatym pledem, a palce dziwnie ociagały się przy każdym dotknięciu. Powoli jego cień oddalił się od niej. Gwendolyn zagrzebała się w tartanowy kokon i zasnęła w poczuciu bezpieczeństwa, pewna, że Smok będzie czuwał nad jej snem.

Kiedy powtórnie otworzyła oczy, na jej piersi siedziała bestia. Kiedyś zareagowałaby wrzaskiem. Teraz pomyślała jedynie, że tylko cud mógł sprawić, iż oddycha, pomimo martwego ciężaru rozciągniętego na niej. Toby otworzył leniwie jedno kocie oko i przymrużył je w odpowiedzi na jej senne mrugnienie.

- Jak udaje ci się zachować tę pulchność? Wiem, że nie łowisz myszy! - Pyszne wąsy zatrzepotały w tak oburzonym

proteście, że wybuchnęła śmiechem. - Hm, pewnie chciałbyś zadać mi to samo pytanie?

Za całą odpowiedź rozczapierzył pazury i zaczął ugniatać pled. Podniosła zwierzaka delikatnie i odstawiła na bok, zanim zdołał przedziurawić jej płuco. Potem sama usiadła. Tym razem nie musiała zastanawiać się, jakim sposobem kot dostał się do wieży. Drzwi w boazerii kołysały się, uchylone. Bernarda nie było w komnacie.

- Mam nadzieję, że poszedł po śniadanie - zwierzyła się kotu i przeciągnęła zeszywniałe mięśnie, a widząc, pod jakim kątem padają przez zakratowane okno słoneczne promienie, poprawiła się: - ...albo obiad!

Uniosła kącki ust w psotnym uśmiešku. Nawet ów naburmuszony angielski kamerdyner nie mógłby jej winić, że wyleguje się w łóżku do południa, skoro to jego pan nie pozwalał jej zasnąć przez ponad połowę nocy! Wieśniacy w jednym mieli rację: smoczy apetyt naprawdę okazał się nienasycony. Gwendolyn padła na poduszki, krztusząc się chichotem godnym pensjonarki. Pościel nie pachniała już drzewem sandałowym i goździkami, tylko wonią wilgotnej ziemi, wspomnieniem ich miłości. Wciągnęła głęboko powietrze, rozkoszując się obrazami, jakie ten zapach wywołał w pamięci. Posłała uśmiech ku postaciom na plafonie, rozważając podobieństwo historii Psyche i jej własnej. Kupidyn przychodził do swej kochanki tylko nocą- jak Smok do niej. Wymógł na dziewczynie obietnicę, że nie będzie próbowała ujrzeć jego twarzy. Gwendolyn zaczęła mozolnie odgrzebywać z zapomnienia dalsze szczegóły legendy, którą niegdyś opowiedziała jej matka. Psyche za namową zazdrosnych siostr złamała przyrzeczenie i zerknęła na oblicze Kupidyna, gdy spał. Ale że nachylała się nad nim z zapaloną świecą, kropla gorącego wosku kapnęła

na ramię bożka i obudziła go. Rozgniewany zdradą ukochanej, odleciał, przysięgając, że nigdy już nie powróci.

Uśmiech spętał z twarzy Gwendolyn. Usiadła prosto i wsłuchiwała się w ciszę królującą nad zamkiem. Nawet kot nie mruczał, wciąż obrażony, że zgoniła go z łóżka. Dziewczyna wstała i narzuciła pogniecioną suknię, a ramiona otuliła kraciatym pledem. Przymknęła powieki, wiedzioną tym samym dziecinnym odruchem nadziei, który odezwał się w niej pośród ruin kaplicy tamtej nocy, gdy wyruszyła na poszukiwanie Smoka. Ale tym razem nie poczuła podobnej pewności, że Bernard jest gdzieś w pobliżu. Otaczała ją jedynie mroczna otchłań, tym straszniejsza, że osnuta niezmaconą ciszą. Gwendolyn otworzyła oczy i wdrapała się na stół. Statek Bernarda mijał właśnie linię skalnego przyboju. Wydęte żagle łowiły pierwsze powiewy bryzy z południa.

Niemal dusząc się z braku tchu, biegła na najwyższe blanki forty. Gwałtowne uderzenie wiatru rozwiało jej włosy, które zasłoniły widok na morze. Przechyliła się przez parapet, wbijając paznokcie w mur. Wreszcie dostrzegła statek zbliżający się już do linii horyzontu. Piekące łzy nabiegły jej do oczu, lecz zanim obraz zamazał się doszczętnie, dostrzegła jeszcze samotną postać na dziobie. Czarna opończa powiewała wokół barczyśtych ramion jak smocze skrzydła.

Nie wiedziała, czy i on ją widzi. Być może złowił spojrzeniem błysk słońca odbijający się od złota jej loków... na pewno nie widział ramion wstrząsanych szlochem ani łez, które płynęły strumieniem po jej twarzy. Stała wyprostowana tak długo, jak długo istniała szansa, że widać ją z pokładu. Gdy statek roztopił się we mgle spowijającej horyzont, kolana ugięły się pod nią i Gwendolyn, kryjąc twarz w dłoniach, osunęła się na zimne głązy blanków. Nie wiedziała, jak długo kłęczy skulona pod

kamienną ścianą: może zaledwie kilka chwil, a może całą wieczność? Poderwała głowę na odgłos stąpania za plecami, a w piersiach rozgorzał płomyk nadziei.

Tupper stał tam i patrzył na nią ze współczuciem. Wyciągnął dłoń i odezwał się cicho:

- Przed kilkoma minutami dostarczono na zamek to pismo. Przypuszczam, że wolisz przeczytać je w samotności.

Wygladziła kremowy welin i wsunęła paznokieć pod znajomą czerwień woskowej pieczęci. Tym razem ręce Bernarda zabrakło zwykłej śmiałości. Zamaszyste pociągnięcia i wdzięczne pętle ginęły pod natłokiem kleksów i atramentowych smug.

- *Pani moja!*- zaczęła odczytywać cichym, lecz równym głosem. - *Kłątwa została przełamana. Zarówno Ty, jak i całe Bailybliss, odzyskaliście wolność. Próbowałem Cię ostrzec, że już nie jestem chłopcem, którego kochałaś. Po tym, co zaszło między nami tej nocy, chyba mi wierzysz?*

Tupper zarumienił się po korzonki włosów, lecz Gwendolyn nie poczuła najlżejszego nawet drgnienia wstydu.

- *Od dzisiaj nie będziesz miała nad sobą żadnego pana i władcy, gdyż zaliczasz się w poczet MacCulloghów i jesteś przywódcą tego klanu i panią na zamku Weyrcraig. Poleciłem, by dostarczono Ci ów tysiąc funtów, który Twój ojciec odebrał za usługi wyświadczone Cumberlandowi. Uczyni z pieniędzmi to, co uznasz za najlepsze dla klanu i zamku. Co rok aż do mej śmierci będziesz dostawać kolejny tysiąc funtów.*

Głos Gwendolyn zadrżał.

- *Kiedyś prosiłaś mnie o prawdę, a ja Ci odmówiłem. Zeszłej nocy błagałaś o łaskę - tej również Ci nie dałem. Teraz mogę Ci jedynie ofiarować to, co i tak nigdy nie należało do mnie: Twoją wolność. Zostawiam Ci moje nazwisko i moje serce. Na zawsze Twój, Bernard MacCullogh.*

Ostatnie słowa ledwie przeszły przez gardło ściśnięte łzami. Pochyliła głowę i zmięła kartkę w bezsilnej pięści. Tupper pogrzebał w kieszonce kamizelki, wyciągnął chusteczkę. Z miną równie nieszczęśliwą, jak jej żałosny grymas, podał jej jedwabny spłachetek. Gwendolyn zerwała się na równe nogi, odpychając jego dłoń.

- Niech go diabli porwą, Tupper! Niech zabiorą do najmroczniejszych kręgów piekieł tę jego arogancką duszę!

Mocniej otuliła się pledem i odwróciła twarz ku morzu. Wiatr porywał z jej oczu łzy i niósł nad skłębione fale.

- Cóż on sobie wyobraża? Że można zawrócić czas i wszystko będzie, jak przed jego przybyciem? Czy spodziewa się, że potrafię tak po prostu powrócić do udawania, że nie wierzę w istnienie smoków?

Tupper bezradnie potrząsnął głową.

- Pewnie sądził, że robi to, co najlepsze.

Gwendolyn zwróciła się ku niemu jak furia.

- I ma czelność zapewniać mnie, że chłopiec, którego kochałam, dawno już nie żyje? Przecież on jest nim w każdym calu! Dokładnie taki: arogancki, zarozumiały, przekonany o własnej słuszności... zawsze sam decydował, co najlepsze dla innych, i nawet nie przyszło mu do głowy, by zapytać o ich zdanie. Chłopiec, którego kochałam, nic a nic się nie zmienił!

- Potrafi być uparty jak muł, gdy już coś sobie postanowi. Ale z czasem, może...

- Czekałam już piętnaście lat! Jak długo mam czekać tym razem? Dwadzieścia, trzydzieści? Życie całe? - Pokręciła głową. - Och, nie! Nie mam zamiaru tracić drugiej połowy życia, czekając, aż Bernardowi MacCulloghowi powróci rozsądek!

Tupper wsadził chusteczkę do kieszonki.

- Co więc masz zamiar uczynić?

Gwendolyn wyprostowała się dumnie i otarła z policzka ostatnie łzy. Naciągnęła na ramiona pled jak opończę celtyckiej królowej z prastarych legend.

- Słyszałeś jego słowa, Tupper! Należę teraz do MacCulloghów... a oni „na dobre czy złe do ostatniego tchu biją się” - nieprawdaż?

26

Prawda, że to istna bestia?

- Zależy, czy masz na myśli jego charakter, czy swadę. Słyszałam, że jego cięte repliki potrafią obdrzeć ze skóry rozmówcę najbieglejszego w sztuce smagania językiem!

- Ja tam nie miałabym nic przeciwko temu, by mnie językiem wysmagał... oczywiście wtedy, kiedy mój Reginald wyjedzie na inspekcję naszego majątku albo na jedno z tych jego niekończących się polowań!

Rubaszny żarcik, rzucony namiętym, gardłowym szep-tem, został wynagrodzony w kręgu słuchaczek salwą chichotu udającego zgorszenie. Tymczasem przedmiot ich rozważań przytknął do ust kieliszek szampana, udając, że nie słyszy rozmowy toczącej się tuż za jego plecami. Na szczęście gospodyni przyjęcia, lubując się w stylu neogreckim, zabudowała salę recepcyjną gęstwą kolumn, za którymi mógł się swobodnie ukrywać. Dobiegł go głos kolejnej kobiety:

- Mąż usłyszał od kogoś, że on nie ma kropli angielskiej krwi w żyłach! Podobno całymi latami udawał jednego z nas,

aby nie wyszło na jaw, że jest... - zawiesiła głos w dramatycznej pauzie, aż słuchaczki wstrzymały dech - ...Szkotem!

Rewelację powitał szmer podnieconych sapanieć, jak gdyby dobrze poinformowana dama zdemaskowała właśnie szaleńca zbiegłego ze szpitala dla obłąkanych.

- To by tłumaczyło jego porywczosć, prawda? Szkoci to dzikusy; ponoć nieobce im jest gwałcenie dziewic i mają zwyczaj bez osłonek mówić, co myślą- kolejna ekspertka wymieniła obie cechy jednym tchem, jakby były równie odrażające.

- Słyszały panie, co powiedział lady Jane, kiedy wreszcie udało jej się zaciągnąć go do buduaru, gdzie przez trzy kwadranse wyliczała zalety swej siostrzenicy jako kandydatki na żonę?

Zaszeleściły wachlarze zaciekawionych dam.

- Ach, proszę mówić! Zamieniamy się w słuch!

Właścicielka piskliwego głosu z trudnością zniżyła go o trzy oktawy, nieporadnie naśladowując baryton Bernarda:

- „Mości pani, gdybym szukał żony - czego bynajmniej nie czynię - nie byłaby nią wdzięczną się bez umiaru smarkula, której Bóg dał biust w miejsce rozumu”.

Wianuszek dam zgiął się wpół ze śmiechu. Bernard podniósł puchar w smętnym toaście ku czci tej, którą Bóg pobłogosławił oboma przymiotami. Popijając, słuchał posiadaczki głosu gardłowego jak śpiew syreny.

- Być może dla zaspokojenia chuci nie potrzebuje własnej żony... lecz cudzej!

I żartownisia oddaliła się, ciągnąc za sobą orszak zachwyconych jej dowcipem dam. Bernard ponownie podniósł kieliszek, lecz z zaskoczeniem przekonał się, że jest pusty. Jeśli dalej ma zamiar w takim tempie żłopać tego sikacza, smakiem

przypominającego pomyje, pod koniec wieczoru będzie potrzebował kolumny jako podpory, a nie kryjówek!

Od ponad miesiąca przebywał w Londynie i większość tego czasu spędził, nadużywając trunków, a skapiąc snu. Nic dziwnego, że ostatecznie utrwalił swą reputację dzikusa! Nigdy nie należał do osób, które cierpliwie znoszą głupotę bliźnich, ale obecnie byle tępe spojrzenie prowokowało go do ciętych odzywek czy wprost grubiańskich przytyków. Gdyby nie fakt, że lord Drummond był lojalnym współnikiem w morskiej kompanii handlowej, a przy tym jednym z najstarszych przyjaciół admirała Graysona, Bernard z przyjemnością odrzuciłby zaproszenie księżnej i spędził wieczór w swojej po spartańsku urządzonej londyńskiej rezydencji w towarzystwie butelki porto i stosu ksiąg rachunkowych, które od dawna czekały na sprawdzenie.

Zatrzymał lokaja z tacą i wymienił pusty kieliszek na pełny. Upił długi łyk, a gdy oderwał wargi od brzegu pucharu, zorientował się, że nie jest już sam. Jedna z dam, które przez ostatnie dziesięć minut z takim zapałem analizowały jego wdzięki i braki, wyłoniła się zza bujnej paproci wykwitającej z donicy przy kolumnie. Bernard skinął głową w niezbyt wylewnym przywitaniu.

- Pani!

- Ach, pan wybaczy...- rzęsy trzepotały niewinnie, lecz głos tętnił zmysłowością. - Błędnie wzięłam pana za męża.

- Jak się domyślam, jest nim Reginald, czyż nie? Proszę mi powiedzieć, czy drogi małżonek wie, iż za każdym razem, gdy on jedzie na polowanie, pani urządza sobie równie pasjonujące łowy na grubego zwierza?

Uszminkowane wargi kokietki wyduły się w okrągłym „o”, udatnie naśladowującym szok urażonej niewinności. Daś płynnie przeszedł w drapieżny, koci uśmieszek.



- Ach, cóż... nie można panu odmówić bystrego słuchu i ostrego języka - prawdziwy z pana potwór, co? Jeśli próbuje mnie pan w ten sposób odstraszyć, może powinnam pana ostrzec, że zawsze pociągali mnie mężczyźni, którzy posiadli cnotę szczerości... - zachłannym spojrzeniem ogarnęła całą sylwetkę Bernarda, od wypolerowanych cholew po lśniące fale ciemnych włosów- ...która jest ich dodatkiem do innych zalet.

Bernard niemal żałował, że nie może odpłacić równie wysoką oceną jej osoby. Bez wątpienia była prawdziwą pięknoscią. Ciemne pukle spiętrzyła w misterną koafiurę przyprószoną migotliwym brokatem w odcieniu dokładnie odpowiadającym alabastrowi twarzy. Od nieskazitelnej cery płomiennym akcentem odcinały się pełne wargi. Czarna aksamitka podkreślała smukłość szyi, a zalotna muszka na policzku zastępowwała naturalny dołeczek. Obcisła suknia z migotliwej satyny oblekła talię, wąską jak u osy dzięki mocno ściągnięty m fiszbinom gorsetu. Obszywany falbankami stanik skrojono tak, by podnosił jej wydatne piersi, aż dosłownie kipiały nad haftowanym rąbkim dekoltem. Obfita krynolina nadawała biodrom pożądaną krągłość, lecz nic nie mogło zamaskować wyrachowania w twarych oczach, a cała postać robiła wrażenie tak kruchej, że byle dotknięcie mogło ją połamać. Nie było w niej nic ciepłego, nic solidnego, czego można by się chwycić... w czym można by zatonać...

Bernard odepchnął się od marmuru kolumny, bardzo uważając, by chwiejny chód nie zdradził jego upojenia.

- Cieszę się, że ceni pani w mężczyznach szczerosc... zatem szczerze i otwarcie proszę o wybaczenie, gdyż muszę panią opuścić.

- Ależ... to nie wypada. Jeszcze nie podano kolacji.

Zgiął się w dwornym ukłonie i powiedział:

- Obawiam się, pani, że nie doceniłbym smaku niewątpliwie wystawnych dań. Jakoś straciłem apetyt.

Mgła stępiła stukot obcasów uderzających o bruk. Zdecydowanym krokiem zmierzał w kierunku domu. Obszerne fałdy płaszczka przy każdym stąpieniu tańczyły mu wokół kostek, ale nie zapewniały ochrony przed dotkliwym chłodem nocy, stokroć gorszym niż rześkie wieczory w szkockich górach. Wilgotny ziań londyńskiej mgły wżerał się w kości i przemarzał aż do szpiku. Nieregularne kontury dachów i ceglanych kominów spowijał całun sadzy, przesłaniając blask odległych gwiazd, które ledwie przezierały na markotnym niebie. Martwa cisza zaułka wywołała tęsknotę za wesołą paplaniną Tuppera.

Teraz należał do tego usmolonego i zamglonego miasta. Już nie był Smokiem, w którego wreszcie uwierzyła Gwendolyn, ani przywódcą klanu MacCulloghów, tylko jednym z wielu anonimowych mieszkańców metropolii. Wyrzebał z kieszeni korzenne cygare i skrzeszał ognia. Nie tak dawno temu niepokój duszy wygoniłby go na włóczęgę po zakazanych dzielnicach Londynu, lecz znajome spelunki stały mu się wstrętne, a ich lokatorki straciły cały powab. Oto cena tych kilku godzin spędzonych w ramionach Gwendolyn!

Usłyszał za sobą stłumione stąpienie i odwrócił się z nienacka, lecz ulica ziała pustką i nic nie ruszało się w cieniach murów. Latarnie nie rozpraszały mgły, żłobiły w niej jedynie kuliste otoczki światła. Bernard przechylił głowę i wyteżył słuch, ale tylko niedopałek skwierczący w wilgotnym powietrzu zakłócał ciszę zaułka. Wetknął go z powrotem w kącik ust

i podjął wędrówkę. Od powrotu do Londynu nie zdążył sobie jeszcze narobić nowych wrogów- chyba że nieopatrzonym docinkiem obraził żonę jakiegoś drażliwego potentata.

Ale wzburzony małżonek wyzwabił go raczej na pojedynek, zamiast skradać się za nim nocą, gdy wraca do domu. Bernard nie odmówiłby zresztą nikomu przywileju honorowej walki. Kula w pojedynku czy pchnięcie szpady to z pewnością koniec bardziej honorowy, niż zapicie się na śmierć.

Skreślił w swoją ulicę i zwolnił kroku. Któż by pomyślał, że londyńska rezydencja na eleganckim skwerze Berkeley może wyglądać bardziej odpychająco i opustoszałe, niż ruina szkockiego zamku stercząca na szczycie morskiego urwiska? Okna sąsiednich kamienic jarzyły się przytulnym blaskiem, nieopodal otworzyły się drzwi, spoza których uleciały w mglistą noc fortepianowe trele i odgłosy dziecięcego śmiechu, Dom Bernarda czekał na końcu ulicy, ciemny i cichy. Gdy wstępował na pierwszy schodek ganku, uchwycił kątem oka błysk światła w oknie na drugim piętrze. Zastygł z dłonią wspartą na żeliwnej balustradzie. Przysiągłby, iż dał dzisiaj Jenkinsowi wolny wieczór! Odczekał kilka minut, wpatrzony w zaciemnione szyby, lecz widmowy ognek nie powtórzył się. Bernard potrząsnął głową i przekreślił klucz w zamku, obiecując solennie, że nigdy już nie zdradzi portu dla zwodniczych uroków szampana.

Spożył wieczerzę składającą się z zimnego mięsa i chleba i zamknął się w gabinecie. Przeglądał księgi, aż rządki drobnych cyferek zaczęły się zamazywać przed znużonymi oczami. Ciężkim krokiem strudzonego wspiął się po schodach do sypialni, lecz zanim zapadł w niespokojną drzemkę, zegar dawno wybił północ. Ze snu wyrwało go niesamowite zawołanie. Poznał jęśliwy dźwięk kobzy i usiadł na posłaniu.

Melodia urwała się tak raptownie, że zważył, czy słyszał ją naprawdę, czy tylko mu się przyśniła.

Kroki niewidzialnego prześladowcy, błędne ogniki w opustoszałym domu, widmowe jęczenie kobzy w samym sercu Londynu? Jeśli to nie sen, to ani chybi popada w obłąd! Starał się wymacać w mroku lichtarz i zapałki, które przed snem położył na nocnym stoliku. W tej samej chwili, gdy się zorientował, że je zabrano, uświadomił sobie jeszcze jedno: już nie był sam... ktoś był w pokoju! Oddech intruza splatał się złowieszczy kontrpunktem z łomotem jego serca. Bernard sięgnął pod poduszkę i bezszelestnie wysunął naładowany pistolet, który zawsze tam trzymał. Wymierzył lufę w mrok.

- Kimże jesteś, do diabła, i co robisz w moim domu?!

Rozległ się suchy trzask zapałki i w ciemności zapałał płomyczek świecy.

- Niektórzy zważają mnie przywódcą klanu MacCulloghów, inni panią na zamku Weyrcraig... ale ty, panie, możesz mnie wołać mianem Jaśnie Pani Smok.

**Gdy** Gwendolyn wyłoniła się z cienia, Bernard poczuł, jak gdyby słońce wyrzało zza chmur i rozświetliło komnatę takim blaskiem, że zapiekły go oczy. W powiewnej szacie koloru lawendy, która zasłaniając, mimo to podkreślała bujne kobiece kształty, dziewczyna jawiła się jego oczom jak wizja ze snu. Kaskada złotych pukli opadała do ramion jak migotliwa rama dla błękitnych oczu, które promieniowały ciepłem.

- Teraz wiem na pewno, że wcale się nie obudziłem! - mruknął i zamknął oczy, lecz gdy je ponownie otworzył, wciąż przed nim stała z uśmiechem lekkiego rozbawienia.

- Lepiej opuść tę zabawkę, zanim wypali - zwróciła mu uwagę, lecz oszołomiony Bernard dopiero po chwili zorientował się, że ma na myśli pistolet. Bez pośpiechu odłożył broń.

- Nie popisałaś się sprytem, zabierając lichtarz, lecz zostawiając mi pistolet. Mogłem cię przecież' zastrzelić bez pytania!

- Nie, nie mogłeś. - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, aż pogłębiły się dołeczki na policzkach. - Wyjęłam naboje!

Zdegustowany nie tyle jej podstępem, co swoim przeoczeniem, rzucił broń na stolik.

- A gdzie ukryłaś Tuppera i jego kobzę? Na strychu?

- W piwnicy... ale nie troszcz się o niego, bo zostawiłam z nim Kicię, żeby rozpraszała mu nudę oczekiwania. Wiesz chyba, że celebrują swój miodowy miesiąc? Przekonałam ich, że wyprawa ze mną do Londynu będzie zabawniejsza od podróży do Edynburga!

- Nowa suknia, podróż poślubna dla rodziny - dobrze, że umiesz stosownie użyć tego tysiąca funtów, które ci zostawiłam.

- Czemuż nie miałabym korzystać z tych pieniędzy? - podniosła brwi pytająco. - Przecież je zarobiłam, prawda?

Zaskoczenie odjęło Bernardowi mowę, a kiedy ją odzyskał, wykrztusił:

- Myślisz, że otrzymałaś to złoto w charakterze zapłaty za usługi?

Wzruszyła ramionami.

- Nie inaczej. Wszak gdy się obudziłam po tamtej nocy, wyjechałeś, ale pieniądze zostawiłeś.

Już miał odrzucić koce, żeby zerwać się z posłania i starym zwyczajem zacząć krążyć po pokoju, gdy uświadomił sobie, że przecież nigdy nie nosi nocnych koszul, a kładąc się spać, rzucił spodnie na oparcie krzesła przy drzwiach. To jest - poprawił się w myślach - o ile Gwendolyn nie świsnęła mu również i tego! Skrzyżował ramiona na piersi i nasepił czoło.

- Niektóre skarby nie mają ceny, szlachetna pani!

W pełgającym świetle świecy trudno było dostrzec, czy się zarumieniła.

- Skarby tyle są zazwyczaj warte, ile zechce się za nie zapłacić!

Bernard zmierzył ją znużonym spojrzeniem.

- Czemu więc przyjechałaś aż tutaj, Jaśnie Pani Smoku? Szukasz dziewiczej ofiary?

- W takim razie źle wybrałam miejsce, prawda? - Przyśiadła na brzegu łoża, tuż poza zasięgiem jego ramion. - Skoro pytasz: nie szukam dziewicy, lecz godnego zaufania adwokata.

- Czemu chcesz korzystać z usług prawnika? Czy zamierzasz włamywać się do innych domostw przy akompaniamencie kobzy?

Poklepała go czule po bosej stopie sterczącej spod koca.

- Nie bądź niemądry... Mam zamiar omówić możliwości anulowania małżeństwa. W ostateczności zgodzę się na rozwód.

Bernard opadł na drewniane oparcie łoża i poczuł lodowaty dreszcz spływający po grzbiecie.

- Rozwiodłabyś się ze mną?

- Czemu nie? Ofiarowałam mi wszak wolność, a chyba nie sądzisz, że będę do końca życia gnęła, władając tą kupą omszałych kamieni na krańcu świata? Taki los mnie nie satysfakcjonuje! Być może ty nie przewidujesz ewentualności ponownego ożenku, ale ja nie mam zamiaru spędzać reszty dni ani nocy - rzuciła mu wyzywające spojrzenie spod rzęs - samotnie.

- Odjechałam przed kilkoma zaledwie tygodniami, a ty już znalazłaś następcę?

- W Ballybliss nie brak zalotników. Na przykład Ross.

Bernard w ostatniej chwili powstrzymał się przed wyskoczeniem z łóżka w całej krasie swej nagości.

- Ross? Chyba ci rozum odjęło! To on rzucił cię na pastwę smoka, a potem chciał cię spalić na stosie!

Gwendolyn układała fałdy spódnicy, pozorując obojętność dla jego wzburzenia.

- Tak, zapewne... ale odkąd zostałam jedną z MacCulloghów,

poznałam łagodniejszą stronę jego natury. Otacza mnie wielką estymą i spełnia wszystkie moje zachcianki. - Na jej ustach pojawił się cnotliwy uśmiezek. - Codziennie przynosi mi w dowód uczuć bukiety zebrane na wrzosowisku czy inne drobiazgi. Rzecz jasna, jeśli okaże się, że Ross i ja nie jesteśmy dobraną parą, zawsze jest jeszcze Lachlan. Odkąd Nessa go porzuciła dla siostrzeńca garniarza, chłopak ma złamane serce.

- Kobieto, na litość boską! Nie możesz wyjść za Lachlana. Z uszu sterczą mu kępki włosów jak druty!

Gwendolyn zamrugnęła, udając onieśmienie,

- Mówiono mi, że to oznaka męskiego wigoru.

Chociaż tak niedawno podjął stanowcze postanowienie, że skończy z udawaniem potwora, słysząc słowa Gwendolyn o mało co nie zawarczał.

- Tak... jeśli chcesz się wydać za goryla!

Gwendolyn zmarszczyła czoło, wstała i zaczęła okrzykać łoże.

- Być może masz rację, panie. Lękam się, że mało brakowało, a popełniłabym straszliwy, nieodwracalny błąd! Twoje uwagi dały mi dużo do myślenia.

- Dzięki Bogu choć za to - mruknął.

Jeszcze przez minutę krążyła wokół łóżka. Wreszcie zatrzymała się przed Bernardem.

- Wobec tego najlepiej poszukam narzeczonego w Londynie. Kiedyś brakowałoby mi pewności siebie na takie łowy, lecz ty sam przekonywałaś mnie, jak wiele mam do zaoferowania mężczyźnie! Poza tym wiem już, że nie ty jedyny tak sądzisz - złożyła dłonie jak dziecko recytujące zadaną lekcję: - Dyktaty mody preferują co prawda kobiety o smukłości sylfidy, lecz wybredny kawaler niezmiennie docenia kształty świadczące o tym, iż dama jest „doskonałą reproduktorką”.

Pochylił się do przodu, przysięgając w duchu, że natychmiast

wyzwie na pojedynek łajdaka, który wciskał jego żonie takie bzdury.

- Kto ci to powiedział?

- Oczywiście cioteczna babka Tuppera, pani Taffy. Łaskawie zaferowała nam gościń, gdy ojciec Tuppera wydziedziczył go za ożenek ze szkocką dziewczyną bez grosza przy duszy. Była tak wściekła na wicehrabiego, że postanowiła, iż z kolei ona wydziedziczy jego. Po śmierci starej damy cały pokazy majątek przypadnie Tupperowi.

- O ile tego doczeka - mruknął Bernard, ponuro rozważając, że współudział przyjaciela w najściu na jego osobę wydatnie uszczupła szanse Tuppera na przeżycie najbliższych dni. Nagle zdał sobie sprawę, że ma już dosyć bezradnego siedzenia i patrzenia, jak Gwendolyn tańczy wokół łoża tuż poza zasięgiem jego rąk. Zerwał prześcieradło i owinał się nim w pasie. - Czy już obmyślaś, jak mam cię przedstawiać potencjalnym kandydatom do twej ręki? - Wstał i ukłonił się przed filarem baldachimu. - David, stary druhu, witaj! Oto moja żona. Czy miałbyś ochotę się z nią ożenić?

Zaśmiała się swobodnie.

- Twoje spojrzenie tak by ich przeraziło, że uciekaliby, gdzie pieprz rośnie!

Zrobił krok w jej stronę.

- Ciebie jakoś nie umiałem odpowiednio przerazić, co?

- Wprost przeciwnie... ostatecznie okazało się, że to ty uciekłeś ode mnie. Czemu właściwie to zrobiłeś? - Skubnęła wargi, udając, że szuka w pamięci. - Aha, ponieważ Już nie jesteś chłopcem, którego kochałam". Zapomniałeś jednak o drobności: i ja przestałam być tamtą dziewczynką. - Oparła mu dłoń na piersi, a on poczuł, że fala ciepła promieniuje od tej

drobnej rączki i rozchodzi mu się po trzewiach. - Nie potrzebuje chłopca, lecz mężczyzny!

Palce rozpostarte na jego torsie zeszywniały. Patrzyła na niego spod rzęs. Słyszał jej urywany i pospieszny oddech. Zagarnął ją w ramiona i zbliżył usta do jej warg, miękkich, nabrzmiałych i gotowych na to spotkanie. Smakowały jak wygrzane słońcem truskawki polane słodką śmietanką. Jęknął, gdy przedarła się językiem przez barierę jego warg, szukając z nagłą zachłannością jego języka. Opadł na posłanie, pociągając za sobą Gwendolyn, aż usiadła nad nim okrakiem. Wszelkie szlachetne postanowienia, że zachowa umiar i będzie posuwał się powoli, zastąpił nieodparty impuls wszechogarniającego pożądania.

Znaleźć się w niej... w swojej żonie.

Trzy zdyszane, gorące pocałunki rozchylonych warg - i już jego dłoń zawędrowała pod halki. Nie pofatygował się, by ściągać majteczki w dół bioder, lecz rozszerzył palcami rozcięcie w jedwabnej przepasce znikającej u zbiegu ud. Jeszcze dwa pocałunki i te same palce zaczęły zagłębiać się w niej i wysuwać rytmem, któremu jego ciało aż do bólu pragnęło wtórować. Gwendolyn podjęła tempo, instynktownie wyginając się w dół, ku oczekiwanej rozkoszy.

Odsłonił poję prześcieradła i gdy Gwendolyn następnym razem opadła na niego, już nie palce wślizgnęły się głęboko, w oczekującą wilgoć. Dziewczyna zadygotała, a jej prężne ciało ujęło go w żelazny uścisk, jak oszalałe imadło. Pragnęła mężczyzny- i on spełnił jej oczekiwania w każdym calu. Wyciągnął dłoń, by pogłaskać zarumieniony policzek.

- Teraz możemy trochę zwolnić, aniele... chcę, żebyś i ty znalazła rozkosz równą mojej w czasie tej przejażdżki!

Zdecydowany uczynić wszystko, by tak się stało, ujął roz-

kołysane biodra i nadał jej poruszeniom tempo dostatecznie wolne, by ich oboje przywieźć do szaleństwa. Wysiłek woli, jakim powstrzymywał zgłodniałe zmysły, sprawił, że całe jego ciało pokryło się rześnistym potem, lecz gdy ujrzał pierwsze błyski ekstazy na pięknej twarzy Gwendolyn, wiedział, że trud się opłacił. Wyczekał chwili, gdy głowa dziewczyny opadła bezsilnie do tyłu, a z rozedrganego gardła wydarł się chrapliwy jęk, i wsunął dłoń pod spódnicę. Jedno dotknięcie nabrzmiątego gruzełka i jęk przeszedł w przejmujący krzyk rozkoszy.

Okowy samokontroli Bernarda raptownie puściły. Ujął jej biodra, ani chcąc, ani mogąc dłużej hamować siłę pchnięć, którymi wdzierał się w nią coraz głębiej. Pragnienie, by znaleźć się w wilgotnym wnętrzu, zastąpiła żądza jeszcze bardziej pierwotna i jeszcze silniejsza. Zagryzł zęby, by zdusić w gardle ryk dzikiej bestii, gdy gorącym strumieniem zaczęło z niego tryskać nasienie, a jego zmysły rozpadły się pod potężnym uderzeniem ekstatycznej fali.

Gwendolyn opadła na niego wyczerpana, a on otoczył ją ramieniem i trzymał tak, jakby nigdy nie miał zamiaru pozwolić jej odejść.

## 28

Gdzież ona jest? - Bernard mało delikatnie wtargnął do pokoju śniadaniowego w rezydencji pani Taffy Tupper na Mayfair. Tupper zastygł w pół gestu, unosząc do ust maślaną bułeczkę z miodem. Kicia przetarła wargi serwetką. W porannym stroju z pasiastej flanelki prezentowała się niesłychanie elegancko i dojrzałe, jak na osiemnastoletnią dziewczuszkę prosto ze szkockich wrzosowisk. Nowożeńcy siedzieli koło siebie, wbrew tradycji nakazującej małżeńskiej parze zajęcie krzeseł po dwóch przeciwnych stronach długiego stołu. Dzięki temu Kicia mogła owinać stopkę w ciepłej pończosze wokół łydki zachwyconego Tuppera.

Roztrzęsiony odzwierny deptał Bernardowi po piętach.

- Proszę o wybaczenie, sir. Próbowałem wyjaśnić temu dżentelmenowi, że pana ciotka rzadko wstaje przed południem i nie przyjmuje absolutnie nikogo przed drugą... ale nie chciał słuchać.

Tupper popatrzył na zdenerwowanego lokaja i skinął głową:

- Nic się nie stało, Dobbins. Ten pan nie jest dżentelmenem. Lokaj z ulgą wyślizgnął się z pokoju. Bernard rąbnął pięścią

w polerowany blat stołu. W krzywo zawiązanym krawacie i ze zmierzwionymi włosami czuł się w każdym calu bestią, w jaką niedawno się wcielił:

- Gdzie ona jest?! Co zrobiliście z moją żoną?

Tupper upił łyk czekolady z filizanki wykonanej z cieniutkiej porcelany Wedgwood.

- Czyżbyś ją zgubił?

- Kiedy się rano obudziłem, nie było jej w łóżku!

Przyjaciel zmarszczył czoło.

- Nader dziwne... dotychczas nie miałeś trudności z zatrzymywaniem kobiet w swoim łóżku!

- Dotychczas nigdy się też nie żeniłem, prawda? - syknął Bernard.

Tupper z dezaprobatą potrząsnął głową.

- Wybacz, ale nie mogę dopuścić tego rodzaju zachowania przy stole. Warczysz, szczerzysz zęby jak jakiś potwór... takie demonstracje mogą zakłócić delikatne trawienie mojej żony! Skoro się upierasz, powiem ci, że Gwendolyn wyjechała do Ballybliss - jeszcze przed świtem.

Bernard wyprostował się, zaskoczony.

- Ballybliss? Ballybliss!... a ty byłeś na tyle głupi, by jej pozwolić odejść? Nie mogę w to uwierzyć!

- O ile mi pamięć służy, to ty byłeś na tyle głupi, by ją najpierw opuścić... i też trudno mi w to uwierzyć! - odparował Tupper.

Bernard osunął się na krzesło, w kontuzji pocierając kark.

- Szczerze wyznam, że i ja siebie nie pojmuję. Ale przynajmniej zachowałem się na tyle cywilizowanie, że zostawiłem jej list!

Kicia wymieniła znaczące spojrzenie z mężem i wyciągnęła z kieszeni narzutki złożony we czworo welinowy arkusik.

- Zanim siostra odjechała, prosiła, bym ci to oddała.

Bernard przejął list. Rozpoznał swoją własną papeterię. Widocznie Gwendolyn wyszperała ją wczoraj w gabinecie, zanim przyszedł do domu. Bez większego zaskoczenia ujrzał litery kreślone ręką równie zręczną i subtelną co jego.

- *Jeżeli życzyłbyś sobie w przyszłości spędzić noc w moim towarzystwie, będzie Cię to kosztowało więcej niż tysiąc funtów!* - Rozwścieczony, zamachał kartką tuż przed nosem Tuppera. - Co to wszystko ma znaczyć?

- Co tylko chcesz - odpowiedział przyjaciel i nadział na widelec soczystego śledzia. Bernard wciąż wpatrywał się w list, gdy poczuł, że Kicia szarpie go za rękaw surduta.

- Sir, wybacz, jeśli poczytasz sobie moje pytanie za imperyenne, ale... ja po prostu muszę wiedzieć: czemu właściwie porzuciłeś moją siostrę?

Trudno było się gniewać, widząc szczere spojrzenie jej oczu, jeszcze trudniej pamiętać, że i ona była córką człowieka, który zniszczył całe jego życie. Nie mógł ot, tak sobie wyznać, że lękał się własnej mściwości i tego, że przez resztę wspólnych lat będzie karał Gwendolyn za grzech jej ojca. Otworzył usta z zamiarem wymyślenia jakiegoś kłamstewka, lecz ze zdumieniem usłyszał, że wypowiada prawdę, którą dotychczas ukrywał sam przed sobą:

- Chyba nie wierzyłem, że jestem jej godny.

Tupper zachichotał i pieszczotliwie uszczyptał policzek uroczej żonki, a ona rzuciła mu w podzięcie spojrzenie pełne uwielbienia.

- Wobec tego jesteś jeszcze większym głupcem, niż sądziłem... Odkąd to jakkolwiek mężczyzna jest godny ukochanej kobiety? Tylko dzięki niezmierzonej łasce Boga one obdarowują nas miłością, pomimo naszych uchybień!

Bernard starannie złożył pismo Gwendolyn i wsunął je do kieszeni kamizelki.

- A jeśli już jest za późno, Tupper? Jeśli Bóg nie zostawił tej szczypty łaski dla osobników takich jak ja?

- Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać, przyjacielu.

Bernard siedział jeszcze przez chwilę w milczeniu. Wreszcie podniósł się i ruszył do drzwi.

- Gdzie zmierzasz? - poderwał się Tupper. Już w otwartych drzwiach Bernard odwrócił się.

- Do domu, Tupper. Jadę do domu!

Kobzy przywoływały go tam, gdzie był jego dom.

Bernard przelatywał przez doliny i wąskie przełęcze przy akompaniamencie niesamowitej muzyki, głośniejszej nawet od tętentu końskich kopyt na skalistych górskich szlakach. Słyszał je wyraźnie. Już nie wygrywały lamentu za utraconymi, lecz radośnie okrzykiwały triumfalny powrót nadziei, która narodziła się w jego sercu. Wreszcie udało mu się nazwać dręczącą tęsknotę, która prześladowała go od piętnastu lat: to była nostalgia za rodzinnym domem. Za wiatrem od morza, słonymi żądłami kęsającymi twarz, za gulgotem strumyczków skaczących po głazach, za melodyjnym, rozlewnym dialektem. Tęsknił nawet za starym zamkiem, pełnym przeciągów, który do dziś stanowił w jego oczach ruinę - symbol zniszczenia wszystkiego, co było mu drogim.

Zza widnokręgu wyłoniły się wieżycy Weyrcraig. Wyniosłe stołby odcinały się wyraźnie na atramentowym nocnym niebie. Bernard ściągnął lejce i koń zatrzymał się posłusznie. Przypominał sobie dawny czas: ileż to razy galopował tak przez zbocza i szczyty, podczas gdy rodzice czekali na niego w domu?

Ile razy matka łąjała go za zbyt długie łążęgi po wilgotnych wrzosowiskach, a ojciec mierzwił mu czuprynę i wyzywał na szachowy pojedynek albo zachęcał do wspólnej lektury starego szkockiego poematu? Nie dano mu się z nimi pożegnać tamtej nocy, ale patrząc przez osrebrzoną księżycem noc ku wieżom zamku, uświadomił sobie, że nareszcie pozwolił im spocząć w spokoju.

Tyle lat spędzonych na spiskowaniu, jak wrócić do Ballybliss - i ani razu nie pomyślał o tych planach jak o powrocie do domu, bo sądził, że nikt tam na niego nie czeka.

Jakże się mylił...!

Czekała na niego dziewczyna. Dziewuszka, która tymczasem wyrosła na kobietę o czułym, odważnym i stałym sercu. Ofiarowała mu współczucie zamiast litości. Oddała mu się z własnej woli, choć drżała z bojaźni w jego ramionach. Znalazła w duszy miłosierdzie, choć on jej go odmówił. Łagodną dobrocią stępiła ostrze jego furii.

Modlił się, by jeszcze z niego nie zrezygnowała.

Wioska Ballybliss drzemała spokojnie w cieniu zamkowych murów. Wierzchowiec, posłuszny sygnałom jeźdźca, przemierzał miarowym truchtem uliczki osady, gdy Bernard zauważył pojedyncze światło w oknie jednego z domostw. Szarpnął lejce, wstrzymując konia. Ten ciepły ognik, pełgający w szybie okiennej, zdawał się drwić z jego szlachetnych intencji! Nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co czyni, znalazł się na ganku z pięścią uniesioną ku drzwiom. Zanim zdążył zapukać, drzwi otworzyły się i stanęła przed nim Izzy. Instynkt nakazał mu schylić się przed spodziewanym ciosem, ale wedle wszelkich pozorów służąca nie była uzbrojona.



- Czego tu szukasz, młodzieńcze? Poczekaj kilka tygodni, a nie będziesz musiał kończyć swego dzieła, bo cię nasz Pan w niebiosach wyręczy.

- Chcę go tylko zobaczyć.

Izzy zmierzyła go uważnym, przeciągłym spojrzeniem i odsunęła się, pozwalając mu wejść. Podniosła koszyk z bielizną do cerowania. Zesztywniałe stawy zatrzęszczały w bolesnym proteście, gdy siadała w bujanym krześle. Podczas gdy kluczniczka z niewzruszonym spokojem powróciła do przerwanej zajęcia, Bernard skierował się do sąsiedniej izby, gdzie u wezgłowania łoża pełgał płomyk pojedynczej świecy.

Alastair Wilder leżał na boku, skulony w kłębek jak dziecko. Wychudłą nogą odrzucił koce, odsłaniając ciało składające się pozornie wyłącznie z żył i kości. Gdy cień Bernarda padł na posłanie, starcze powieki zatrzepotały i podniosły się, odsłaniając zmętniałe oczy w czerwonych obwódkach. Dopiero po kilku chwilach spojrzenie nabrało ostrości i w zażawionych źrenicach pojawił się gniew.

- Zawarłeś z szatanem niezły pakt, Ianie MacCulloghu. Zostawił ci młodość i wigor, gdy ja starzałem się, wydany na torturę nieubłaganego czasu.

Bernard nie znalazł powodu, by tłumaczyć byłemu zarządcy, że u wezgłowania nie stoi jego dawno nieżyjący pan. W gruncie rzeczy czuł się tak, jakby to ojciec przez niego przemawiał.

- To ty, Alastairze Wilderze, zawarłeś pakt z diabłem, nie ja! Zaprzedałeś nasze dusze za nędzny tysiąc funtów w złocie.

- I od tamtej chwili każdym tchnieniem splącam zaciągnięty dług! - Wilder splunął ze złością, na co Bernard bez wahania odparł:

- Jak i ja.

Wilder przechylił głowę na ramię i zmierzył gościa przebiegłym spojrzeniem:

- Czemu więc mnie nachodzisz? Chcesz wziąć odwet na starym głupcu?

Zanim Bernard zastanowił się nad odpowiedzią, zreumatyzowane palce Wildera ze zdumiewającą siłą zacisnęły się na jego przegubie. Starzec przyciągnął rękę Bernarda do swej szyi.

- Powiedz, nie chciałbyś ścisnąć dłonią tego wychudłego gardła? Nie sprawiałoby ci przyjemności patrzeć, jak walczę o oddech, a ty wyciskasz ze mnie ostatnie krople życia?

Bernard gapił się na swoje dłonie, zahipnotyzowany śpiewnymi namowami. Na zwiędłej szyi starca jego własne palce wyglądały jak cudze. Pomyślał, że nawet nie musiałyby użyć siły - mógł położyć poduszkę na twarzy starego łajdaka, by zetrzeć mu z oblicza ten wredny uśmieszek satysfakcji i zadowolenia z siebie...

Wilder jakby czytał w jego myślach.

- No już, do dzieła! Izzy nikomu nie powie. Aż się pali, by się ode mnie uwolnić - może nawet postara się przekonać moje córki, że zmarłem we śnie.

„Córki”...

Gwendolyn!

Bernard utkwiał spojrzenie w oczach Wildera i dojrzał w nich nie strach, lecz nadzieję. Powoli pokręcił głową i uwolnił dłoń z uchwytu starczych palców.

- Nie wyręcę diabła w jego robocie... Obawiam się, że musisz czekać, aż sam przyjdzie odebrać dług z odsetkami!

Odwrócił się od łoża, a Wilder, widząc to, zaczął walić pięścią w materac. Wyblakłe oczy wypełniły się łzami.

- Wiem, że pragniesz mojej śmierci! Widzę to w twoich

oczach! Czuję nienawiść, która zatruwa ci krew, aż burzy się w żyłach jak żrący kwas!!

Bernard stanął w drzwiach i odwrócił głowę przez ramię.

- Nie jesteś godzien mojej nienawiści, Alastairze Wilderze! Gdy o tobie myślę, czuję wyłącznie litość...

I zdecydowanym krokiem opuścił sypialnię, nie widząc gorzkiego grymasu, który pojawił się na ustach byłego zarządcy. Stary zamruczał pod nosem:

- W takim razie pozostałeś takim samym głupcem, jakim zawsze byłeś, Ianie MacCulloghu!

On nie przyjedzie...

Gwendolyn czekała, wciśnięta między kamienne blanki w najwyższym punkcie fortyfikacji zamku Weyrcraig. Podwinęła pod siebie stopy i otuliła ramiona wełnianym pledem Bernarda.

Przez cały poprzedni tydzień codziennie odbywała żmudną wspinaczkę na parapet wieży, gdzie spędzała długie godziny, wpatrzona w zamgloną linię horyzontu. Dziś nastała siódma noc wyczekiwania, lecz nadal nie było śladu statku na łagodnie pofalowanym morzu.

Zadrzała pod uderzeniem lodowatego wiatru.

Bernard nie przybywa, lecz zima się nie ociąga! Gwendolyn obawiała się, że to będzie najsrozsza, najdłuższa zima jej życia. W minionych dniach pocieszała się myślą, że przeczeka śniegi i zawieje skulona w iście dekadentckim łożu w komnacie na wieży, którą ogrzeje ogień na kominku i pożądlivy zapach w męzowskich oczach. Zacisnęła fałdy pledu i podniosła głowę ku gwiazdom. Błyszczały jak lodowe odpryski w czarnej otchłani. Łudziły, że wystarczy wyciągnąć rękę, by je pochwycić, a przecież zawsze pozostawały poza jej zasięgiem.

Jakże niedawno stała dokładnie w tym miejscu murów, oświadczając Tupperowi, że „...na dobre czy złe, MacCullogh do ostatniego tchu bije się!” Cóż, podjęła walkę i przegrała, a gorycz porażki okazała się większa, niż przewidywała. Czuła się jak wtedy, gdy Bernard przejeżdżał pod rozłożystym dębem, nawet nie patrząc w górę, gdzie mała dziewczuszka kuliła się pośród listowia. Dziewuszka, która chętnie oddałaby mu serce za jeden uśmiech czy dobre słowo...

Gwendolyn z trudem rozprostowała zeszywniałe mięśnie i wstała, rzucając ostatnie spojrzenie na morze. Ani jeden przebłysk światła nie mącił atramentowej powierzchni fal. Pochyliła głowę i odwróciła się ku schodom.

To, co zobaczyła, zaparło jej dech w piersi. Osłonięty welonem cienia, tuż pod murem, stał mężczyzna. Gdyby nie płaszcz łopoczący na wietrze, w ogóle by go nie zauważyła. Nie miała pojęcia, od jak dawna krył się tam i podpatrywał ją. Uspokoiła drżące wargi i wykrztusiła:

- Tylko najgorszy tchórz szpieguje kobietę z ukrycia. Wyzywam cię, byś wystąpił z cienia!

- Zgadzasz się. To musi być tchórz najgorszego sortu - odpowiedział i wynurzył się w blask księżyca. - Tchórz, co połowę życia spędził, uganiając się za widmami przeszłości... duchami rodziców i chłopca, którym niegdyś był.

- Czy jesteś pewien, że to nie była ucieczka przede mną?

Pokręcił bezradnie głową. Ciemne kędziory zafalowały na wietrze i opadły mu na oczy.

- Przed tobą nie miałbym najmniejszej szansy uciec, bo noszę cię tu... - dotknął piersi - ...w samym sercu.

Gwendolyn poczuła łyzy w oczach. Już zrywała się, by pobiec w otwarte ramiona, gdy ujrzała białawe widmo na szczycie schodów.

- Tatko! - krzyknęła. - Jak się tu dostałeś? Gdzie Izzy?

Ojciec z trudnością utrzymywał się na nogach, wczepiony w kamienie muru. Był bosy i odziany jedynie w wyblakłą nocną koszulę. Między dwoma świszczącymi oddechami wykrztusił:

- Nie chodzę tak szparko jak kiedyś, ale wciąż potrafię przekraść się obok śpiącej starej kobiety i ukraść konia!

- Widocznie śledził mnie. W drodze na zamek zatrzymałem się we dworku.

- Dlaczego? - Gwendolyn spojrzała przenikliwie w jego oczy, a ich skryty wyraz sprawił, że jej czujność wzrosła. - Trochę chyba za późno, by prosić o błogosławieństwo ojca panny młodej, nie sądzisz?

Lecz dalsze pytania zamarły jej w gardle, gdy ojciec postąpił krok ku Bernardowi i ujrzała, że w dłoni dzierży ciężki obusieczny miecz.

## 29

Pierwszy raz od niepamiętnych czasów Gwendolyn ujrzała, iż dłoń ojca nie drży. Trzymał pewnie oręż wymierzony śmiertelnościami ostrzem prosto w serce Bernarda i zbliżał się miarowym krokiem, Bernard zaczął się cofać ku Gwendolyn. Rozpostarł poły płaszcza, by zamazać kontury celu.

- Odłóż broń, starcze! Twój czas bitewny dawno już minął.

- Nie mógł, skoro stanąłeś nad moim śmiertelnym łóżem i spojrzałeś na mnie tymi swoimi szatańskimi oczami. Mogłeś wszystko skończyć jednym ruchem, lecz twój wybór był inny; postanowiłeś zamiast tego napluć mi w twarz!

Bernard był już tak blisko, że Gwendolyn uchwyciła się fałdy na plecach czarnego płaszcza.

- Nie rozumiem, tatku! Co on ci takiego zrobił?

- Zaproponował mi swoją- litość! Ot, co mi zrobił, dzieweczko! Jak gdyby miał do niej prawo - na wargach Alastaira pojawił się brzydki grymas pogardy. - Nie potrzebuję twojej śmierdzącej litości, Ianie! Możesz sobie być przywódcą klanu MacCulloghów, ale nie jesteś Bogiem!

Rzucił się do przodu, jednym skokiem skracając dzielącą ich odległość o połowę. Bernard wysunął w bok ramię, by powstrzymać Gwendolyn, lecz dziewczyna zgrabnie przemknęła pod nim i jak lojalna małżonka stanęła u jego boku.

- To nie Ian, tatku! To Bernard, jego syn. Nie wolno ci go krzywdzić - ja na to nie pozwalałam!

Tatko przyjrzał się bacznie twarzy Bernarda i jego wściekłość ustąpiła miejsca najpierw niepewności, potem zmieszeniu i zaskoczeniu.

- Bernard? Niemożliwe. Chłopak przecież nie żyje!

- Żyje, tatku - widzisz? Udało mu się przetrwać napaść Cumberlanda i wyrósł na dzielnego, uczciwego i dobrego człowieka. - Ukradkiem zerknęła na Bernarda i ujrzała wlepione w nią szmaragdowe oczy rozplamione uczuciem, - Jest dokładnie takim mężczyzną, jakim zawsze wiedziałam, że się stanie.

Oblicze ojca zmierzchnęło, oczy jak gdyby zapadły się w głąb czaszki, a miecz wysunął się z bezwładnej dłoni i z głuchym brzękiem upadł na kamienie.

- Muszę ci chyba zaufać w tym względzie, dziewczeczko. Jesteś dobrą dziewczynką, Gwennie. Zawsze nią byłaś. - Pokręcił z uznaniem głową i nieco smętny uśmiech wypełził na jego wargi, a w oczach pojawił się rzadki przebłysk przytomności. Otrzeźwiałym wzrokiem spozjrzał na Bernarda.

- Może i jestem starym głupcem, ale nie myliłem się przynajmniej co do jednego: tylko Bóg może mi udzielić łaski!

Odrzucił się, lecz zamiast pokuśtykać ku schodom, jak się spodziewali, zatoczył się w kierunku parapetu. Gwendolyn zamarła. Nie mogła się ruszyć, jakby zapuściła korzenie w kamienne płyty pod stopami. Bernard przez chwilę, długą jak

ułamek wieczności, stał nieruchomo, lecz jedno spojrzenie na zmartwiałą twarz dziewczyny wystarczyło, by mamroczać pod nosem jakieś przekleństwo, rzucił się tygrysim skokiem ku jej ojcu. Zdażył chwycić wychudłą łydkę starca, zanim ten przecisnął się przez występ między blankami. Spodziewał się niewielkiego oporu, lecz rozpacz i desperackie postanowienie, by skończyć z pełnym cierpieniem życiem, użyczyła starcowi niemal nieludzkiej siły. Jego żyłaste członki walczyły z rękami Bernarda, a czarna opończa wydymała się wokół nich w podmuchach coraz silniejszego wiatru. Chwiali się na krawędzi otchłani, między przeszłością i przyszłością.

Ten przerażający widok uwolnił Gwendolyn z paraliżu lęku. Rzuciła się ku walczącym, złapała pełną garścią płaszcz Bernarda i pociągnęła z całej siły. Ale poryw wiatru niweczył jej wysiłki, wyrывая ciężką tkaninę z omdlewających dłoni. Ojciec poślizgnął się na kamieniach. Mięśnie na karku Bernarda napięły się jak struny, gdy usiłował uratować starca od upadku we wzburzone fale. Powoli jego siły wyczerpywały się, a stopy zaczęły się zsuwać w ślad za ciałem Alastaira na drugą stronę muru. Wkrótce nie będzie zdolny stawić czoła wichurze i ciężarowi bezwładnego starczego ciała. Gwendolyn zakrzywionymi jak szpony palcami sięgnęła po jego ramię, lecz obawiała się wypuścić wyдутą wiatrem poję płaszcz. Ogarnęła ją ślepa panika. Bernard mógł się uratować, puszczając jej ojca. Bała się, że jeśli tego nie uczyni, może stracić ich obu!

Już opadała z sił, gdy nie wiadomo skąd wyłoniło się ramię muskularne od długich lat spędzonych na zmaganiach z żelwnymi garami i cebrzykami i owinęło się wokół barków Bernarda. Zanim Gwendolyn odzyskała oddech, Izzy przeciągnęła ich

wszystkich na bezpieczną stronę muru. Gwendolyn i Bernard opadli bezwładnie na parapet. Tatko próbował się jeszcze niedołącznie bronić, lecz Izzy stuliła palce w ogromną pięść i wymierzyła cios prosto w jego szczękę, aż starzec opadł na ziemię jak kupka łachmanów. Bernard pomasaował zdrętwiały bark i odezwał się ponurym głosem:

- Powinnaś mnie to zostawić... choć przyznam, że sprawiłoby mi to zapewne haniebną przyjemność.

Izzy pokręciła głową, przy czym papiloty w jej nastroszonych włosach podskoczyły jak węże mitycznej Meduzy.

- Niech pan nie myśli, że ja jej nie czułam! Ten głupi stary hultaj wie doskonale, że nie wolno mu wymykać się z domu, kiedy ja ucinam sobie drzemkę.

Podźwignęła Alastaira i przerzuciła go sobie przez ramię, jakby to był wór ziemniaków, po czym dziarsko pomaszzerowała ku schodom. Po policzkach Gwendolyn potoczyły się łzy. Z trudem ogarniała wydarzenia ostatnich chwil.

Bernard ryzykował własne życie, by ocalić jej ojca!

Przekładał przyszłość nad cienie przeszłości!

Wybrał ją..

Śmiejąc się przez łzy, chwyciła go za ramiona i potrząsnęła z całej siły.

- Niech cię wszyscy dialbi, Bernardzie MacCulloghu! Mam już po dziurki w nosie patrzenia, jak umierasz na moich oczach. Spróbuj mi to zrobić jeszcze raz, a zobaczysz: zabiję cię!

Wyszczerył zęby w uśmiechu i stał się podobny jak dwie krople wody do chłopca, w którym zakochała się nieprzytomnie tyle lat temu.

- Ani przez chwilę się nie bałem. Nie wiesz, że smoki umieją latać?

~ Ach, więc znowu mam do czynienia z Jaśnie Panem Smokiem, co? - pogłaskała go po policzku.

Bernard spojrział w jej oczy i spoważniał:

- Pierwszy raz w życiu wiem dokładnie, kim jestem. Jestem człowiekiem, który cię kocha... który chce spędzić resztę swoich dni, próbując cię uszczęśliwić.

Gwendolyn nie padła mu w ramiona, jak tego oczekiwał, lecz ściągnęła brwi w mało uprzejmym grymasie.

- Czemu patrzysz na mnie takim wzrokiem, jeśli wolno wiedzieć?

- Zastanawiam się, czy rzeczywiście zgodziłbyś się mnie poślubić, gdyby Izzy nie stała nad tobą z siekierą!

- Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. - Czule pogłaskał jej dłoń. - Gwendolyn Wilder... to jest, pani MacCullogh, czy zgodzisz się wyjść za mnie?

Pochyliła głowę i posłała mu kokieteryjne spojrzenie spod rzęs.

- Jeśli masz ochotę znowu uczynić ze mnie swoją oblubienicę, muszę ci wyznać pewien wstydlivy sekret... już nie jestem dziewicą. Jakiś łajdak skradł mi cnotę!

- Cudownie! - oświadczył i zgarnął ją w ramiona. - Nie będę się czuł jak zdziczała bestia, gdy zaniosę cię do swojej jamy i rzucę się na ciebie!

- Moja bestio! - zamruczała i otoczyła jego twarz dłońmi. Dwie pary ust spotkały się w pocałunku, który przeniósł oboje w zaczarowaną krainę. Gwendolyn mogłaby przysiąc, że słyszy dźwięki kobzy, ulatujące nad wieżami zamku na skrzydłach radości. W wiosce przycupniętej u podnóża góry kilku mieszkańców zbudziło się ze snu i usiadło w łóżkach, z przejęciem nasłuchując triumfalnej melodii, która wypełniła całą dolinę.

Przez długie lata od tamtej nocy synowie i córki tych, którzy usłyszeli ową przejmującą pieśń, przekazywali swoim dzieciom opowieść o pełnych przygód czasach, w których straszliwy Smok oddał swe serce pięknej i nieustraszonej dziewczycy i w ten sposób zapewnił im wszystkim szczęśliwe zakończenie całej historii.